Groźna Planeta

Opowiadania fantastyczno-naukowe

Przekład Tadeusz Gosk

1980

ZBYT PROSTE - Jurij Nikitin

Jan strzelił dwa razy i skoczył za rozżarzony złom skalny. Mógłby wprawdzie lepiej wykorzystać uzyskaną w ten sposób pauzę i przebiec jeszcze z dziesięć metrów, ale w słuchawkach hełmofonu słyszał wyraźnie chrapliwy oddech Miedwiediewa - młody zwiadowca niósł na grzbiecie nieprzytomnego Makiwczuka.

Wystrzelił jeszcze raz. Rogaty łeb potwora rozleciał się na strzępy, ale zza grzebienia skalnego wyłoniły się dwa inne potworne cielska i z przerażającą szybkością runęły w kierunku trzech kosmonautów.

- Zostaw nas - rozległ się w słuchawkach drżący głos Miedwiediewa. - Zdążysz jeszcze dobiec do rakiety. Osłonię cię ogniem...

- Daj spokój! - wykrzyknął ochryple Troll. - Moja mama często powtarzała, że kto ma wisieć, nie utonie...

Dał krótką serię z automatu i przebiegł kilka kroków. Do statku było około kilometra. Ten kilometr wydał się Miedwiediewowi dłuższy od megaparseka. Przez całą wieczność wlókł się po równinie z metalową bryłą na ramionach. Wściekłe ryki i wycie zwierząt przebijały się nawet przez ochronne filtry akustyczne.

Jednak rakieta była coraz bliżej i wreszcie dotarł do gładkiej pokrywy włazu. Teraz pragnął tylko jednego: zrzucić ogromny ciężar z ramion, usiąść i odpocząć, ale zaćmiona świadomość mimo wszystko rejestrowała coraz rzadsze trzaski strzałów...

Jan Troll obejrzał się, cisnął bezużyteczny automat z pustym magazynkiem w paszczękę najbliższego potwora i kilkoma gigantycznymi susami dopadł otwartego włazu. Wskoczył do wnętrza i zatrzasnął pokrywę. W sekundę później cały statek zadygotał od uderzenia wielotonowego cielska;

Zmordowany Żeńka leżał obok kapitana. Troll postał chwilę bez ruchu, a potem powiedział beznamiętnym tonem:

- Jesteśmy na miejscu. Rozbierajcie się i czujcie się jak u siebie w domu.

Ostrożnie zdjął z Makiwczuka jego pancerz. Żeńka wygramolił się ze skafandra, ale nie wstał z podłogi. Był tak potwornie zmęczony, że nie miał siły poruszyć nawet palcem. Troll klepnął go po ramieniu i popchnął w stronę wewnętrznych drzwi.

- Idź odpocząć - powiedział. - Sam sobie poradzę.

Następnego dnia rano Żeńka zabrał się do dezynfekcji i dezaktywacji skafandrów. Robota nie należała do najprzyjemniejszych, zwłaszcza po wczorajszych przeżyciach.

Chłopak z trudem obracał ciężkie pancerze i ochrypłym głosem wyśpiewywał jakąś starą uralską balladę.

Głośnik nad jego głową odezwał się głosem Trolla:

- Hej, Caruso, kończ i maszeruj do mesy. Wygląda na to, że kapitan zamierza zmyć nam głowy.

W jedynej obszernej kabinie statku znajdowali się już kapitan i Jan. Kapitan miał zabandażowaną głowę, ale poza tym wyglądał nieźle.

- Siadajcie - powiedział Makiwczuk. - Zanalizujemy wczorajszy wypadek.

Z zaproszenia skorzystał tylko Żeńka, bo Troll nadal przemierzał kabinę długimi krokami. Utrzymywał, że w ten sposób lepiej mu się myśli... Tak więc Żeńka posłusznie usiadł, położył ręce na kolanach i popatrzył wyczekująco na kapitana, czując że ten ma do powiedzenia coś bardzo ważnego. Ale Makiwczuk skinięciem głowy udzielił głosu Trollowi.

- Te cholerne zwierzaki - powiedział Troll beznamiętnym tonem - mają uszy, które dadzą się porównać chyba tylko z piecem stalowniczym. Myślę tu naturalnie o piecu słonecznym. Mogą nimi ogniskować promienie na odległość do stu metrów. W punkcie skupienia temperatura osiąga dwa tysiące stopni. Jest oczywiste, że pod naszym słoneczkiem natura nie mogła stworzyć niczego podobnego.

Makiwczuk słuchał uważnie, chociaż wiadomość ta nie była dla niego żadną rewelacją. Żeńka zauważył, że kapitan z jakimś szczególnym napięciem wsłuchuje się w obojętny ton Jana, obserwuje jego oszczędne ruchy.

- ... ale tym razem - ciągnął Troll - wydarzyło się coś zupełnie na tej planecie niebywałego. Głupia chmurka zasłoniła słońce i zwierzę, które Makiwczuk jako jego odkrywca powinien nazwać swoim imieniem, nie mogło użyć swoich uszu i stało się niegroźne. Tak nam się przynajmniej wydawało. Ale tubylcy przypomnieli sobie nagle, że mają również szczątkowe zęby. A propos, dowódco, dlaczego rezygnujesz ze swojego prawa? Biolodzy nawet malutkie robaczki chrzczą własnymi imionami. Zobaczysz, co się będzie działo, kiedy zwalą się na tę planetę!

- A w jaki sposób się uratowaliśmy? - zapytał Makiwczuk, nie reagując na żart.

Żeńka uznał, że teraz on powinien opowiedzieć o potyczce i ucieczce.

- Potwory ryknęły ogłuszająco - zaczął. - Padliśmy na ziemię, a Jan zaczął strzelać. Straciłem przytomność, a po chwili ocknąłem się i usłyszałem, że Jan woła do mnie: “Bierz kapitana na plecy i marsz do statku!” Zrobiłem jak mi kazał, a on tymczasem powstrzymywał atak potworów.

- I znów Jan - powiedział Makiwczuk z namysłem. - Nieustraszony, niezniszczalny Jan. Gdyby nie on, miejscowe kruki dziobałyby teraz nasze białe kości...

Troll, jakby to nie jego chwalono, nadal spacerował po kabinie.

- A co było na trzeciej planecie Układu Lenixa? - powiedział Makiwczuk tym samym tonem. - Pamiętacie supermgłę?

Pamiętali. Żeńka wzdrygnął się na wspomnienie jedynej przygody na tamtej planecie. Glob był spowity w warstwę chmur. Tak to wyglądało z orbity, ale kiedy wylądowali i wyszli ze statku...

Wszędzie była mgła, mgła tak gęsta, że niczego nie widzieli już w odległości centymetra od oczu. I ta martwobiała mgła tłumiła fale radiowe i zwyczajne krzyki. Zabłądzili jak smarkacze o trzy kroki od statku i mimo usilnych starań nie potrafili doń powrócić, tylko coraz bardziej się oddalali. Nie należało oczywiście wychodzić z rakiety całą trójką, ale skoro sondy radiowe nie wykryły śladów życia, wulkanów i innych niebezpiecznych zjawisk...

Najgorsze było to, że pogubili się nawzajem. A trudno sobie teraz nawet wyobrazić przerażenie, jakie ogarnia samotnego człowieka w tym białym całunie.

Wtedy nadszedł Jan. Odnalazł Zeńkę, a potem Makiwczuka. Sobie tylko znanymi sposobami odszukał drogę i zaprowadził ich wprost do włazu. Potem okazało się, że odeszli dość daleko od statku.

- Jak znalazłeś drogę? - zapytał Makiwczuk, poprawiając bandaż zsuwający mu się na oko.

- Drogę? - zdziwił się Jan. - Nie mówiłem wam? Po prostu nie zwracałem uwagi na mgłę. Szedłem jakby z zamkniętymi oczami albo po prostu je zamykałem. No i nierówności gruntu... Zawsze zapamiętuję wszystko, co znajduje się pod nogami. Odnalazłem drogę idąc po własnych śladach.

Makiwczuk skinął głową, ale Żeńka zauważył, że wyjaśnienia Trolla wcale go nie zadowoliły.

- Dobra - powiedział kapitan. - Aha, dwa dni temu podarłeś skafander przy upadku ze skały na Czarnym Płaskowyżu. Mimo to piekielny upał zupełnie ci nie zaszkodził...

Jan popatrzył na niego ze zdziwieniem.

- Martwi cię to? - zapytał. - Upadłem rozdarciem w dół i w ten sposób zatknąłem dziurę, a potem zespawałem powłokę.

- W warunkach polowych? - mruknął z powątpiewaniem Makiwczuk.

- W warunkach polowych - potwierdził Jan. - Jestem jedynym z absolwentów mojego rocznika, który potrafi to robić.

- Dobra - powtórzył Makiwczuk. - A co z ogniowymi formami życia na Aidzie?

Troll patrzył na niego ze wzrastającym zdumieniem.

- Przecież już wszystko dokładnie ci wytłumaczyłem - odparł wreszcie.

Makiwczuk klepnął ogromnymi dłońmi w blat stołu.

- Każdy wypadek rzeczywiście da się wytłumaczyć - powiedział - ale coś za dużo tych szczęśliwie zakończonych wypadków...

Uniósł się nagle i spytał:

- Powiedz mi, Janie, czy ty jesteś człowiekiem?

Troll drgnął, a Żeńka oniemiał ze zdumienia. Jan nie jest człowiekiem? Nie jest człowiekiem? Więc kim jest?

- Odpowiedz nam - wtrącił się Makiwczuk i dodał po chwili: - Oczywiście jeśli możesz.

Jan patrzył na nich szeroko otwartymi oczami i widać było, że jest okropnie zmieszany.

- Co wy? - wykrztusił wreszcie. - Zwariowaliście? Kim miałbym być, jak nie człowiekiem?

- Nie wiem - wyskandował Makiwczuk - ale bardzo chciałbym wiedzieć!

Żeńka nareszcie zrozumiał.

- Nie jest człowiekiem - wyszeptał z przerażeniem. - Nie jest... Wobec tego musi być agentem obcej cywilizacji zdolnym do przybierania ludzkiej postaci! Żeby nas szpiegować, zbierać informacje!

Troll zdołał się już opanować i teraz głośno się roześmiał. Ale w jego śmiechu dawała się wyczuć nutka zaniepokojenia.

- A więc jestem szpiegiem? - zapytał. - Wywiadowcą? Tym, jak mu tam, Lawrence'm, Matą Hari?

- Mata Hari była kobietą - poprawił Makiwczuk odruchowo, ale zaraz spoważniał. - Chociaż kto wie, tak jest na Ziemi, a tam u was może w ogóle nie ma płci...

- Dziękuję - powiedział Troll.

Już całkowicie wziął się w garść i z ciekawością przypatrywał się kolegom. A oni z każdą chwilą tracili pewność siebie.

- Przecież wcale nie utrzymuję - mruknął Makiwczuk niemal przepraszającym tonem - że jesteś agentem wrogiej cywilizacji. Wielokrotnie wyciągałeś nas z dość paskudnych

sytuacji. Wszystko to przemawia na twoją korzyść. Inna rzecz, że wrogowie też czasem pomagają ze względów taktycznych. Wszystko jest możliwe. Na przykład to, że jesteśmy wam całkowicie obojętni i badacie nas ze zwykłej ciekawości. Chyba niczego się nie dowiemy o tobie, jeśli nam tego nie powiesz z własnej woli.

- Może więc jestem Supermanem z komiksów? - zapytał Troll ironicznie.

- Ale musisz sam przyznać - powiedział kapitan - że ktoś inny zginąłby nawet w znacznie łatwiejszych warunkach.

Troll popatrzył uważnie na swych kolegów i posmutniał. Trudno było sobie wyobrazić, aby "Żelazny" Jan mógł mieć tak posępną twarz, żeby jego atletyczna postać skurczyła się i tragicznie zmalała.

- Janie, co ci jest? - zapytał Żeńka ze współczuciem.

- No dobrze - powiedział Troll - coś wam opowiem. Ale będę musiał was rozczarować, zwłaszcza Żeńkę. Nie jestem agentem tajemniczej cywilizacji. Nie jestem nim, chociaż widzę, że bardzo byście tego chcieli. To byłoby zbyt proste.

Stanął tak, aby twarz skryła się w cieniu. Potężne ręce skrzyżował na szerokiej piersi.

- To byłoby zbyt proste - powtórzył z goryczą. - Jeśli byliście kiedyś w moich rodzinnych stronach, to słyszeliście pewnie starą legendę, która mówi, że dopóki dziewczyna dochowuje wierności swemu wybrankowi, dopóty nic złego nie może mu się przydarzyć, dopóty nieszczęścia będą go omijać. No więc nad samym Bałtykiem mieszka Elza... Jasne? I nie mówcie mi nic o polu psychicznym, telekinezie, łączności pozazmysłowej przez nadprzestrzenie. Nie chcę nic słyszeć o tych pseudonaukowych bredniach, bo wiem, kto mnie ochrania. Jasne?

Żeńka siedział z rozdziawionymi ustami. Chętnie uwierzyłby nawet w agenta cywilizacji pozaziemskiej i w cokolwiek innego, ale żeby Jan w jakiś sposób był związany z kobietą?!

- Hm... - odezwał się Makiwczuk. Był bardzo zmieszany. - Tak, to taka historia...

Widać było, że mimo najszczerszych chęci nie potrafi znaleźć właściwych słów.

- A co będzie, kiedy ona wyjdzie za mąż? - wykrzyknął Żeńka z troską w głosie. - Miłość jest przecież tak nietrwała...

- Ona już wyszła za mąż - odparł Troll.

Żeńka znów rozdziawił usta, a potem zapytał:

- Wobec tego tu nie chodzi o miłość, prawda?

- Właśnie o miłość - odparł Troll z kamienną twarzą.

- Nie rozumiem - powiedział bezradnie Żeńka.

- Skoro ona wyszła za mąż...

- Nie martw się - pocieszył go Troll. - Jeszcze kiedyś zrozumiesz.

- Wybacz - powiedział Makiwczuk - że sprawiamy ci ból, że grzebiemy w krwawiącej ranie. Nic o tym nie wiedziałem, chociaż jako dowódca powinienem znać wszystkie fakty mające wpływ na stan ducha załogi. Jeśli więc możesz, powiedz kim ona jest?

- Zwyczajną mądrą kobietą. Piękną. Gdybym nie był o nią tak głupio zazdrosny, pobralibyśmy się. Ja jednak, przyzwyczajony do samotności w kosmosie, byłem zawsze zdania, że Elza zbyt swobodnie zachowuje się w towarzystwie swoich rówieśników. Potem wyszła za mąż. Podobno ma dobrego męża. Kiedyś go widziałem. Dość inteligentna twarz, gładko ogolony, schludnie ubrany, dobrze wychowany. Zajmuje się laserami.

- A co będzie - zainteresował się Żeńka - jeśli przestanie cię również kochać?

Troll wzruszył ramionami. W półmroku błysnęły jego białe zęby.

- Czemu straciliście humor? - zapytał wesoło. - Detektywi! Wykryli agenta obcej cywilizacji! Ze też coś takiego mogło wam przyjść do głowy! Nie, przyjaciele, to byłoby zbyt proste...

GROŹNA PLANETA - Jurij Nikitin

Ogromna szara ośmiornica rozpaczliwie usiłowała wydostać się spod żelaznej platformy. Para cienkich macek bardzo wolno, niczym na zwolnionym filmie, wypełzła spod żelastwa, niezdecydowanie zakołysała się w powietrzu, a potem chwyciła za krawędź kraty i spróbowała ją unieść. Bez powodzenia. Ciężka konstrukcja przechyliła się na bok i zmiażdżyła macki.

Ostre ciernie coraz silniej wbijały się w twarz. Żeńka zacisnął zęby i nieco uniósł głowę. Natychmiast w potylicy coś eksplodowało, do wyschniętego gardła wdarł się strumień słonego płynu, w oczach pociemniało.

O dwa kroki od niego kołysała się, stojąc na ogonie, gruba zielona żmija. Rozdęła kaptur. Jej zimna, śliska skóra lśniła w promieniach olbrzymiego czerwonego słońca.

Żeńka jęknął i opuścił głowę na pokrwawione ciernie. Z rozbitą głową i złamaną ręką trudno odpędzić nawet wróbla.

Ale żmija jakoś nie atakowała. Żeńka z trudem rozlepił opuchnięte powieki i ostrożnie poszukał wzrokiem rozkołysanej sylwetki. Żmija kołysała się w tym samym miejscu, a mokre łuski niezmiennie odbijały czerwone światło zachodzącego olbrzyma. Gad nie miał oczu ani groźnej paszczęki. I w ogóle to nie była żmija, tylko pokryty łuskami badyl z niewinną miotełką na szczycie.

Tak bardzo go to zaskoczyło, że znów uniósł głowę i popatrzył na tracącą siły gigantyczną ośmiornicę. Oczy przesłaniała mu czerwona mgła, w której rozbłyskiwały kolorowe iskierki, ale zobaczył dość, żeby wykrzywić pokrwawione wargi w niewesołym uśmiechu.

Drzewo wciąż zaciekle walczyło. Po szarych konarach przesuwały się zgrubienia podobne do bicepsów, z tłustej ziemi wypełzały białawe korzenie i też włączały się do walki, ale na próżno. Ciężki helikopter całą swą ogromną masą łamał, zgniatał, kruszył cienkie pędy...

Żeńka nabrał powietrza w płuca i usiadł opierając się na zdrowej ręce. Okolica zakołysała się, potem zawrót głowy minął i został tylko natrętny szum w uszach. Siedział na mokrej ziemi, tak mokrej, jakby dopiero co skropionej ulewnym deszczem.

Za walczącym rozpaczliwie drzewem wznosiła się masywna skała, pocięta błękitnymi szczelinami. Jej szczyt pokrywały czerwone i żółte porosty, w ciemnych rozpadlinach fosforyzował widmowo zielony mech. Gdzieś u podnóża szemrał strumień, ale za rozbitym

helikopterem nie było widać - wody, tylko ciągnął stamtąd świeży podmuch chłodnego powietrza.

Nagle coś ukłuło go w przegub. Odsunął rękę i zaczął nią potrząsać, dławiąc się ze wstrętu. Wielka, niebieskawa stonoga wczepiła się w przegub i szybko, zaciekle rozdzierała skórę zakrzywionymi szczękami. Z rany trysnęła krew, popłynęła po bladej skórze i zmyła mokrego robala.

Żeńka jeszcze raz potrząsnął słabą ręką. Przegub go bolał, pod zdrętwiałą skórą szybko wyrastał wielki bąbel.

Ziemia pod nim była purpurowa i lepka. Nieco parowała, a przegrzane wilgotne powietrze miało lekko słodkawy posmak. Prawy rękaw ociekał krwią, stał się sztywny i ciężki.

Żeńka nawet w takim stanie mógłby doprowadzić helikopter do bazy. Sprawny helikopter. A do wschodu białego karla pozostały zaledwie dwie godziny. I tylko grube ściany statku mogą ochronić przed twardym promieniowaniem.

Zebrał siły, podkurczył nogi i wolno uniósł ciężkie ciało. W oczach znów zamigotały kolorowe iskierki, ale tym razem miał się na baczności i przemógł słabość.

No więc, towarzyszu Makiwczuk i nieustraszony Janie, przynajmniej pod tym względem was wyprzedziłem. Pierwsza mogiła! Co prawda bezimienna, ale zawsze! Łatwiej znaleźć igłę w stogu siana niż moje kości w gąszczach tej groźnej planety.

Żeńka ciężko zrobił pierwszy krok i ruszył w stronę helikoptera, ze wszystkich sił starając się utrzymać na nogach. Gałęzie pękały jedna po drugiej ze słabym chrzęstem. Słychać było lepki plusk spadających kropli. Helikopter osiadał coraz niżej.

Żeńka podszedł do niego, pochylił się z trudem i podstawił zdrowe ramię pod błyszczące dno. Zimny metal przyjemnie sparzył rozgrzane ciało. Trzaskały gałęzie, na buty tryskał ciepły, gęsty sok i z każdą chwilą ciężar maszyny coraz bardziej przytłaczał, miażdżył mięśnie. Zacisnął szczęki, sprężył się i ze wszystkich sił jak lewar uniósł na plecach helikopter. Zaszeleściły z ulgą oswobodzone gałęzie.

Nagle usta wypełniły się gorącą krwią. Żeńka odruchowo splunął i niemal równocześnie resztą sił szarpnął platformę w górę i w bok. W oczach znów pociemniało, zamigotały w nich czerwone kręgi. Stracił równowagę i wpadł w dudniącą ciemność. Spadał bardzo długo.

Gdy tylko otworzył oczy, natychmiast spojrzał na ogromne słońce zajmujące pół nieba. Wisiało tuż nad horyzontem. To znaczy, że leżał bez zmysłów najwyżej piętnaście minut. Nie tak znów długo, jeśli wziąć pod uwagę jego stan.

Wziął się w garść i wstał. O trzy kroki od niego wśród mięsistych liści leżał ciężki automat.

Machinalnie pochylił się, zagarnął zdrową ręką pas i obszedł drzewo, wlokąc wypolerowaną kolbę po mokrej trawie.

Popękana skała zwisała groźnie nad nieśmiałym strumykiem, który niepewnie przemykał się między brunatnymi kamieniami. Najwidoczniej stare koryto zupełnie się już zamuliło i woda właśnie dopiero co zaczęła szukać nowej, wygodniejszej drogi.

Żeńka prześledził wzrokiem bieg strumyka-zwiadowcy i natychmiast dojrzał, że święci się coś niedobrego. Nieco dalej, u podnóża skały, wznosiła się wielka biała kopuła. Mrowiła się przy niej szeleszcząca masa jakichś wstrętnych stonóg. Niektóre z nich niosły jeszcze żywe owady. Jeden, szczególnie duży okaz, ciągnął do swojego mrowiska szarą mysz ze zwisającymi bezwładnie łapkami. Owad przypominał dwucalową skolopendrę.

Pierwszy strumyk wody dotarł do kopuły, spróbował ją wyminąć, ale szybko wymacał korytarze prowadzące w dół i radośnie popłynął do podziemnych galerii, magazynów, komórek z gąsienicami i poczwarkami...

Stonogi jak na komendę porzuciły swoją zdobycz i popędziły w kierunku wody, chwytając mocno szczękami jakieś patyczki, suche źdźbła trawy, grudki ziemi. Niektóre same wskakiwały do zimnego strumyka, który jednak nabierał już siły. Nurt wyrzucał je na brzeg i jeśli nie zdążyły uciec na strop kopuły, zmywał je w dół. Przez setki otworów z mrowiska wyskakiwały w panice niebieskawe owady, drapały się na szczyt kopuły, zderzały się i spadały do zimnej wody, która unosiła je do podziemia. Niektóre niosły mokre poczwarki i gramoliły się z nimi na zbocze skały pod ciepłe promienie zachodzącego słońca. Stadko stonóg obsiadło rosnące w pobliżu rośliny, ścięło je ostrymi żwaczkami i wrzuciło do strumyka.

Jak w takiej sytuacji postąpiłby Jan?

Żenia, jak na jawie, zobaczył potężną postać swego starszego przyjaciela. Ostre spojrzenie nieubłaganie błękitnych oczu, czarna lufa automatu leżąca w zgięciu lewej ręki, spiżowa twarz bohatera. Jeden ruch palca i strumień oślepiającej plazmy tryska w siedlisko wstrętnych robali! Dym, czad, trzask i zamiast milionów malutkich wrogów mamy tylko kupkę popiołu...

Podniósł automat, niezgrabnie przycisnął wypolerowaną kolbę do lewego ramienia, zrobił parę kroków w górę strumyka. Właśnie w tym miejscu skała zawisła nad wodą.

Wybrał miejsce, starannie w nie wycelował... Grzmot, kurz, świst przelatujących nad głową odprysków kamienia. Właściwie należało strzelać zza osłony, ale był zbyt słaby, aby chciało mu się odwlekać chwilę śmierci.

Wystrzelił jeszcze jedną serię pocisków. Cała ściana granitu chybnęła się do przodu, pękła u nasady i rozpadła się na ogromne bloki. Głazy waliły się w strumyk i zagradzały mu drogę. Grunt dygotał pod ciężkimi uderzeniami. Wreszcie runęła jeszcze jedna ściana. Nad miejscem, gdzie przed chwilą płynął strumień, uniosła się chmura kurzu i drobnych kamiennych odprysków.

Żenia upuścił automat i zawrócił. Co by powiedział Jan, gdyby dowiedział się, że uratował siedlisko krwiożerczych stonóg i w dodatku porzucił broń!

Tym razem musiał obejść skałę z drugiej strony, gdyż starą drogę przegradzała mu zaimprowizowana tama. Ale musiał dotrzeć do strzaskanego helikoptera, żeby przy nim doczekać się wschodu śmiercionośnej gwiazdy, w swojej ostatniej minucie mieć przed oczyma cząstkę dalekiej, ojczystej Ziemi...

Wypadło mu przechodzić koło bagienka, na którego brzegu pasło się całe stado jednorożców. Z tymi żywymi czołgami zetknęli się już pierwszego dnia. Tylko wspaniały refleks Jana uratował ich wówczas przed błyskawicznym atakiem szarżującego potwora. Jednorożce były zupełnie nieobliczalne. Czasem pasły się spokojnie jak bawoły szczypiące zieloną trawkę, aby za chwilę zamienić się w drapieżne bestie, przed którymi wszystko co żywe uciekało w góry, kryło się w norach, zakopywało w ziemi. Właściwie w ojczystej ussuryjskiej tajdze też żyje zwierzę, które lubi jagody i obgryza młode pędy, a przy okazji upoluje sobie jelenia lub łosia. Ale jednorożec miał masę bawołu, szybkość jelenia i zwinność kota.

Żeńka zerknął na czerwonego olbrzyma, który już do połowy skrył się za horyzontem, uśmiechnął się gorzko i ruszył wprost przed siebie. Co za różnica?

Jednorożce, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi, niespokojnie dreptały tuż nad wodą. Dwa potwory weszły do ciepłego błocka i przeciągle ryczały, wyciągając przed siebie krótkie muskularne szyje. Pośrodku bagienka taplały się dwa tłuste jednorożątka, podobne do wyrośniętych prosiąt. Cielaki piszczały cienkimi głosikami, nie pojmując, dlaczego ciepła, bezpieczna kałuża stała się nagle taka głęboka i skąd się w niej bierze zimna woda.

Jeszcze i to... Zdaje się, że nadszedł dzień dobrych uczynków. Jednorożec do mnie z rogiem, a ja mu uratuję małe.

Już wchodził do bagna. Rzadkie błoto mlaskało i wciągało nogi. Żenia płakał z bólu i rozpaczliwie chwytał się zdrową ręką za wodne rośliny. Cielaki zamilkły na jego widok i

tylko gapiły się przerażonymi ślepkami, ale rozwrzeszczały się natychmiast, gdy podszedł do nich bliżej.

Jednorożce poruszyły się niespokojnie i spróbowały WEJŚĆ głębiej. Żeńka wbił zdrową rękę w błoto aż po ramię i chwycił pod brzuchem krągłe jędrne ciałko. Cielak szarpnął się i zaczął bić łapami.

Wreszcie udało się go podciągnąć do brzegu i wypchnąć na twardy grunt. Za to z drugim było więcej kłopotu. Cielak nie dał się wziąć na ręce i z każdą chwilą zanurzał się coraz głębiej. Zmordowany Żeńka, czując, że jeszcze moment i sam zostanie w tym bagnie na wieki, doholował przerażone zwierzątko do brzegu i upadł w błoto uderzając czołem o bok cielaka.

Zdążył jeszcze zobaczyć, jak jednorożce zaczynają wylizywać uratowane cielaki i stracił przytomność.

Zimna woda ze strumienia otrzeźwiła go po paru minutach. Niezbyt jeszcze przytomny, na uginających się nogach, wygramolił się z bagna i obszedł skałę.

Helikopter leżał na dawnym miejscu. Wypukły metalowy bok połyskiwał czerwono w świetle zachodzącego olbrzyma. Ale jego purpura mieszała się już z dziwnie złowieszczym odblaskiem. Po drugiej stronie horyzontu niebo przybrało barwę rozjarzonej plazmy: za parę minut wzejdzie śmiercionośny biały karzeł.

Żeńka nie doszedł do helikoptera. Utrata krwi i zmęczenie sprawiły, że zwalił się na ziemię o parę kroków od niego.

Nie widział już, jak drzewo zwabione zapachem krwi wyciągnęło ku niemu poskręcane konary. Z wilgotnej ziemi wolno wypełzły blade korzenie i zwijając się też ruszyły w stronę nieprzytomnego kosmonauty. Skręcały się w powietrzu niczym kłębowisko żmij, znów zakopywały się w miękkiej ziemi, ale działo się to coraz bliżej i bliżej nieruchomego ciała.

W tym samym czasie wielka niebieskawa stonoga wpadła z rozpędu na czoło Żeńki, odskoczyła, lecz zaraz rzuciła się drapieżnie do przodu i wbiła ostre szczęki prosto w skroń. Przez cieniutkie kanaliki wydrążonych zębów popłynął do ranki gęsty płyn. Potem stonoga wbiła jeszcze żwaczki w nasadę nosa, policzek i czoło. Gdyby Żeńka już wcześniej nie stracił przytomności, z pewnością zemdlałby teraz.

Nie widział jednak na szczęście, jak od pobliskiego mrowiska suną ku niemu hordy głodnych stonóg, jak nad horyzontem ukazuje się skraj tarczy białego karła i zalewa wszystko oślepiającym światłem. I nie poczuł też dotknięcia śliskich gałęzi drzewa-ośmiornicy...

Troll wściekłym uderzeniem pięści wyłączył nadajnik i zerwał się na równe nogi. Jego błękitne oczy wpiły się w szeroką, nieruchomą jak kamień, twarz Makiwczuka.

- To nie ma sensu! Gdyby żył, już dawno by się odezwał. Nie mogę dłużej z założonymi rękoma wsłuchiwać się w pustkę!

- Co proponujesz? - zapytał Makiwczuk.

- Ruszymy na poszukiwanie. Przecież mógł ocaleć? Może leży gdzieś z połamanymi nogami. Wiesz, ze on potrafi sobie skręcić kark na równej drodze. A ta groźna planeta nieźle mu się już dała we znaki.

- A gdzie będziemy szukać? - zapytał Makiwczuk.

Jan wzruszył ramionami i zaczął się miotać po ciasnej kajucie. Tak, doskonale wie, że odszukanie zaginionego jest praktycznie niemożliwe. W dodatku ich bard nie żyje. Dopiero co zaszedł biały karzeł, drugie słońce układu. Zaledwie godzinę świecił nad planetą, ale i to wystarczy, aby przekształcić człowieka w zwęglone zwłoki. Nie mają drugiego helikoptera, a planeta pokryta jest la sami. Bytuje na niej zbyt wiele drapieżnych zwierząt, zupełnie nie znanych, a więc w dwójnasób niebezpiecznych. Jeśli zwyczajny-krzak potrafi wyskoczyć z zasadzki i podrzeć na strzępy skafander, a zwyczajny chomik zabiera do swojej nory stalową gąsienicę łazika, jeśli z chmur lecą ostre jak brzytwy żelazne kryształy, to taka planeta zalicza się do niebezpiecznych i wymaga stosowania szczególnych środków ostrożności.

- Ale mimo to - dokończył z uporem - trzeba szukać!

- Istnieją różne postacie odwagi - powiedział Makiwczuk półgłosem. - Można zlekceważyć wyniki wieloletniej pracy uczonych w układach gwiazd centralnych, ruszyć zaraz w dżunglę i pięknie zginąć. Można też zacisnąć zęby i natychmiast wystartować, żeby ogromne zasoby informacji stały się własnością Ziemi. To drugie, rzecz jasna, jest znacznie trudniejsze.

Jan podskoczył do iluminatora, wyjrzał, a potem z rozczarowaną miną wrócił na środek kajuty.

- Niewątpliwie masz rację - powiedział ostrym tonem - ale takie bohaterstwo jest trochę nieludzkie. Pamiętaj jeszcze o jednym: nie chodzi tu wyłącznie o naszego towarzysza. Jeśli teraz nie zrobimy wszystkiego, co w naszej mocy, aby go uratować, tym samym wykreślimy połowę przyszłych bohaterskich czynów i zuchwałych akcji we wszystkich światach zamieszkanych przez ludzi! Zawsze z lekkim sercem idę na ryzykowną lub niebezpieczną wyprawę, bo wiem, że w razie czego koledzy będą mnie szukać, uratują lub przynajmniej zrobią wszystko, żeby uratować. A przecież nie jestem tchórzem, i ty o tym

doskonale wiesz! Oto do czego może doprowadzić twój “rozsądek”, kapitanie Gwiezdnej Floty!

Makiwczuk wzruszył potężnymi ramionami i wygramolił się zza pulpitu rozdzielczego.

- Wcale nie jestem taki “rozsądny”, jak powiadasz. Po prostu... głośno myślałem.

Jan gwałtownym szarpnięciem otworzył drzwi szafy i zerwał skafander z haka.

- Gdybyś był młodszy - powiedział z ponurym uśmieszkiem - za takie głośne myślenie pokazałbym ci, gdzie raki zimują.

Makiwczuk bez pośpiechu założył pancerz, przypiął do pasa kaburę z pistoletem atomowym i dopiero wtedy zmierzył ostrym spojrzeniem brązowych oczu atletyczną postać nawigatora.

- Jak wrócimy - odparł z groźbą w głosie - możemy się przekonać, czy wytrzymasz chociażby jedną rundę.

Założyli hełmy i wyszli na korytarz. Zwinny Troll wyskoczył z owalnego włazu wprost na ziemię, natomiast Makiwczuk nie pominął ani jednego szczebla trapu, który trzeszczał i wyginał się pod ciężarem jego potężnego ciała.

Przez kilka minut szli po wypalonej ziemi. Przy każdym kroku wznosiły się tumany sadzy i popiołu, tryskały fontanny niebieskiego dymu.

- Rozdzielimy się? - zaproponował Troll. - W ten sposób podwójnie wzrosną nasze szanse.

- Śmierci? - zapytał Makiwczuk. - No dobra, Wybieram te skały. A ty idź...

Troll uniósł rękę ostrzegawczym gestem i nadstawił ucha. Po chwili również Makiwczuk usłyszał ciężki tętent.

- Jednorożce - powiedział. - Nigdy ich nie zapomnę. Zejdźmy im z drogi.

- Może przegalopują bokiem?

- Nie, idą wprost na nas, możesz mi wierzyć.

Wrócili i weszli po trapie na statek. Uzbroili się w automaty. Tętent narastał, w oddali ukazała się chmura kurzu, a zaraz potem groźna lawina potężnych zwierząt. Ziemia dudniła pod ich silnymi kopytami. Stado mknęło równym galopem. Bryły czarnej gleby wzbijały się wysoko, niczym stado kruków.

I - to było okropne, nieprawdopodobne! - na ogromnym jednorożcu, wczepiony w kudłatą grzywę, siedział człowiek!

- Żeńka! - krzyknął Jan straszliwym głosem.

Stado zbliżało się nieuchronnie. Człowiek siedzący na jednorożcu uniósł niepewnie rękę, ale zaraz opadł na grzbiet zwierzęcia i mocniej chwycił za sierść. Przywódca stada i kilka innych zwierząt z przedniej grupy wpadło na wypalony krąg lądowiska... Ciężkie kopyta załomotały po suchej ziemi.

- Przebiegną tuż obok statku - szepnął Makiwczuk. - Przygotuj się, ale nie strzelaj bez potrzeby. Może on zdoła sam zeskoczyć...

Jan kiwnął głową. Oparł lufę automatu na zgiętej ręce i uważnie obserwował czarnego jednorożca. Spostrzegł, że groźne zwierzę stopniowo przesuwa się na lewą stronę lawiny. Ucieszył się: jeśli Żeńka nie zdoła sam zeskoczyć, będzie mu można pomóc.

Dudniąca lawina przemknęła obok statku. Kosmonauci na wszelki wypadek weszli na ostatni szczebel trapu. Jan podniósł broń do oka.

Czarny jednorożec nieco zwolnił. Był już zaledwie o parę metrów od statku...

...i w tym momencie jeździec skoczył. Nie utrzymał się na nogach i potoczył się po zakurzonej ziemi, a tuż obok jego głowy biły o grunt szerokie kopyta.

Stado przemknęło, omijając krąg wypalonej ziemi i z chrzęstem wbiło się w zielone zarośla dżungli. Po minucie tętent ucichł tak gruntownie, jakby w pobliżu statku nigdy nie pojawiło się stworzenie większe od wróbla.

Jeździec siedział w popiele i drapał się jak oszalały. Dwie pary silnych rąk podchwyciły go jak piórko i postawiły na ziemi.

- Żeńka!

Jan objął go i uściskał.

- Do statku, do statku! - zaczął ich popędzać Makiwczuk. - I żeby już niczyja noga nie stanęła na tej piekielnej planecie! Wszystko powiesz nam przy herbacie...

Żeńka wdrapał się za kapitanem po trapie, przeszedł do mesy i opadł na kanapę, ale zaraz przesiadł się na twardy fotel i zaczął czochrać plecami o poręcz.

- Już nigdy w życiu nie wsiądę do łazika - powiedział zdecydowanym tonem. - Starczy, wytrząsłem się za wszystkie czasy... Jeszcze teraz w głowie mi się kręci. Z początku szedłem za nimi i dopiero kiedy niechcący władowałem się w sam środek stada, wgramoliłem się na pierwszego z brzegu, żeby mnie nie rozdeptały. Zresztą nie sam. Obok mnie siedziały jakieś miejscowe kruki i dziobały go w grzbiet.

- Szukały pasożytów - powiedział Makiwczuk.

- Symbioza.

- Słuchaj, poeto - odezwał się Jan - dziwnie coś wyglądasz. Jakby ci diabły na pysku groch młóciły. I drapiesz się jak sparszywiałe prosię...

Żeńka wzdrygnął się i zbladł. Makiwczuk troskliwie nalał mu szklankę palinki. Chłopak wypił ją jednym haustem i zakrztusił się.

- Mam jeszcze jedno pytanie - powiedział z namysłem Jan. - Powiedz nam, jak ci się udało przeżyć w promieniach białego karła. Gadaj! Pamiętasz, jak uważałeś mnie za agenta obcej cywilizacji? Teraz ja się na tobie odegram.

- Wątpię - odparł Żeńka.

Jego twarz zaczęła pokrywać się gorącym rumieńcem, oczy zalśniły. Makiwczuk pokiwał z aprobatą głową i nalał jeszcze pół szklanki. Dla siebie.

- A to dlaczego? - zapytał Jan.

- Dlatego, że po raz pierwszy nie naśladowałem ciebie, tylko postąpiłem po swojemu. I wcale tego nie żałuję! Drzewo osłoniło mnie przed promieniowaniem, owady zdopingowały mój układ regeneracyjny i złamana ręka - a tak, miałem złamaną rękę! - wygoiła się w ciągu paru godzin, groźne zwierzęta przyjęły mnie do stada i żaden drapieżnik nie ośmielił się do mnie zbliżyć. Teraz nago i boso przejdę tam, gdzie wy nie zdołacie się przedrzeć w pancernym pojeździe. Nie wiem, jak to wyrazić językiem naukowym - nie jestem magistrem egzobiologii, jak Jan - może zostałem włączony do cyklu ekologicznego lub uznany za symbionta... W każdym razie bardzo mi się to podoba. A swędzenie nie jest zaraźliwe. To tylko przejściowy skutek gwałtownej regeneracji.

ŻYCIE I ŚMIERĆ - Władimir Firsow

1. ZIELONE KULE I NERWOWY NIEZIEMSKI KUNDEL

Kiedy w dole błysnęło łożysko strumienia, Sergiusz Ławrow jeszcze raz zerknął na mapę i skierował dyskolot w stronę niedalekiej polanki. Aparat opadł wypukłym dnem na kosmatą, elastyczną trawę, zawibrował i miękko przechylił się na bok: Sergiusz wyłączył pole stabilizujące. Gałązki nielicznych otaczających polanę krzewów trój płatkowymi kwiatami sięgały tam zaledwie do pasa, więc Sergiusz uznał, że bez większego trudu przeciągnie sondę na brzeg strumienia.

Dzień był prawie bezwietrzny, a korzenny zapach traw, rozlewający się w nieruchomym gorącym powietrzu, uderzał do głowy, skłaniał do myślenia o wszystkim - o podwodnym spacerku wzdłuż Wielkiej Rafy Koralowej, o wielkich oczach Maszeńki, o tym, jak to dobrze być młodym - tylko nie o nudnym sondowaniu. Ciemnofioletowe niebo koło południa nagle zniebieszczało, zrobiło się przezroczyste i gdyby nie ciężki miotacz promieni, który trzeba zawieszać na szyi, i nieoczekiwane piski ogromnych owadów, mrowiących się w wysokiej trawie, można by pomyśleć, że to wcale nie planeta Alfa w układzie Gwiazdy Bernarda, lecz swojski, rodzimy step gdzieś pod Białą Cerkwią. Sergiusz nagle wyobraził sobie, jak rzuca w trawę uprzykrzony miotacz, ściąga przez głowę mokrą od potu koszulkę i wskakuje do strumienia. Woda jest zimna, piekąca i już po chwili skóra zaczyna płonąć jak sparzona wrzątkiem, a zęby dzwonią niby w gorączce. Teraz na piasek - żółty, rozpalony, jakby specjalnie usypany w zakolu starorzecza...

W tym momencie Ławrow zauważył, że stażysta Ahmed przygląda mu się z wielkim zainteresowaniem i ukradkiem zaczyna rozpinać guziki koszuli. Zaklął w duchu - ten smarkacz zdawał się czytać jego myśli - i powiedział rzeczowo:

- Rozpakowujemy się...

Ahmed pokręcił głową.

- Pomyliliście się, kapitanie, chcieliście powiedzieć: wykąpiemy się...

- Wykąpiesz się w bazie - mruknął Ławrow, odpinając zamki pojemnika. - Nalejesz sobie wody do nadmuchiwanej wanny i będziesz się pławił.

Ahmed westchnął boleściwie i wygramolił się z dyskolotu.

- Dokąd to? A miotacz?! - krzyknął Sergiusz.

Ahmed jęknął.

- Nie przypuszczałem, że tak ściśle trzymasz się litery prawa. Dźwigam tę maczugę już od dwóch tygodni! Mam już odciski na karku jak juczny osioł. I po co to robię? Na tej planecie jeszcze nikt z niczego nie strzelał.

- Ahmed, trzymaj się instrukcji!

- Instrukcja, instrukcja - warknął Ahmed. - Daj mi autora tej instrukcji, to ja już mu powiem...

- Nic mu nie powiesz.

- Kto? Ja? Zobaczysz, że mu powiem: weź, przyjacielu, wszystkie nasze miotacze i noś je sobie na zdrowie, póki ci szyja nie uschnie. A jeśli ci ich mało, możemy sprowadzić z "Ariela" jeszcze tuzin, skąpi nie jesteśmy.

- Nic mu nie powiesz, Ahmed - powtórzył sucho Sergiusz. - Autor tej instrukcji dziesięć lat temu zaginął tu, na Alfie.

- Jak to: zaginął? - zapytał zmieszany Ahmed. - Dlaczego?

Sergiusz wzruszył ramionami, wyjął miotacz promieni z uchwytów i podał praktykantowi. Nie wiedział, co stało się z Bestużewem, nikt nie wiedział.

- Zwyczajnie. Zaginął i już. Zniknął. Przepadł. Wyparował. I dopóki ta tajemnica nie zostanie wyjaśniona, będziesz dźwigał miotacz promieni, radiostację, pelengator i wszystko, co ci każę, nawet rycerską zbroję. Zrozumiano?

Ahmed ze smutkiem pokiwał głową i zawiesił miotacz na szyi, a potem zarzucił na plecy ciężką szpulę kabla i ruszył w dół, w stronę potoku. Sergiusz szedł za nim, podtrzymując ręką ciężką samobieżną sondę elektryczną. Zapomniał o podkładce i teraz ostra krawędź śruby Archimedesa boleśnie wrzynała mu się w ramię. Szpula skrzypiała miarowo, kabel leniwie układał się w trawie, z której wyskakiwały ogromne owady. Jeden z nich, wielkości dużej żaby, skoczył na wysoki but Sergiusza, przyssał się do cholewki i znieruchomiał, niemrawo poruszając niezliczonymi oczkami. Sergiusz wiedział, że tutejsze owady są absolutnie nieszkodliwe, ale od dziecka nie znosił pająków, stonóg i innych robali, więc czubkiem buta zrzucił nieproszonego gościa w trawę.

O jakieś dwadzieścia kroków od brzegu wbili sondę w piasek, Sergiusz włączył silnik i śruba zaczęła wolno wgryzać się w ziemię. Po paru minutach sonda zniknęła w gruncie i tylko osypująca się jamka oraz wpełzający w nią kabel wskazywały, gdzie się teraz znajduje.

- Spójrz - powiedział półgłosem Ahmed szturchając Sergiusza w ramię.

Ławrow obejrzał się. Wprost na nich od strony potoku toczyła się wolno wielka zielona kula. Kątem oka zauważył, że ręce Ahmeda opadły na kolbę miotacza. Uśmiechnął się. Ahmed zauważył jego spojrzenie, zaczerwienił się, nadął, ale nie zdjął rąk z miotacza -

udał, że po prostu tak mu jest wygodniej. Tymczasem kula zbliżała się. Była wielka niemal jak człowiek, a jej mięsista, szorstka powierzchnia pulsowała i opalizowała wszystkimi odcieniami zieleni. Była lekko spłaszczona i przypominała raczej jajko na miękko w koszulce, które z jakiegoś powodu postanowiło wyjść na przechadzkę, niż geometryczną kulę. Poruszała się bezdźwięcznie, a tylko lekko trzeszczały przygniatane przez nią gałązki krzewów. Trudno było określić, co to jest - roślina, zwierzę, dziwaczny pojazd terenowy czy może jeszcze coś innego. Kula wolno, majestatycznie, jednostajnie toczyła się w górę po niezbyt stromym zboczu, jakby nagle przestało działać prawo powszechnego ciążenia.

Kiedy kula znalazła się tuż przy nich, zdezorientowany Ahmed cofnął się i wystawił w stronę nieproszonego gościa ryjek miotacza.

- Co to może być? - wymamrotał odbezpieczając broń. - Pcha się na nas i nie wybiera drogi.

Sergiusz położył dłoń na lufie miotacza i delikatnie przygiął ją ku ziemi.

Kula majestatycznie przetoczyła się obok nich, prześlizgnęła po kablu, wgniatając go lekko w trawę i wgramoliła się na wzgórek, cała się przy tym rozpłaszczając.

- Niezła dynia! - powiedział Ahmed z podziwem.

- Masz jeszcze jedną - wskazał ręką Sergiusz.

Wzdłuż strumienia toczyła się druga kula, znacznie większa od pierwszej.

- Urządziły tu sobie majówkę czy co? - zapytał Ahmed.

Sergiusz spojrzał na zegarek. Za jakieś pięć minut sonda powinna dotrzeć na zaprogramowaną głębokość. Sięgnął do kieszeni szortów i wyjął kanapkę w hermetycznym opakowaniu. W tym momencie z tyłu rozległ się jakiś dziwny dźwięk. Coś chłodnego i wilgotnego trąciło go pod kolanem. Odwrócił się na pięcie i drętwiejąc z przerażenia obronnym gestem wystawił miotacz przed siebie. Ale nie była to obrzydliwa, oślizgła ośmiornica, brontozaur, tygrys-wampir czy jakieś inne jeszcze nie znane i przerażające zwierzę, lecz zwyczajny pies - kudłaty, śmieszny kundel, który nie wiadomo jak znalazł się na Alfie. Pies radośnie merdał ogonem, upstrzonym tutejszymi rzepami, uśmiechał się i wymownie wlepiał ślepia w kanapkę. Kundel najwyraźniej nie był bezpański, bo na szyi pyszniła się metalowa obroża ze zwisającym kawałkiem skórzanej smyczy.

- Zjawisko szóste: to samo plus nieziemski kundel! - wykrzyknął zdumiony Sergiusz.

Na ich statku nie było zwierząt, a więc pies musiał być stąd, co z kolei wydawało się absolutnie niemożliwe, ponieważ, o ile wiedział, na Alfie nikt nie mieszkał. Ale pies stał przed nim, przymilnie merdał ogonem, patrzył rozkochanym wzrokiem na kanapkę, a do

obroży przymocowane było płaskie pudełeczko pelengatora, wymontowanego z ostatniego modelu kosmicznego skafandra.

- Burek, Misiek, Ciapek! - zawołał Ahmed pochylając się. Pies podszedł ufnie i polizał go po ręce. Ale widocznie nic nie wywęszył, bo znów zagapił się na Sergiusza.

- Czyj ty możesz być? - zastanawiał się Sergiusz.

W tym momencie przyszło mu do głowy, że służba informacyjna zapomniała zawiadomić ich o pojawieniu się nowych ludzi na planecie. Takie rzeczy, wprawdzie rzadko, ale się jednak zdarzały. Statki włóczą się teraz po kosmosie jak wczasowicze po lesie. Nie sposób wszystkich skontrolować, a miłośników egzotyki i samotnego życia na łonie natury nigdy nie brakowało. Nie wszyscy chcą się rejestrować, gdyż obowiązkowe w takim wypadku badania lekarskie, szczepienia przeciwko setkom istniejących, hipotetycznych i nie istniejących chorób, śmiertelnie nudne instrukcje, przewidujące wszelkie możliwe i niemożliwe sytuacje życiowe - łącznie ze spotkaniem istot z antyświata, długie i uciążliwe treningi - poczynając od naprawy awaryjnych urządzeń łącznościowych, a kończąc na udzielaniu pierwszej pomocy przy otwartym złamaniu podudzia - najzawziętszego legalistę potrafią skłonić do zastanowienia się, czy rejestrowanie istotnie jest tak niezbędne...

- Nasz gość z pewnością chętnie by sobie co nieco przekąsił - powiedział Ahmed. - Poczęstuj go!

Kundel zrozumiał, zamerdał jeszcze energiczniej i rozpromienił się. Sergiusz nie wytrzymał.

- Poddaję się! - wykrzyknął ze śmiechem i pociągnął za języczek torebki. Hermetyczne opakowanie kanapki pękło z suchym trzaskiem. W tej samej chwili pies krótko zaskowyczał i odskoczył jak oparzony. Sergiusz odruchowo wyrzucił ręce do przodu, osłaniając twarz i szyję, ale kundel ani myślał atakować. Wcisnął się w trawę i zaczął czołgać się do tyłu, nie spuszczając z Ławrowa oczu. Zjeżył się, wyszczerzył kły i warknął.

- Co mu się stało? - zdziwił się Sergiusz i dał krok do przodu, ale pies warknął jeszcze głośniej, dając mu w ten sposób do zrozumienia, że obraził się nie na żarty.

- Ciapek, coś ty taki nerwowy? - powiedział Ahmed. - Warczeć na przyzwoitych ludzi... Do czego to podobne? Powinieneś się leczyć, a nie włóczyć po obcych planetach...

Pies odczołgał się parę metrów, odwrócił się i potruchtał wzdłuż strumienia, oglądając się co chwila i pokazując zęby. Sergiusz popatrzył w jego stronę i nagle zauważył, że wielka kula gdzieś zniknęła. Dolina strumienia była doskonale widoczna na całej długości i taka rzecz po prostu nie mogłaby się tam ukryć. Epizod z psem nie trwał nawet dwóch minut i w tym czasie kula nie zdążyłaby dotrzeć do grzbietu wzgórza. Nie zastanawiał się nad tym

dłużej, bo kabel już przestał wpełzać do środka jamki - sonda osiągnęła żądaną głębokość i wyłączyła się.

- Idziemy - Sergiusz machnął ręką w kierunku dyskolotu. - Musimy dziś jeszcze zrobić pięć sondowań.

Cały pomiar zajął im jakieś piętnaście minut, a potem musieli jeszcze czekać, aż sonda wygramoli się z powrotem. Ahmed lekko ciągnął kabel, aby nie przecięła go śruba sondy, a Sergiusz siedział obok, palił i rozmyślał o dziwnych wydarzeniach, których byli świadkami. Potem załadowali sprzęt do dyskolotu, wyszukali kolejny punkt na mapie, lecieli tam i wszystko powtarzało się. Z góry zauważyli jeszcze trzy lub cztery zielone kule. Wszystkie toczyły się wolno w tym samym kierunku, akurat tam, dokąd na mapie prowadził rzadki łańcuszek zaznaczonych odwiertów badawczych. Zamiast sześciu pomiarów zdążyli wykonać osiem, bo grunt był nadspodziewanie miękki i sondowanie trwało krócej. Na mapie, co prawda niezbyt dokładnej, wprost przed nimi leżała rozległa, płytka kotlina, do której wpływało kilka strumieni. Sergiusz pomyślał, że tam musi być bagno, ale wcale go to nie zmartwiło, bo dyskolot może nieruchomo zawisnąć nad każdą powierzchnią. Tyle tylko, że sonda może uwięznąć - bagno to bagno... Ocenił na oko szerokość trzęsawiska - co najmniej pięć odwiertów - i uznał, że strata dwóch lub trzech sond nie będzie wielkim nieszczęściem. Jutro zdążymy, pomyślał, nie wiedząc jeszcze, co mu to jutro przyniesie.

2. PO CO DON KICHOTOWI MIOTACZ PROMIENI

Wieczorem członkowie wyprawy świętowali zakończenie budowy domu. Około siódmej, kiedy tutejsze słońce, żółtoczerwona Gwiazda Bernarda, zaczęło przybierać odcień fioletu, wszyscy zebrali się przed niedawno stwardniałymi schodami z plastibetonu, z przeciągniętą w poprzek czerwoną wstążeczką. Do przodu wypchnięto malarkę Maszę i dowódca wyprawy Burton uroczyście wręczył jej własne nożyczki do manicure. Maszeńka czarująco się zmieszała i przy wtórze oklasków przecięła wstążeczkę. Rozległa się salwa honorowa z rakietnic, a w oknach zapłonęły światła. Wszyscy ruszyli do domu.

- Chwileczkę! - krzyknął Burton.

Podniósł z ziemi podwodną kuszę nabitą tępą strzałą i powiedział:

- Ogłaszam zawody strzeleckie o tytuł mistrza Alfy! Zwycięzca zostanie nagrodzony głośnym sykiem!

Rozległ się gromki śmiech. Od chwili lądowania cała załoga, póki nie zbudowano domu, mieszkała w wielkim nadmuchiwanym hangarze. Mimo wyposażenia go w

klimatyzatory, grzejniki i wszelkie możliwe instalacje, namiot jakoś nikomu się nie podobał. Ahmed wręcz go znienawidził i wbrew kategorycznym zakazom od czasu do czasu wymykał się ze śpiworem i spędzał noce pod gołym niebem, za co nieraz dostał potężną burę od Burtona. Teraz nadmuchiwany ogrom tylko zasłaniał widok z okien i wszystkim przypadł do serca pomysł, aby się z nim rozprawić.

- Panie mają pierwszeństwo! - zawołał Ahmed. - Maszeńka, strzelaj!

Masza znów się zaczerwieniła, wzięła kuszę i wycelowała. Broń miała twardy spust, więc kiedy wreszcie sobie z nim poradziła, była skierowana nie tam, gdzie trzeba. Ewa Stadniuk, lekarka wyprawy, miała więcej szczęścia - jej strzała uderzyła w powłokę pół metra nad zaworem. Strzelający jako trzeci Szawrow wiedząc, że w powietrzu kusza bije silniej niż pod wodą, wycelował niżej. Jego pocisk uderzył tuż obok białego krążka.

Czwarty był Ahmed. Złożył dziewczętom ceremonialny ukłon i powiedział:

- Mój znamienity sukces pragnę złożyć u stóp pięknych Alfianek - mówiąc te słowa wpatrywał się w Maszeńkę.

Kusza szczęknęła i rozległ się głośny syk - strzała trafiła w sam środek zaworu.

- Hura! - krzyknął Burton i wszyscy zaczęli bić brawo.

Ewa podeszła do Ahmeda, pochyliła się lekko i złożyła macierzyński pocałunek na jego czole. Zaróżowiona Maszeńka uniosła się na palce i cmoknęła go w podbródek.

- Proszę do stołu! - powiedział uroczyście Burton. - Dziewczęta, zajmijcie się zwycięzcą!

Gdy już ze śmiechem i przepychaniem wszyscy zajęli miejsca, strzelił szampan.

- Oby nam się dobrze mieszkało! - powiedział Burton unosząc kielich. Za oknem opadało z sykiem gumowe cielsko namiotu.

Niebawem ogólna rozmowa rozpadła się i sąsiedzi zajęli się sobą.

- Widzieliśmy dziś żywe kule - opowiadał Ahmed Maszeńce. - Wybrały się na poszukiwanie przygód. Potem podszedł do nas pies i poprosił mojego szefa o kanapkę.

- To jeszcze nic! - odezwał się siedzący po drugiej stronie stołu Kuleszow. - Do mnie któregoś dnia podszedł brontozaur i poprosił o papierosa...

Sergiusz już trzy razy słyszał historię o brontozaurze-palaczu, więc nie zwracał na te łgarstwa najmniejszej uwagi. O wiele bardziej go interesowały dzisiejsze kule. Natychmiast po powrocie do bazy opowiedział Burtonowi o dziwnym spotkaniu. Kierownik ekspedycji ucieszył się bardzo z tej wiadomości. Wysłuchał go uważnie, wszystko dokładnie zapisał i powiedział, że od jutra zajmie się zielonymi kulami. Nic dziwnego. Wprawdzie biolodzy

mieli pracy pod dostatkiem, ale była to robota nieciekawa - systematyzacja, opisy, zielniki, kolekcje. Natomiast taka forma życia jak zielone kule obiecywała wiele niespodzianek.

- Jak pan sądzi, co to może być? - zapytał Sergiusz.

Burton wzruszył ramionami.

- Skąd mogę wiedzieć. Brak danych. Inna rzecz, że Bestużew widział taką kulę i nawet ją sfilmował.

- I nie próbowaliście nawet czegoś się o niej dowiedzieć? Nie bardzo w to wierzę.

- Byliśmy gotowi natychmiast popędzić za kulą, schwytać ją, zmierzyć, spreparować, ale Bestużew nam zabronił. Powiedział; “To jest ich planeta, a my jesteśmy jedynie nieproszonymi gośćmi. Dlatego będziemy tylko obserwować! Skąd możemy wiedzieć, czy napotkana przeze mnie kula nie jest jakimś szalenie rzadkim lub nawet jedynym reprezentantem nie znanej nam formy życia?” A potem nie mieliśmy już czego obserwować. Przez kilka dni kręciliśmy się nad okolicą, gdzie Bestużew nakręcił swój film. Kula zniknęła, jakby się zapadła pod ziemię. A później Bestużew zniknął.

- Proszę nam o tym opowiedzieć! - poprosił Ahmed.

- To wydarzyło się na krótko przed odlotem. Otrzymaliśmy właśnie satelitarną fotomapę planety i pobieżnie badaliśmy najbardziej interesujące okolice. Bestużew nie wrócił na czas, więc zaczęliśmy się o niego niepokoić. Łączność radiowa, jak wiecie, jest tu w ciągu dnia bardzo niepewna ze względu na wielkie zakłócenia wywoływane promieniowaniem słońca, ale jakoś udało nam się go wywołać. Bestużew powiedział, że musi zostać w terenie może nawet do rana i że nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Z jego tonu wywnioskowaliśmy, że natknął się na coś bardzo interesującego. Potem łączność się urwała. W nocy kilkakrotnie wywoływaliśmy go, ale bez skutku. O świcie poleciałem do niego z Pietrowem. Dyskolot znaleźliśmy od razu, jednak Bestużewa nigdzie nie było. Kopułka aparatu była zamknięta, urządzenia pracowały bez zarzutu, radiostacja była całkowicie sprawna. Przetrząsnęliśmy całą okolicę i nic nie znaleźliśmy - ani śladów walki, ani strzępów ubrania. Pomyśleliśmy: utonął w bagnie. To było jedyne, chociaż niezbyt prawdopodobne wytłumaczenie zagadki. Bagno nie odznaczało się niczym szczególnym, nie miało niebezpiecznych miejsc, a ponadto trudno było sobie wyobrazić, aby taki doświadczony badacz zaryzykował nocną wyprawę na trzęsawisko. Na wszelki wypadek przeczesaliśmy bagno wykrywaczem metali - Bestużew miał przy sobie nóż, zegarek i latarkę - ale bez skutku.

- Powiedział pan, że utonięcie w bagnie było jedynym prawdopodobnym wyjaśnieniem - powiedział Sergiusz po chwili milczenia. - A czy były wytłumaczenia nieprawdopodobne?

- Mnóstwo. Na przykład mówiono, że Bestużewa uniósł gigantyczny ptak albo że połknął go wąż bagienny. Na Alfie jednak nie występują żadne większe zwierzęta. Z równym powodzeniem moglibyśmy założyć, że porwali go przybysze z Mgławicy Andromedy.

- Albo z Bety... - powiedział Ahmed. - Mieliby bliżej.

- Beta jest martwa i pan doskonale wie o tym - uciął Burton. - Ale dlaczego taki poważny i zdyscyplinowany badacz jak Bestużew, który akurat miał obchodzić sześćdziesiątą rocznicę swego pierwszego lotu w kosmos, kąpał się wbrew wszelkim instrukcjom, tego nie wie nikt.

- Jak to! Kąpał się? - zapytało kilka głosów naraz.

Wszyscy wiedzieli, że na Alfie w wodzie ani w powietrzu nie ma niebezpiecznych lub szkodliwych roślin, zwierząt i drobnoustrojów, ale ta wiedza była bardzo świeżej daty. Dziesięć lat temu kiedy flora i fauna niedawno odkrytej planety była zupełnie nie znana, kąpiel graniczyła z szaleństwem i wszyscy doskonale zdawali sobie z tego sprawę.

- Jak to: kąpał się? - powtórzył Ahmed ignorując wymowne spojrzenie Sergiusza.

- Opodal dyskolotu płynęła rzeka. Na jej piaszczystym brzegu znaleźliśmy ślady bosych stóp.

- To znaczy, że on utonął! Albo że pożarł go rekin - szepnęła Maszeńka, szeroko otwierając wielkie oczy.

- A potem ten rekin wygramolił się na brzeg i zeżarł ubranie, buty i broń... - dodał tym samym tonem Kuleszow. - Klnę się na swoją łysinę, że to musiał być niezmiernie wygłodzony rekin.

- Tak, skoro taki wypadek jest mało prawdopodobny, możemy przyjąć, że kąpiel zakończyła się szczęśliwie. Jednak nadal pozostaje tajemnicą, dlaczego Bestużew postąpił tak nierozważnie.

- Może chciał coś wydobyć z wody?

- Nawet w takim wypadku nie zdejmowałby butów. Nosiliśmy wówczas nieprzemakalne biologiczne kombinezony. Dopiero teraz możemy sobie pozwolić na szorty i opalacze...

- To wszystko jest bardzo dziwne - powiedział Sergiusz.

- Istotnie bardzo dziwne - zgodził się Burton. - Przez dziesięć lat nie udało się nic wyjaśnić.

- A ja sądzę - powiedział Ahmed zerkając na Maszeńkę - że porwali go międzyplanetarni gangsterzy. Powiadają, że oni naprawdę istnieją i polują głównie na wielkich uczonych po osiemdziesiatce i na piękne dziewczyny przed dwudziestką. Ale nie z nami takie numery! Niech no tylko spróbują!

Chwycił stojącą w pobliżu kuszę i wycelował ją w drzwi. Maszeńka roześmiała się. Zachęcony tym Ahmed zaczął wściekle przewracać oczami i udawać, że odpiera nagły atak tajemniczych bandytów.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi.

Wszyscy byli tak zaskoczeni, że śmiechy i rozmowy natychmiast umilkły. Sergiusz obrzucił stół wzrokiem - nikogo nie brakowało. Zdezorientowany Ahmed opuścił broń i zerknął na wstającego właśnie Burtona.

Pukanie powtórzyło się. Tym razem było głośniejsze i natarczywe.

- Proszę - powiedział Burton i drzwi się otworzyły.

Kiedy siedzi się wieczorem przy stole w kręgu przyjaciół na słabo zbadanej planecie, oddzielonej od Ziemi miliardami kilometrów i miesiącami lotu, kiedy się wie, że wasz niewielki, przytulny domek jest jedyną forpocztą ziemskiej cywilizacji i nagle słyszy się natarczywe pukanie do drzwi - można spodziewać się tylko jednego: wizyty małego zielonego ludzika z antenkami na głowie, człowieka-mrówki, pajęczokształtnego robota lub rozumnej ośmiornicy z laserem w jednej z macek. Nikt jednak nie spodziewał się, że do biesiadnego pokoju wejdzie z obnażoną szpadą wysoki brodaty starzec, przypominający Don Kichota ubranego w strój Sanczo Pansy. Starzec miał na sobie wyszmelcowane szorty, z których wystawały chude, muskularne nogi, przeraźliwie kolorową kurtkę z szerokimi rękawami, a na głowie - ogromny i równie pstry kapelusz. Opasywał go szeroki, solidny rzemień, w którym doświadczone oko Burtona natychmiast rozpoznało element ekwipunku kosmicznego numer siedem, przeznaczonego dla badaczy planet ziemiopodobnych. Chude nogi tkwiły w ciężkich buciorach pokrytych zaschniętym błotem. Jednak najbardziej zdumiewała twarz starca - pociągła, ascetyczna, niemal pozbawiona zmarszczek - i płonące w tej twarzy żywe, ogromne, niespokojne oczy. Na oko można mu było dać siedemdziesiąt lub osiemdziesiąt lat.

- Dzień dobry - powiedział starzec łamanym linkosem. - Zechce pan opuścić to żelastwo - skinął szpadą na Ahmeda. - Nie chciałbym, żeby wystrzeliło mi w brzuch...

Ahmed w popłochu zerknął na swoje ręce i stwierdził, że celuje wprost w gościa. Zarumienił się jak pensjonarka i schował kuszę za siebie. Nikt jednak nie zauważył jego zmieszania, wszyscy gapili się na nieznajomego.

- Dzień dobry... - odpowiedziało kilka głosów.

- Prosimy - powiedział Burton. - Będziemy zaszczyceni, jeśli zechce pan zjeść z nami kolację.

Starzec nie wiedzieć czemu dźgnął szpadą w podłogę, ale ostrze odskoczyło od miękkiego, ciepłego plastiku. Wówczas oparł szpadę o ścianę i niespiesznie zajął podsunięte mu krzesło.

- Jestem Burton, kierownik drugiej wyprawy alfiańskiej. A to są moi współpracownicy - Burton przedstawił nieznajomemu wszystkich siedzących przy stole. - Nasz statek został na orbicie, tu mamy tylko kuter desantowy.

Starzec w milczeniu skinął głową, odsunął stojące przed nim nakrycie i rzucił okiem na liczne szkice Maszeńki porozwieszane na ścianach.

- Mam do pana prośbę, Burton - powiedział wreszcie. - Chodzi o to, że... zaginął mój przyjaciel... mój pies. Po śmierci żony zostałem na świecie sam i Cezar jest dla mnie wszystkim - przyjaciółmi, znajomymi, rodziną... Będę niewypowiedzianie wdzięczny, jeśli zechce mi go pan zwrócić.

- U nas nie ma tego psa - powiedział Sergiusz. - Widzieliśmy go dzisiaj jakieś czterdzieści kilometrów stąd. - W tym momencie przypomniał sobie obrożę i dodał: - Pelengator panu nawalił?

Starzec nie zaszczycił go odpowiedzią.

- Jeśli zaś z jakiegoś względu trudno będzie panu zwrócić mi Cezara, to czy nie zechciałby pan odstąpić mi... sprzedać waszego psa służbowego? Zapłacę każdą cenę.

- Chętnie spełniłbym pańską prośbę - odparł Burton - ale nasza wyprawa nie ma psa.

- Nie ma psa? - zdziwił się starzec. - Na statku również nie ma?

- Na statku również.

Starzec milczał przez chwilę. Korzystając z pauzy wszyscy, jeden przez drugiego, zaczęli częstować gościa, ale on niedbałym ruchem głowy odrzucał nawet najbardziej kuszące propozycje.

- Może znów natkniemy się na pańskiego psa - powiedział Burton. - Gdzie pana wówczas będziemy mogli znaleźć?

- Nie chciałbym przysparzać najmniejszego kłopotu - powiedział wymijająco gość. - Pozwolę sobie jeszcze raz was odwiedzić.

On doskonale wie, gdzie się jego pies włóczy, pomyślał Sergiusz. Pelengator tego dziadygi też jest w jak najlepszym porządku, ale z jakiegoś względu kosmiczny Don Kichot

woli, abyśmy to my znaleźli jego psa... A może ma kłopoty komunikacyjne? Buty ma tak zabłocone, że pewnie musiał iść pieszo...

- Jeszcze tylko ostatnia prośba - powiedział starzec wpatrując się przenikliwym wzrokiem w Burtona. - Czy nie mógłby pan pożyczyć mi na jakiś czas miotacza promieni? Sprzedać go nie moglibyście?

Usłyszawszy to pytanie Sergiusz zerknął ukradkiem na Ahmeda i spostrzegł, jak drgnęła mu ręka, w której ściskał kuszę. Uśmiechnął się. Cóż w tym wszystkim dziwnego. Siedzi sobie człowiek spokojnie na bezludnej planecie Alfa w układzie Gwiazdy Bernarda i nagle wpada do niego Don Kichot ze szpadą, prosząc o pożyczenie miotacza promieni - najnowocześniejszej, potężnej broni, zdolnej jedną serią rozłupać statek kosmiczny. Myślałby kto, że to sensacja. Nic podobnego, po prostu człowiekowi potrzebny jest miotacz. Dlaczego by mu go nie dać? Człowiek człowiekowi przyjacielem, towarzyszem i bratem...

- Ahmed, zechciej łaskawie przynieść miotacz promieni - powiedział Burton. - Może czymś jeszcze możemy panu służyć?

- Jestem niewypowiedzianie wdzięczny i zobowiązany - odparł starzec wstając od stołu. - Może go pan używać tak długo, jak długo pan zechce - powiedział Burton. - Zostaniemy tu jeszcze jakiś czas. A jeśli pan sobie życzy, proszę go zatrzymać.

- Zechcą państwo przyjąć wyrazy najgłębszego szacunku - rzekł starzec i wyszedł.

Wszyscy wybiegli na ganek. Nieznajomy, sztywny jakby kij połknął, kroczył w półmroku ścieżką, którą już zdążyli wydeptać na Alfie członkowie wyprawy, i jak ślepiec postukiwał przed sobą ostrzem szpady...

Może on cierpi na kurzą ślepotę, pomyślał Sergiusz, i o zmierzchu nic nie widzi...

- Proszę pana! - krzyknął. - Może podwieźć?

Starzec nie odpowiadając minął poświstującą cicho stertę podgumowanego płótna, która jeszcze niedawno była domem, i zniknął w ciemności.

- Dziwny staruszek - powiedział Ahmed. Jak sądzisz, po co mu miotacz promieni?

Sergiusz wzruszył ramionami.

- Pewnie też postanowił trzymać się instrukcji...

Ale Ahmed nie dał za wygraną.

- A dlaczego on chodzi w stroju maskującym?

- Daj spokój - mruknął Sergiusz, ale pomyślał zaraz, że pstre ubranie nieznajomego istotnie było świetnym kamuflażem. Choćby i teraz: odszedł na dziesięć kroków i zniknął, jakby go tu w ogóle nie było.

Rozgorączkowane i podniecone dziewczęta zasypywały Burtona swoimi domysłami na temat nieznajomego, na to, kim jest, skąd pochodzi i co robi na Alfie...

- Cicho! - krzyknął Ahmed. - Popatrzcie!

Kilkaset metrów od domu ciemność przeciął nagle jaskrawy rozbłysk, któremu towarzyszył znany ostry syk. Pół minuty później błysnęło znowu nieco dalej, a potem jeszcze i jeszcze...

- Bije z miotacza... - powiedział Sergiusz.

- Zwariował czy co? - krzyknął oburzony Ahmed. - I po co takiemu facetowi daliśmy bron?

- Wracajmy do stołu - powiedział Burton. - Wprawdzie kolacja już nieco ostygła, ale...

Szawrow przytrzymał go za rękaw.

- Nie zauważył pan przypadkiem, w którym ręku nasz szanowny gość trzymał szpadę? - zapytał półgłosem.

- Chyba w prawym - odparł Burton niepewnie. - Tak, w prawym. A o co chodzi?

- Wydaje mi się, że coś słyszałem o naszym gościu - powiedział Szawrow. - Ale mówiono mi, że on nie ma prawej dłoni.

Burton popatrzył na niego ze zdziwieniem.

- Dziwne... - mruknął. - A może on ma protezę.

- Raczej nie. Zbyt pewnie operował szpadą. Zastanawiam się, po co ją właściwie nosi i czemu strzela teraz po lesie?

- Sam chciałbym wiedzieć.

Znów zaczęli wpatrywać się w ciemność. Syku miotacza już nie było słychać, ale błyski w regularnych półminutowych odstępach wciąż były doskonale widoczne.

- Przy najbliższej łączności ze statkiem musimy porozmawiać z załogą. Może któryś z nich będzie coś wiedział. A tymczasem chodźmy na tę kolację.

3. HURAGAN

Już od rana mówiło się wyłącznie o wieczornym gościu. Ahmed, który od razu nabrał do niego wielkiej antypatii, najbardziej się gorączkował.

- Kto mi powie, dlaczego ten staruch miał na sobie pas Bestużewa? - pytał niemal serio. - Zauważyliście, jak on go chował pod kurtką?

- Takich pasów w kosmosie jest co najmniej parę tysięcy - śmiała się Maszeńka. - Czegoś się przyczepił do człowieka? Boisz się, że mnie porwie?

- A czemu się nie przedstawił? Przyzwoici ludzie nie ukrywają swojego nazwiska. Ani miejsca zamieszkania, jeśli uprzejmie ich o to zapytać. A w ogóle to co on tu robi?

- Spodobało mu się i zamieszkał. Jeśli tobie się spodoba, też będziesz mógł mieszkać. Nikt ci nie powie złamanego słowa. W kosmosie starczy miejsca dla wszystkich.

- Przecież mówił - wtrąciła Ewa - że żona mu tu umarła. No to został.

- Będzie strzegł jej grobu z miotaczem promieni w rękach? - wściekał się Ahmed.

- A ty nie chodzisz z miotaczem promieni?...

- Jeszcze ani razu z niego nie strzelałem, a ten ledwie wziął broń do ręki, od razu zaczął kanonadę. On musi być rąbnięty, bo czy normalny człowiek będzie strzelał do żab?

Ahmed zdążył już przespacerować się śladem nieznajomego i widział długie szramy wypalone miotaczem w trawie.

- Wcale mu się nie dziwię. Tutejsze żaby takie obrzydliwe... - Maszeńka wzdrygnęła się.

Po śniadaniu Sergiusz załadował z Ahmedem zapasowe sondy do dyskolotu i wystartowali.

- Wiem, gdzie ten facet mieszka - powiedział Ahmed, gdy nabrali wysokości. - W tamtym lasku pod skałami. Lepszego miejsca nie znajdzie. Jeśli naturalnie mieszka w domu jak człowiek, a nie ukrywa się w jakiejś norze.

- Można zerknąć... - Sergiusz skręcił w stronę skał. Rzeczywiście, między drzewami widać było dach domu i jakąś zagrodę, ni to warzywnik, ni to wygon dla bydła. Gospodarza nie było.

- Nieźle się schował - mruknął Ahmed. - Ciekawe tylko, przed kim?

- Co nas to może obchodzić? - uciął Sergiusz. - Lećmy swoją drogą.

Bez żadnych przeszkód wykonali dwa pomiary i przelecieli na nowe miejsce. Sergiusz osadził dyskolot między ogromnymi, spękanymi głazami, za którymi zaczynał się dość stromy spadek ku rozległej błotnistej równinie. Z grzbietu wzgórza widać ją było całą - lekko sfalowaną, porośniętą karłowatymi krzewami i kępkami jakiejś trawy, między którymi pobłyskiwała woda. Kotlina o płaskim dnie miała średnicę około piętnastu kilometrów.

- Całkiem niezłe bagienko - wykrzyknął dziarsko Ahmed, odejmując lornetkę od oczu. - Żabi raj...

- To mi przypomina krater wulkanu. Dobrze byłoby przeprowadzić tu głębokie wiercenia.

- A oto i nasza dynia - Ahmed wskazał ręką w dół, gdzie przez krzewy przetaczała się leniwie zielona kula. - Ciekawe, czy to jest nasza wczorajsza znajoma, czy też jakaś inna? Jak sądzisz, dlaczego te sympatyczne istotki przetaczają się tylko w jednym kierunku?

- Bierz się do roboty i nie strzęp sobie na próżno języka - skarcił go Sergiusz. - Tymi kulkami niech się zajmują biolodzy.

Wybrali względnie równy placyk opodal zwałów kamieni i włączyli sondę, która zanurzyła się bardzo wolno, przegryzając się z trudem przez skalisty grunt. Światełka indykatorów na pulpicie kontrolnym wskazywały jednak, że wszystko jest w porządku. Po prostu trzeba było nieco dłużej poczekać. Ahmed znów zapuścił się w dywagacje na temat dziwnego gościa.

- Tylko pomyśl! Przecież ten facet powiedział: “Zaginął mi przyjaciel, wobec tego pragnę kupić innego...” Kto to widział, żeby kupować przyjaciół? Tyś sobie kupił choćby jednego?

- Niezręcznie się wyraził. Nudno mu samemu, więc postanowił kupić od nas psa. Kiedyś modnie było mieć psa na statku. Niepotrzebnie ciskasz się na starego.

- Ten Robinson Cruzoe nie jest takim prostaczkiem. Wcale nie przyszedł do nas po psa, tylko po miotacz promieni...

- No i co z tego? Miotacza ci szkoda?

- Nie gadaj głupstw! Po prostu chciałbym wiedzieć, co to za facet. Skąd się tu wziął? Co tu robi? I w ogóle, po co mu miotacz? Do tej pory się bez niego obywał, a teraz nie może... Ja bym go...

- Poczekaj! - zawołał Sergiusz zrywając się na równe nogi. - Widzisz?

Ogromna czarna chmura błyskawicznie zasnuwała horyzont. Jej skłębione skrzydła zagarnęły już pół nieba, a po chwili pęczniejący mrok sięgał słońca i błyskawicznie je zgasił. Od razu zrobiło się ciemno. W straszliwej, nieruchomej nocy zdrętwiali z przerażenia ludzie usłyszeli odległy ryk nadchodzącego huraganu.

- Uciekajmy! - krzyknął Sergiusz, rzucając się w kierunku dyskolotu. Domyślił się już, co to jest, i zrozumiał, że najmniejsza zwłoka grozi śmiertelnym niebezpieczeństwem. Ahmed zawahał się, ale na wspomnienie surowej instrukcji ruszył za Sergiuszem. Wtem przypomniał sobie o miotaczach i zawrócił. Sergiusz dał susa do wnętrza dyskolotu (czarna ściana huraganu już wisiała nad głową), włączył napęd i stabilizację (leżący nieco skośnie aparat natychmiast uniósł się i zawisł poziomo pół metra nad ziemią), zaklął i gwałtownym szarpnięciem wyrwał z gniazda zapomniany przewód zasilania sondy i ryknął do Ahmeda, który podbiegał w tumanach kurzu z miotaczami w rękach, żeby wyrzucił je w diabły, ale

nawet nie usłyszał własnego głosu (aparat nieco drgnął pod pierwszym ciosem wiatru) i zaczął wściekle wymachiwać rękami. Ahmed wreszcie uwierzył, że to nie żarty, wrzucił miotacze do kabiny - jeden spadł na fotel pilota, drugi zawadził kolbą o pręt anteny i odbił się. Ahmed, który skoczył już na trap, złapał go wolną ręką i w tym momencie spadł na nich huragan.

Potworny cios rozszalałego wiatru omal nie wyrzucił Sergiusza z kabiny. Mimo tytanicznej mocy pola stabilizującego dyskolot odskoczył co najmniej dziesięć metrów i niemal stanął dęba. Potem aparat rzuciło w górę, w dół, znowu w górę... Nieprzenikniona teraz ciemność pękła na moment w blasku oślepiającej błyskawicy i Sergiusz dojrzał niebezpiecznie bliskie szczyty skał i pusty trap. Zrozumiał, że Ahmed spadł, może nawet zginął, że za moment on sam może zginąć, więc zwalił się na fotel (miotacza już tam nie było, widocznie wypadł przy wstrząsie) i skierował dyskolot ostro w górę. Automat zatrzasnął i uszczelnił przezroczystą kopułę ochronną, a pioruny biły z góry, z boku, z dołu, ze wszystkich stron, strumienie ulewy waliły się na dyskolot, cyfry na tablicy kontrolnej jakby oszalały... Wszystko to trwało koszmarnie długo - godzinę, dwie, trzy, może nawet dłużej. Potem łoskoty gromów nieco ścichły, czarny mrok poszarzał i Sergiusz pomyślał, że huragan się kończy. Mylił się - wściekły czarny tajfun nadal pędził nad planetą, ale dyskolot wypadł już z głównego łożyska huraganu i wkrótce między strzępami czarnej kurtyny pokazało się fioletowe niebo, słońce i zielona równina w dole. Czarna ściana wsysała swoje skłębione wyrostki, tajała, niknęła za horyzontem. Sergiusz wylądował na zboczu piaszczystego wzgórza, otworzył kopułę, z wielkim trudem przeczołgał się przez burtę i spadł na gorący piasek. Dygotał ze strachu i zmęczenia. Spojrzał na zegarek i pomyślał, że zegarek stanął - Wskazywał, że cały ten koszmar nie trwał nawet pięciu minut. Sergiusz poleżał trochę, potem wgramolił się do dyskolotu, wcisnął w uchwyt miotacz poniewierający się na podłodze, połknął dwie tabletki anteiny - od razu poczuł się lepiej - dla spokoju sumienia włączył radiostację - łączności jak zawsze w ciągu dnia nie było - a następnie uniósł dyskolot w powietrze. Nie miał pojęcia, gdzie mógł go zapędzić huragan i gdzie teraz szukać Ahmeda, więc zaczął zataczać wielkie koła, spodziewając się natrafić na peleng bazowej radiostacji.

4. ŚLADY NA PIASKU

Huragan przeszedł bokiem i ledwie zawadził o bazę swoim skrzydłem, ale i to wystarczyło, by narobił wiele szkód. Nowy dom wprawdzie oparł się żywiołowi, gdyż budowany był z wielkim zapasem wytrzymałości, ale stacja meteorologiczna zniknęła bez

śladu, ogromna trzytonowa powłoka nadmuchiwanego domu znalazła się w odległym o pół kilometra wąwozie, wszystkie anteny były pozrywane, a warzywnik wyglądał jakby hasało po nim stado rozszalałych słoni.

Szawrow, którego huragan zastał w domu, bardzo niepokoił się o kuter desantowy - ich jedyny środek łączności ze statkiem pozostawionym na orbicie. Wiedział, że huragan nie zdoła przewrócić kutra zakotwiczonego na czterech wyporach w gruncie i dodatkowo wyposażonego w awaryjne pole stabilizujące, a jednak w ciągu tych pięciu minut, kiedy nad bazą przewalała się czarna nawałnica, zdążył wielokrotnie zwymyślać się za niedbalstwo - za otwarty właz i nie schowany wąż do napełniania zbiorników wody pitnej, po którym teraz pewnie zostało tylko wspomnienie. Gdy tylko huragan ucichł, natychmiast rzucił się do dyskolotu, aby polecieć na kuter.

Burton wyszedł na ganek, obrzucił wzrokiem ślady pogromu i ciężko westchnął. Dobrze przynajmniej, że zdążyliśmy przenieść się do domu - pomyślał. - Kto wie, czy nasz pęcherz wytrzymałby napór wiatru... Zerknął na zmartwioną Maszeńkę, która zdążyła już pobiec do warzywnika, o który tak się troszczyła, by teraz wrócić z cienkim ogonkiem marchwi w ręku.

- To cały plon? - zażartował niewesoło Burton, wziął marchewkę, machinalnie wytarł dłonią i odgryzł kawałek. - Całkiem niezła...

Na ganku pokazał się ponury Shermann.

- Jest niedobrze - powiedział. - Ahmed zaginął. Właśnie dostałem wiadomość od Ławrowa.

W godzinę później, kiedy wszyscy zwiadowcy wrócili do bazy, wyprawa ratunkowa była gotowa do odlotu. Dyskoloty natychmiast uniosły się w powietrze. Sergiusz zdał Burtonowi relację z wypadku już w drodze, a załogi pozostałych dyskolotów słuchały ich przez radio.

Leżąca pod nimi lekko sfalowana równina wyglądała tak, jakby huraganu w ogóle nie było. Niebo, jak zawsze fioletowoniebieskie, znów dyszało żarem, błyskający w dole zygzak rzeczki był czysty i jasny. Nieco z boku przepłynęła grupa skał, wśród których krył się domek Don Kichota. Sergiusz pomyślał, że należałoby tam zajrzeć i sprawdzić, czy starcowi nic się nie stało. Zaraz też przyszło mu do głowy, że samotnik bardzo mądrze wybrał sobie siedlisko - nieprzypadkowo tylko tam, pod osłoną skał, rosły wysokie drzewa, które na równinie nie mogłyby oprzeć się takim wiatrom.

- Ale z nas badacze - powiedział na głos - i to nazywają się pionierzy! Żeby nie pomyśleć o czymś tak oczywistym...

- O czym ty mówisz? - zapytała siedząca obok niego Ewa.

- O tym, że oduczyliśmy się myśleć. Wpadliśmy w euforię, że znaleźliśmy taką miłą planetę: dżungli nie ma, pustyń nie ma, powietrze znakomite, sama radość! A dlaczego nie ma lasów? Dlaczego wszędzie są, a tu ich nie ma? Dlaczego rosną tylko ścielące się po ziemi krzewy i karłowate drzewka? Właśnie tego pytania nikt sobie nie postawił, nikt nie zapytał, dlaczego nie ma wysokich drzew, no i straciliśmy człowieka...

W interkomie rozległ się głos Kuleszowa, który prowadził sąsiedni dyskolot:

- Ten huragan był dość nietypowy. Posterunki meteorologiczne zapowiedziały go dopiero wówczas, kiedy właściwie już się zaczął. Ciśnienie atmosferyczne do ostatniej chwili było w normie, ale żuczki zamknęły dzioby już godzinę wcześniej. Nawet się zastanawiałem, dlaczego przestały się drzeć.

- Pewnie wyczuły - powiedziała Ewa.

- My też powinniśmy wyczuć. Tylko jak?

Miejsce, w którym zaginął Ahmed, odnaleźli bez większego trudu dzięki wyraźnie widocznemu z góry kablowi. Było oczywiste, że należy szukać na zboczu i leżącej poniżej równinie, gdyż właśnie w tę stronę dął huragan. Skały, głazy i stosy kamieni rozrzucone po zboczu mogły osłonić człowieka przed wichrem, dlatego wszyscy rozsypali się w tyralierę i ruszyli w dół. Dokładnie przetrząsali każdy krzaczek, a Kuleszow uniósł dyskolot na jakieś pięćdziesiąt metrów w górę i penetrował teren z lotu ptaka.

Po jakichś dwóch godzinach zbocze zostało przeczesane wzdłuż i w poprzek aż do końca bagna.

- Może szukamy nie tam, gdzie trzeba? - zapytał Shermann, kiedy przysiedli odpocząć na brzegu strumienia. - Może Ahmed ukrył się w skałach na górze?

- Musiało go zrzucić na zbocze - zaoponował Sergiusz, który doskonale pamiętał potworne uderzenie huraganu pchające dyskolot na skały. - A tam, za grzbietem, mogła być martwa strefa. Jestem przekonany, że na dole wiatr był znacznie słabszy.

- No to gdzie się podział?

- Mogło go wrzucić do bagna... - powiedział Burton. - Trzeba je przeszukać.

Po bagnie trudno się było poruszać, wobec czego Burton zarządził poszukiwania z dyskolotów. Przez następne trzy godziny wszystkie aparaty myszkowały zakosami nad trzęsawiskiem, ocierając się o gałęzie karłowatych krzewów, kiedy wreszcie Kuleszow zauważył ślady.

Płytka, sięgająca najwyżej pasa rzeczka, strumień raczej, płynęła wolno między zwałami zwietrzałych głazów. Powyżej i poniżej, gdzie potok kryl się w zaroślach, jego

brzegi były grząskie, a tutaj, w niewielkim zakolu, złociła się miniaturowa plaża. Na jej piasku wyraźnie widać było ślady bosych stóp.

Ludzie wymienili zaniepokojone spojrzenia. Wszyscy pamiętali wczorajszą relację Burtona o tajemniczym zniknięciu Bestużewa.

Burton przyklęknął i ostrożnie dotknął śladu.

- Świeży...

- Musi być świeży - powiedziała zdławionym głosem Ewa - bo wszystkie stare ślady zatarł huragan.

Ślady przecinały wąskie pasemko piasku i prowadziły do wody. Kuleszow sprawdził ich kierunek i nagle wszedł do strumienia.

- Co robisz?! - zawołał ktoś.

Kuleszow w milczeniu obmacywał rękami dno. Wreszcie wyprostował się i uniósł do góry miotacz promieni.

Sergiusz zerknął na numer broni i nadzieja, że to jednak nie Ahmed zostawił ślady, zniknęła. To był jego miotacz.

- Jakże to? - zapytał cicho, wyobrażając sobie z przerażeniem, jak Ahmed wolno rozbiera się, zwija ubranie, chwyta broń i wchodzi do wody, aby na zawsze w niej zniknąć, wchodzi jak królik do paszczęki węża, jak ktoś zmuszony przez potworną wrogą siłę...

- On do kogoś strzelał... - powiedział nagle Kuleszow, wskazując wypaloną trawę na przeciwległym brzegu. - Strzelał i mimo wszystko szedł tam...

Sergiusz przeprawił się przez rzeczkę i popatrzył w kierunku strzału. Gdzieniegdzie zwęglone gałęzie krzewów jeszcze się tliły. Poza tym nic nie było widać.

- Wystrzelił, wszedł do wody i rzucił miotacz. Dlaczego? Gdzie się potem podział? Po co się rozebrał? Chciał płynąć? Ale tutaj jest bardzo płytko... Nic nie rozumiem - powiedział Burton.

- W wodzie ktoś go schwytał... albo coś go schwytało.

- W porządku, ale po co się rozbierał? I gdzie jest reszta rzeczy. Na przykład buty. Są za ciężkie, aby woda mogła je porwać...

- Przecież to!... - krzyknęła nagle Maszeńka, a w jej głosie zabrzmiał taki strach, że wszyscy odwrócili się jak na komendę. Maszeńka klęczała na piasku i wpatrywała się w ślady wielkimi, znieruchomiałymi oczami. - Jak mogliście tego nie zauważyć! Przecież to wcale nie są jego ślady! Przecież te stopy mają po sześć palców!

5. DOMNIEMANIA

Ahmeda szukali do zachodu słońca. Bez skutku. Kiedy gęstniejący zmierzch uniemożliwił dalsze poszukiwania, Burton wydał rozkaz powrotu.

Dyskoloty zbliżały się już do obozu, gdy Shermann nagle zauważył miganie lampki pelengatora. Aparaty zawróciły i z maksymalną szybkością pomknęły w kierunku sygnału.

Punkt, w którym pracował nadajnik, odnaleźli po kilkunastu minutach. Długie czarne cienie nie pozwalały nic dostrzec na powierzchni planety, więc piloci ostrożnie wylądowali nieco z boku.

Po paru chwilach Sergiusz usłyszał cichy szmer i z okrzykiem radości rzucił się w jego stronę. W promieniu latarki coś się poruszyło. Niestety, był to tylko jego wczorajszy znajomy, pies Don Kichota. Huragan go sponiewierał. Pies był brudny, pokaleczony, sierść miał zlepioną błotem i zaschniętą krwią. Tylne łapy miał najprawdopodobniej złamane. Kiedy Sergiusz przykucnął obok niego, kundel spróbował zamerdać ogonem i cicho zaskowyczał.

- Trochę cierpliwości - powiedział Sergiusz. - Zaraz zawieziemy cię do domu, opatrzymy i nakarmimy.

Wyłączył nadajnik na obroży, ostrożnie wziął psa na ręce i zaniósł do dyskolotu. Zmęczeni ludzie w milczeniu zajęli miejsca. Aż do bazy nikt nie odezwał się nawet słowem.

Wbrew zwyczajowi kolację jedli oddzielnie. Szawrow od razu poleciał na kuter desantowy, aby dokończyć przeglądu. Ewa, której pomagał Kuleszow, opatrywała psa. Shermann zajął się naprawą pozrywanych anten. Dla pozostałych też znalazły się rożne zajęcia, których nie można było odkładać do jutra. Wszyscy wiedzieli, że już o świcie wyruszą na dalsze poszukiwania.

Maszeńka, która wraz z Sergiuszem i Burtonem siadła do kolacji podanej im przez Bazylego Fahra, biologa i kucharza wyprawy w jednej osobie, nagle odsunęła talerz i zaczęła pochlipywać.

- Maszeńko, tak nie wolno - powiedział Bur ton obejmując dziewczynę ramieniem. - Jutro go znajdziemy.

Maszeńka zasłoniła twarz rękami i rozbeczała się na dobre.

- Mnie kiedyś szukali całe trzy dni - ciągnął Burton. - Gonił mnie wtedy diplodok niewiele mniejszy od naszego kutra desantowego. Zapędził mnie w skały i już myślałem, że ze mną koniec, gdyż nawet miotacz promieni nie mógł przebić jego pancerza. W ostatniej chwili, kiedy jaszczur rozdziawił paszczękę, żeby mnie pożreć, strzeliłem mu prosto w pysk i szczęśliwie trafiłem w mózg. Zwalił się na mnie i omal mnie nie zmiażdżył. Na szczęście upadłem w szczelinę skalną. Była dość obszerna i mieściłem się w niej bez trudu, ale nie

mogłem wydostać się spod ogromnego cielska. Dyskoloty przelatywały nade mną chyba z pięć razy, ale przeklęty jaszczur ekranował moje pelengi. Na trzeci dzień, kiedy tlen prawie mi się skończył i zacząłem już układać w myśli testament...

Burton przerwał w nadziei, że Maszeńka zada mu jakieś pytanie, ale dziewczyna milczała. Sergiusz postanowił mu pomóc. Kuleszow, który wymyślił tę historię, opowiadał ją wiele razy, więc znał ją na pamięć i wiedział, o co należy pytać.

- A nie próbował pan wypalić tunelu w cielsku jaszczura? - zapytał.

- Myślałem o tym, ale dzieliło mnie od niego nie więcej niż dwadzieścia centymetrów, tak ze raczej wypaliłbym dziurę we własnym skafandrze. Pocieszałem się przy tym, że w każdym razie nie grozi mi śmierć głodowa - mięsa tego potwora starczyłoby mi co najmniej na pół roku.

- I jak się pan wydostał? - pytał dalej Sergiusz. - Znaleźli pana?

- Na szczęście zwierzyna na tamtej planecie miała doskonałe apetyty. Tak rzuciła się na moje trofeum, że zjadła je, zanim skończył mi się tlen. Pozostało mi tylko rozpędzić moich wybawców kilkoma seriami z miotacza i wezwać pomoc przez radio...

Do jadalni wszedł Szawrow w ociekającym wodą kombinezonie.

- Kuter jest w porządku - powiedział. - Tyle tylko, że śluza była zapchana rozmaitym paskudztwem i musiałem trochę to posprzątać.

Burton zerknął na zegarek.

- Proszę na wszelki wypadek przygotować kuter do startu. Za godzinę będę rozmawiał z “Arielem”. Ilu ludzi mogą nam przysłać?

- Obawiam się, że gdy tylko dowiedzą się, iż potrzebujemy pomocy, zjawi się tu cała siódemka, pozostawiająca statek na łasce automatów.

- Niech tylko spróbują! - mruknął Burton. - Puszczę tutaj najwyżej trzech.

Przyszła Ewa i Kuleszow.

- Jak się czuje nasz chory? - zapytał Burton.

- Już prawie dobrze. Ma złamaną jedną łapę i trochę zadrapań. Założyłam mu gips. Najdalej za tydzień będzie już biegał.

- Proszę mi powiedzieć, ile według pani ten pies może mieć lat? - zapytał Szawrow.

- Chyba pięć lub sześć. Zęby ma jeszcze ostre. A czemu pan pyta?

- Słyszałem kiedyś historię o pewnym psie i jego dziwnym właścicielu, który wszędzie woził ze sobą szpady. Cała ich kolekcja zawsze wisiała na ścianach jego kabiny. Ten człowiek nie miał prawej dłoni i był bardzo podobny do naszego wczorajszego gościa... Ale opowiadano mi tę historię już bardzo dawno i tamten pies pewnie już zdechł ze starości.

Burton, który był już w drzwiach, wrócił i usiadł naprzeciwko Szawrowa.

- Sądzi pan jednak, że to był on?

- Po prostu nic innego nie przychodzi mi do głowy. Chyba, że założyć jakiś nieprawdopodobny przypadek... Powiedzmy, że istnieją dwaj bracia bliźniacy, obaj kosmiczni anachoreci, miłośnicy psów i białej broni, którzy osiedlili się na różnych planetach.

Za oknami było już zupełnie ciemno. Meteorolodzy pół żartem pół serio nazywali klimat Alfy "ohydnie kontynentalnym". Na planecie nie było mórz, więc jej powierzchnia stanowiła jeden ogromny kontynent, na którym rozległe obszary półpustynne poprzedzielane były bagniskami, jak przypuszczali hydrolodzy, leżącymi nad podziemnymi oceanami. Wszystko to sprawiało, taka przynajmniej była robocza hipoteza, że nawet w najcieplejszej porze roku, kiedy w południe wszyscy dusili się z gorąca, nocą temperatura mogła spaść niemal do zera.

Ostatnie wydarzenia bardzo zaniepokoiły Burtona. Na Ziemi mieszkało około dwudziestu miliardów ludzi, więc każda planeta ziemskiego typu była na wagę złota, a Alfa należała do tych nielicznych planet, gdzie wszystko sprzyjało człowiekowi - grawitacja, skład atmosfery, widmo promieniowania gwiazdy dziennej, mikroflora i mikrofauna, długość doby, roczne i dobowe wahania temperatury. W dodatku powierzchnia Alfy była sześciokrotnie większa od tej, jaką człowiek zagospodarował na własnej planecie. Alfa stwarzała wszelkie warunki do życia dla stu miliardów ludzi - wspaniałe gleby mogące dać niewiarygodne wręcz plony, ogromne zasoby kopalin i wreszcie wodę - wykryty przez aparaturę wyprawy podziemny ocean, leżący na głębokości zaledwie dwóch kilometrów. Do tego oceanu trzeba będzie dotrzeć, kiedy "Ciołkowski" przywiezie z Ziemi niezbędne urządzenia wiertnicze. Tylko jedna przeszkoda mogła powstrzymać kolonizatorów planety - miejscowe życie rozumne...

Dotychczas planetę uważano za bezludną, ale Burton wiedział, że mogło to być całkowicie błędne założenie. Dowódca wyprawy wciąż wracał myślą do niewyraźnych śladów stóp, które Kuleszow zauważył na piasku.

Ponad wszelką wątpliwość ślady zostawiła istota dwunoga, ale już co do sześciu palców na każdej stopie nie było stuprocentowej pewności. Ślady zostały pieczołowicie zmierzone i obfotografowane ze wszystkich stron. Rozmiar stopy pokrywał się ze stopą Ahmeda, ale to jeszcze o niczym nie świadczyło. Co się zaś tyczy zdjęć, to wyszły płasko i niezbyt ostro, gdyż oślepiające słońce zlizało wszystkie cienie, i Burton doskonale wiedział, iż nie mogą służyć jako wystarczający argument przemawiający za istnieniem na Alfie rozumnego życia. Był wprawdzie pewien, że Ahmed po przejściu huraganu nie spacerował na

bosaka, chyba że zdjął buty na chwilę, aby je, powiedzmy, wysuszyć, a ktoś - tylko kto i po co? - ukradł mu je. Burton nie zastanawiałby się nad pochodzeniem śladów, gdyby Bestużew nie zaginął w identycznych okolicznościach. Z drugiej zaś strony wszystkie poprzednie ekspedycje alfiańskie ani razu nie natknęły się na żadne zjawisko mogące świadczyć o istnieniu tu rozumnego życia. Kierownik wyprawy był święcie przekonany, iż życie, chociażby najbardziej prymitywne, musi zostawić ślady, które przetrwają tysiąclecia. Resztki ognisk, obrobione kamienie, skorupy glinianych naczyń na Ziemi doczekały się swoich badaczy po wiekach. Wykrycie współczesnych osiedli lub palonych obecnie ognisk nie było żadnym problemem. Aparatura badawcza satelitów, które każda wyprawa wprowadzała na orbity wokół Alfy, potrafiła przecież wykryć nie tylko ognisko, lecz nawet ognik papierosa. Naturalnie nie można było antropomorfizować całego wszechświata, ale jednak prawa rozwoju rozumu są identyczne dla wszystkich galaktyk, a warunkiem koniecznym do wykształcenia się każdej cywilizacji jest ingerencja w środowisko naturalne, a więc praca wymagająca działania zbiorowego. Dlatego Burton nie wierzył w możliwość istnienia rozumnego oceanu lub rozumnych ślimaków. Wiedział również, że świat można przekształcić nie tylko przy pomocy mechanizmów, że możliwa jest też droga czysto biologiczna.

Tak pogrążył się w swoich myślach, że nie zauważył, iż w pokoju zebrali się wszyscy członkowie wyprawy, ktoś zgasił światło i pokój oświetlały tylko migotliwe języki ognia, który Bazyli Fahr rozpalił na kominku.

Sergiusz przysiadł się do Burtona i podał mu filiżankę kawy.

- A jeśli nasz gość, Don Kichot, to jednak ten sam człowiek? - zapytał.

- Jednoręki? Nic o nim nie wiem.

- Jeśli to jest on - powiedział Kuleszow - to znaczy, że otarliśmy się o wielkie odkrycie. Chyba że ma jakąś nowoczesną bioprotezę.

- Musimy z nim porozmawiać - odparł nagle Burton.

- Wiemy przecież, gdzie mieszka - odezwał się Sergiusz. - Zawiozę mu jutro psa i zaproszę do nas.

- Niech pan poprosi, żeby wziął szpadę - wtrąciła nagle milcząca do tej pory Maszeńka.

- Po co ci szpada? - zdziwił się Sergiusz.

- Chciałabym ją sobie obejrzeć. Piszę pracę o białej broni. Według mnie jest to zabytkowa piętnastowieczna szpada toledańskiej roboty.

- Niezła laseczka! - westchnął Bazyli Fahr. - Sam lubię stare przedmioty, ale żeby tak sobie spacerować z muzealnym eksponatem...

- Podejrzewam, że takiej szpady nie ma nawet w Luwrze - powiedziała Maszeńka.

Wszyscy ożywili się i rozmowa przeszła na antyki. Przerwał ją Burton:

- Pobudka o piątej. Startujemy o świcie. Radzę wszystkim dobrze wypocząć.

6. WIZYTA U DON KICHOTA

Drugi dzień poszukiwań nie przyniósł nic nowego, żadnych nowych śladów Ahmeda.

Patrząc z lotu ptaka na bagno, na którego granicy zaskoczył ich huragan, Sergiusz coraz wyraźniej czuł, że właśnie tu należy spodziewać się wielu interesujących odkryć. Zbyt niezwykle na tej gładkiej, porządnej, jakby uprawionej przez dobrego ogrodnika planecie wyglądała ogromna kotlina, upstrzona grupami krzewów, poprzecinana meandrami leniwych rzeczek. Właśnie tu, do tego żabiego raju, toczyły się nieustannie zielone kule, których dziś było o wiele więcej. Już w czasie lotu Sergiusz zauważył ich co najmniej dziesięć, a na kilka dalszych natrafił podczas przeszukiwania terenu. Biologom oczy płonęły z podniecenia na widok nowej formy życia, ale trzeba było szukać Ahmeda, a kule mogły poczekać - skoro już się pojawiły, to nigdzie się nie podzieją. Jednak wieczorem kule zniknęły bez śladu, jakby się zapadły pod ziemię. Na próżno Bazyli Fahr wypatrywał oczy - zagadkowe stworzenia zniknęły.

Ludzie byli przygnębieni bezskutecznymi poszukiwaniami. Huragan nic mógł unieść Ahmeda i przerzucić go przez bagno i zarośla, więc mimo woli członkom wyprawy przychodziły do głów najbardziej nieprawdopodobne pomysły - gigantyczne drapieżne ptaki, zdolne lecieć ze zdobyczą przez wiele kilometrów, tajemnicze węże błotne połykające człowieka w całości, krwiożercze piranie lub niezwykłe mrówki, pożerające nawet kości swych ofiar... Niczego nie tłumaczył też miotacz w wodzie, z którego Ahmed - a może nie Ahmed? - strzelał do czegoś lub kogoś, i zagadkowy sześciopalcy ślad, który zresztą mógł być zwyczajnym śladem człowieka. Jednym słowem, dziwne zniknięcie Ahmeda (lub jego śmierć, jak wszyscy się w duchu obawiali) pozostało nie wyjaśnione, i to było najgorsze, gdyż za pierwszym zniknięciem mogło nastąpić drugie, trzecie... Już wcześniej obowiązująca instrukcja nakazywała każdą pracę, każdą najmniejszą przechadzkę, odbywać co najmniej we dwójkę, a teraz Burton kategorycznie zabronił oddalania się choćby na krok bez jego zezwolenia. Kiedy Maszeńka postanowiła zająć się zniszczonym warzywnikiem, kilka kroków za nią szedł Shermann z miotaczem promieni gotowym do strzału. Baza wyprawy przekształciła się w warownię. Burton zdawał sobie doskonale sprawę, że nie ma sensu chodzić po spokojnej Alfie z palcem na spuście, gdyż do walki z Nieznanym potrzebna była

nie broń, lecz wiedza. Wiedza, której im brakowało. Wszystko co mógł zrobić, to wydać polecenie chodzenia parami, ślad w ślad, jak zwykli chodzić alpiniści na lawiniastych stokach.

Tuż przed zachodem Sergiusz zajrzał do izolatki, gdzie na dywaniku leżał zabandażowany pies. Kundel na jego widok uniósł się z trudem i zamerdał ogonem. Ewa powiedziała, że psa można oddać właścicielowi.

- Doskonale. Polecę i zaproszę go do nas - ucieszył się Sergiusz.

Polecieli we dwoje. Po kwadransie zbliżali się już do skał, w których krył się dom Don Kichota. W oknach nie paliło się światło, antena pelengatora tkwiła nieruchomo na dachu budynku. Sergiusz wylądował u podnóża skał i po chwili szedł już w stronę domu, trzymając psa na rękach. Za nim szła Ewa z miotaczem promieni na piersi i torbą lekarską przerzuconą przez ramię, bo chciała zostawić starcowi trochę lekarstw dla psa.

Sergiusz zauważył, że ścieżka, którą szli, była porządnie wydeptana. Don Kichot musiał tu mieszkać od dawna. Ścieżka doprowadziła ich do ogrodzenia wokół domu.

Sergiusz zatrzymał się.

- Hej, gospodarzu! Ma pan gości.

Nikt mu nie odpowiedział, krzyknął więc jeszcze parę razy, a potem odwrócił się do Ewy.

- Nie ma go, czy nie chce się pokazać? Co robimy?

- Proszę pana! Znaleźliśmy pańskiego pieska! - zawołała Ewa. I tym razem nikt się nie odezwał, więc zwróciła się do Sergiusza: - Trzeba wnieść psa do domu.

- Jak sądzisz, po co on zrobił to ogrodzenie? - zapytał Sergiusz.

Ewa rozejrzała się dokoła. Ogrodzenie było dość dziwne. Wysokie na jakieś półtora metra grube paliki były przeplecione solidną liną. Na samym wierzchu płotu przymocowano do liny gałęzie krzewów z długimi, ostrymi kolcami.

- Wygląda zupełnie jak drut kolczasty - szepnęła Ewa z coraz większym zdumieniem wpatrując się w niecodzienną konstrukcję. - Przeciw komu?

- Raczej dla kogo - odpowiedział Sergiusz.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Spójrz, wszystkie ciernie skierowane są do środka. To jakaś zagroda dla bydła. Aha, tu chyba jest wiadomość dla nas.

Podszedł do furtki, podpartej z zewnątrz palikiem i zdjął z kolca kawałek papieru.

- “Proszę nie otwierać furtki i nie wchodzić do środka” - przeczytała Ewa przez jego ramię.

- Krótko i węzłowato - powiedział Sergiusz. - Właściciel tego domu nie bardzo lubi gości...

- Cóż więc zrobimy? - zapytała Ewa. - Przecież nie możemy zostawić psa pod płotem.

- Ciekawe jednak, dla kogo jest ta zagroda? Chyba staruszek nie zamierzał hodować krów - mruknął Sergiusz.

Fioletowa Gwiazda Bernarda wisiała tuż nad horyzontem i szybko się ściemniało.

Pora była wracać.

Sergiusz wypatrzył za ogrodzeniem kępę wysokiej, gęstej trawy, oddał psa Ewie i wsunął czubek buta między liny jakieś pół metra od ziemi.

- Jak sądzisz, nic się psu nie stanie?

Wziął kundla z rąk Ewy, przechylił się przez ogrodzenie, starając się trzymać jak najdalej od groźnych cierni, i ostrożnie opuścił go w dół. Widocznie sprawił mu ból, gdyż pies nagle szarpnął się i zaskowyczał, ale Sergiusz już wypuścił go z rąk nad miękką kępą trawy.

To, co się następnie wydarzyło, nie trwało nawet sekundy. Coś przypominającego czarne skrzydła wytrysnęło z trawy wprost w twarz Sergiusza, który odchylił się gwałtownie do tyłu i stracił równowagę, pies przeraźliwie zaskowyczał, gdy czarne skrzydła z krótkim trzaskiem pokryły go i przekształciły się w coś okrągłego. Rękę Sergiusza przeszył ostry ból - ukuł się potężnym cierniem - but utknął między linami ogrodzenia, i Ławrow upadł na plecy, podrzucając w locie broń do oka. Zanim jednak dotknął trawy, domyślił się, co ma przed sobą i zrozumiał, że nie wystrzeli. W chwilę później, kiedy podrywał się na równe nogi, nadal na wszelki wypadek celując w istotę przetaczającą się za ogrodzeniem, usłyszał krzyk Ewy, tak krótki i ostry, że nie był pewien, czy usłyszał to naprawdę. Zobaczył przy tym, że lekarka gotowa jest strzelać. Opuścił więc miotacz i Ewa poszła za jego: przykła dem. Za ogrodzeniem wolno toczyła się żywa kula, niemal czarna w szybko zapadającym zmierzchu.

- To potworne - szepnęła Ewa i spojrzała błagalnie na Sergiusza. - Może jeszcze da się go uratować?

Sergiusz chwycił za rękojeść noża, ale natychmiast cofnął rękę. Było oczywiste, że żadna broń już nie pomoże, zresztą w gruncie rzeczy nie zamierzał jej użyć. To była obca planeta z własnym życiem i z własną śmiercią. Nie wolno mścić się na zwierzęciu za to, że musi jeść...

Wzdrygnął się z przerażenia, bo przypomniał sobie tajemnicze zniknięcie Bestużewa i Ahmeda. Teraz wiedział, dlaczego starzec strzelał sobie pod nogi. Dawniej pies go ostrzegał -

prawdopodobnie rozpoznawał kule po zapachu... Bestużew nie strzelał sobie pod nogi, Ahmed nie miał szpady, no i...

Tak, starzec poniósł wielka stratę...

- Idziemy - powiedział krótko i ruszył do dyskolotu ścieżką bielejącą jeszcze w fioletowym zmroku. Odetchnął dopiero wewnątrz, a i tak z trudem oparł się chęci, żeby wystartować z maksymalnym przyspieszeniem. Włączył radiostację - Shermann zgłosił się natychmiast - i powiedział, żeby kierownik wyprawy wydał natychmiast kategoryczny zakaz opuszczania domu pod jakimkolwiek pozorem. “Dlaczego?” - wykrzyknął zaniepokojony Shermann.

- Opowiem wszystko na miejscu - odburknął Sergiusz i wyłączył się. Zapalił papierosa i ostro wystartował. W pewnej chwili spostrzegł pulsujące światełko pelengatora, znak, że gdzieś zaczęła nadawać nie znana radiostacja.

7. KURCZAK W SKORUPCE

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Sergiusz odnalazł rannego psa, Ahmed odzyskał przytomność. Przez chwilę leżał bez ruchu, starając się dociec, gdzie jest i co mu się przydarzyło. Przypomniał sobie rozpaczliwy krzyk Sergiusza, czarną ścianę huraganu, trzask łamanej kości i ból ręki, kiedy dyskolot stanął dęba, a potem przeraźliwie długi upadek na skały. Potem były już tylko strzępy koszmaru: piekielny ból, jakieś oślepiające błyski, łomot i szum... Oprzytomniał zupełnie i wiedział już, że spadł z dyskolotu i musiał ciężko się poranić. Wprawdzie bólu nie odczuwał, ale zdawał sobie sprawę, że wystarczy byle ruch, by znów go dopadł. Dziwiło tylko uczucie skrępowania, zdławienia - jakby ktoś wepchnął go z głową do wanny z borowiną. Po jakimś czasie spróbował poruszyć prawą ręką, choć pamiętał, że ją złamał. Zdziwił się jeszcze bardziej gdy mięśnie posłusznie wykonały rozkaz mózgu. Stwierdził, że nic mu nie jest, że skały oszczędziły go i wykręcił się tylko omdleniem i koszmarami. Chciał wstać, ale był związany.

Najwyraźniej ci, którzy go wiązali, nie mieli w tym zbyt wielkiej wprawy, bo wkrótce udało mu się uwolnić ręce. Ahmed był nie tyle związany, ile raczej zawinięty jak mumia. Całe ciało tkwiło w czymś, co przypominało wielki płat darni, niedbale okręcony z wierzchu sznurami. Ahmed co prawda, nie miał takich skojarzeń. Pomyślał o kurczaku wykluwającym się z jaja. Pomyślał też o tych, którzy w jakimś nie znanym, może nawet gastronomicznym celu tak go opatulili i którzy są może gdzieś w pobliżu i nie pozwolą umknąć swojej zdobyczy.

Ta myśl sprawiła, że znów stał się sobą - młodym, doskonale wytrenowanym, odważnym kosmicznym zwiadowcą. Jednym szarpnięciem rozerwał sznury i wyślizgnął się z wilgotnego kokonu. Był nagi, ale nie zwrócił na to najmniejszej uwagi, ujrzawszy widok, jakiego nigdy jeszcze nie oglądało oko Ziemianina.

O kilkanaście kroków za krzewami leżała okrągła kotlinka z płaskim dnem i dość stromymi zboczami. W samym jej środku, na kręgu żółtego piasku, leżało nieruchomo kilka zielonych kul o wiele większych niż te, na które natknął się trzy dni temu. A wokół nich wolnym korowodem krążyli rytmicznie ludzie ubrani w jakieś niezwykłe stroje.

Ahmed nie wątpił ani przez chwilę w to, że widzi ludzi, podobnie jak w to, że nie są to ludzie z Ziemi. Na górnej krawędzi niecki, w której rozgrywała się ta scena, lekko dymiły niewielkie ogniska. Wydzielany przez nie dym czy mgła pełzł w dół, gęstniał tam i poruszające się w nim bezszelestne istoty sprawiały wrażenie bezcielesnych, wręcz widmowych. Dopiero po dłuższej chwili Ahmed wyczuł, że panującą dotychczas ciszę zakłócił jakiś niesłychanie niski dźwięk uciskający uszy, nie mógł jednak wykryć źródła infradźwięku.

Młody kosmonauta zdawał sobie sprawę z tego, że czas najwyższy pomyśleć o własnym bezpieczeństwie, bo przez sinawy dym zauważył w oddali kilka podłużnych przedmiotów, przypominających do złudzenia kokon, z którego dopiero co się wydobył. Był jednak badaczem, któremu poszczęściło się po raz pierwszy w historii Ziemi natknąć się na istoty rozumne z innego świata, nie ludzi, lecz istoty bardzo do nich podobne. Patrzył i to, co widział, coraz mniej mu się podobało.

W pewnej chwili taneczny korowód załamał się i rozpadł. Na dno kotliny zbiegło kilka postaci z pęczkami świecących traw w rękach. Postacie utworzyły ciasne koło i rzuciły przyniesione “pochodnie” na jakiś przedmiot leżący na ziemi. Potem koło rozwarło się, a zza krzaków wyszła powoli grupa ludzi, niosąca nad głowami ciasno zwinięty kokon.

Ahmed przylgnął do ziemi i przyglądał się w napięciu, jak zwinne ręce wyłuskały z kokonu nagiego człowieka i postawiły go przed fosforyzującym kręgiem na ziemi, który nagle zaczął poruszać się i falować. Wzmógł się ból w uszach, a w migotliwym świetle kręgu zwinne ciała ruszyły nagle ku środkowi kotliny. Aby wyraźniej widzieć Ahmed wstał, zapominając o niebezpieczeństwie. Dzięki temu zobaczył, jak pod naporem tłumu nagi człowiek wszedł na świecący krąg, który nagle zwinął się z suchym trzaskiem i pochłonął go. Tłum rozsypał się i oczom Ahmeda ukazała się wielka kula, leżąca na miejscu świecącego kręgu. Infradźwiękowy metronom znów zaczął tykać, przerwany korowód znów zaczął

krążyć, znów ukazały się zimne “pochodnie”, które po chwili utworzyły nowe świecące koło...

Gdyby Ahmed miał miotacz promieni, nikt z uczestników tego obrzędu nie uszedłby z życiem, a historia planety mogłaby potoczyć się innym torem. Na szczęście nie miał broni i mógł tylko obserwować. Wreszcie zrozumiał, że jeśli chce opowiedzieć Ziemianom o tym, co widział, musi natychmiast uciekać. Od dawna trząsł się z zimna, bo zbliżała się północ i temperatura wciąż spadała. Długo biegł korytem jakiejś rzeczki, mając nadzieję, że w wodzie nie natknie się na śmiercionośne kule. Bieg prawie go nie rozgrzał, zimny wiatr zabierał resztki ciepła z nagiego, mokrego ciała. Potem jednak woda zrobiła się cieplejsza, gdyż w pobliżu biło gorące źródło. Odszukał je i długo grzał się zanurzony po szyję. Wiedział, że musi iść dalej, ale był bardzo słaby - nie przypuszczał nawet, że stracił tak dużo krwi. Bardzo chciało mu się jeść. Był coraz słabszy, zmorzył go sen i omal nie utonął. Otrząsnął się, wyszedł na mieliznę i znów zaczął dygotać z zimna. Chciał wrócić do gorącego źródełka, ale nie odnalazł go i pomyślał, że pewnie nie przeżyje nocy. Ta myśl na moment dodała mu sił, więc znów zaczął biec, trzymając się płycizny. Całkowicie stracił orientację i nie wiedział, że już od dawna krąży w miejscu. W pewnym momencie przewrócił się, ale nawet wtedy usiłował się czołgać. Potem zrobiło mu się ciepło i błogo. Wyciągnął się na przybrzeżnym piasku. Wzeszło słońce i w jego promieniach Maszeńka szła do niego z bukiecikiem w ręce... Nad zimną rzeką płynęła atramentowa noc, a on leżał po pierś w wodzie i nie wiedział, że ktoś skrada się do niego z miotaczem w rękach.

8. NIESPOKOJNA NOC

Maszeńka właśnie usiłowała zasnąć, zmęczona trudami daremnych poszukiwań, gdy rozległ się sygnał alarmowy. Ubrała się i wybiegła na ganek, kiedy ludzie wsiadali już do dyskolotów. “Wzięliście kołdrę elektryczną?” - krzyknął ktoś tuż nad jej uchem. W tej samej chwili zjawił się Burton i zawołał:

- Wsiadaj! Ahmed się znalazł!

Dyskoloty wystartowały z maksymalną szybkością i włączyły potężne reflektory. Noc była tak czarna, że światło tylko wzmagało nieprzeniknioną ciemność i Burton polecił je wyłączyć. Wówczas zauważyli dalekie rozbłyski, na których widok ludzie zamarli z przerażenia, bo to znaczyło, że tam, przed nimi, ktoś bez przerwy strzela z miotacza.

Piloci wszystkich aparatów wywoływali przez radio Ewę i Ławrowa. Indykator pokładowy wskazywał, że nadajnik pelengacyjny ich dyskolotu pracuje, ale na wezwania nikt

nie odpowiadał. Rozbłyski były już blisko. Dyskoloty gwałtownie obniżyły lot i włączyły reflektory, których promienie zlały się w oślepiający krąg. Zobaczyli wówczas Sergiusza stojącego na wysokim brzegu rzeczki i strzelającego z miotacza w nurt. Błyskawice rozcinały mrok, zamieniały wodę w parę, mgłę, wrzątek, odsłaniały na moment rozżarzone dno, a po chwili woda zalewała je z sykiem i bulgotem, by znów cofnąć się przed wiązką promieni. Nieco dalej w dole rzeki dwoje ludzi stało po pas w wodzie podtrzymując nagiego nieprzytomnego człowieka.

Ewa opowiadała później, że Don Kichot, który znalazł Ahmeda, zrobił dla niego wszystko, co mógł, zawinął go w swoją kurtkę i zaczął rozcierać. Niewiele by to pomogło, ale na szczęście starzec włączył swój pelengator. Ahmed widać w czepku się urodził - przypadki, które tak często niweczą najlepiej opracowane plany, tym razem mu sprzyjały. Don Kichot, który nie wiadomo czego szukał tak późno na bagnie, mógł się rozminąć z Ahmedem, a Sergiusz mógł wrócić do bazy pół godziny później i nie zauważyć słabych sygnałów pelengatora. W każdym razie Ahmed się znalazł i żył. Gdy jednak Ewa go zbadała, okazało się, że do bazy wieźć go nie można. Niezwłocznie zrobiła mu zastrzyk wzmacniający, choć wiedziała, że to niewiele pomoże.

- Uratować go może tylko gorąca kąpiel - powiedziała.

- A ognisko? - zapytał Don Kichot.

- Wątpię, ale trzeba spróbować.

- Nie trzeba, zaraz będzie gorąca kąpiel - oświadczył Sergiusz chwytając miotacz promieni.

Kiedy nadeszła pomoc i troskliwie opatulony Ahmed znalazł się w dyskolocie, Sergiusz przypomniał sobie o starcu. Don Kichot zniknął bez pożegnania, a ponieważ jego pelengator znów był wyłączony, zrozumieli, że starzec nie życzy sobie towarzystwa.

Burton już w czasie lotu wydał niezbędne dyspozycje. Na “Arielu” przygotowywał się do odlotu na Alfę drugi lekarz wyprawy Łagutin, po którego wysłano kuter desantowy. Ahmeda umieszczono w izolatce, skąd Ewa wypędziła wszystkich, nawet Maszę, zostawiając jedynie swego stałego pomocnika Kuleszowa. Sergiusz tymczasem opowiedział Burtonowi o śmierci psa.

Burton zamyślił się. Przez dziesięć lat planetę uważano za absolutnie bezpieczną i nadającą się do kolonizacji. Teraz wszystko się zmieniło. Wyprawę trzeba będzie zwinąć, przynajmniej do czasu, zanim ludziom nie zagwarantuje się całkowitego bezpieczeństwa. Przecież nie można sobie stale strzelać pod nogi, jak to robi Don Kichot... Zaraz, zaraz, dlaczego starzec nas nie uprzedził?

- Przecież wiedział o niebezpieczeństwie... - mruknął - Nie pisnął nawet słowa, chociaż poprosił nas o miotacz.

Sergiusz zrozumiał niedopowiedzianą myśl.

- Zagroda koło jego domu też jest przeznaczona dla kul - odpowiedział. - Ale po co je łowi? I jak? Co robił nocą na bagnie?

- Może chciał, abyśmy się wystraszyli - powiedział Burton pozornie bez związku. - Może mu w czymś przeszkadzamy?...

- Trudno to wykluczyć. Przecież nie bez powodu siedzi na tej planecie i to chyba od dawna. Prawdopodobnie bada zielone kule, stąd zagroda koło domu i nocne spacery po bagnie. Ale z drugiej strony ten nieużyty człowiek z narażeniem życia ratuje Ahmeda.

- Musimy zapytać o niego Ziemię.

- Jasne jest jedno - podsumował Sergiusz - powinniśmy niezwłocznie zająć się kulami. Zanim nie poznamy ich bliżej, o żadnych innych badaniach nie może być mowy. Jeśli pan pozwoli, wezmę kogoś do pomocy i zrobię mały zwiad. Spróbuję zorientować się, skąd i dokąd toczą się kule i czy w ogóle wędrują nocą.

- Zgoda. Tylko jeden warunek: kategorycznie zabraniam opuszczania dyskolotu. Wszystkie obserwacje prowadzić wyłącznie z powietrza. Łączność co trzydzieści minut. Stały peleng. Jeśli zobaczycie starca, starajcie się mu nie przeszkadzać.

Sergiusz wyszedł, a po chwili zjawiła się Ewa z wiadomością, że Ahmed majaczy o jakichś tubylcach, kulach i ofiarach z ludzi, i że wobec tego postawiła obok chorego włączony magnetofon. Zameldowała też, że Ahmed ma na ciele dziwne blizny, sprawiające wrażenie dopiero co zagojonych, i że rentgen wykazał zarośnięte złamanie stawu łokciowego. Blizny jeszcze o niczym nie świadczą - powiedziała - gdyż mogą być śladami po oparzeniach od czegoś w rodzaju pokrzyw, a rękę mógł złamać już na Ziemi i ukryć to przed komisją lekarską, ale to jednak bardzo dziwne...

Ewa wróciła do chorego, a Burton zebrał biologów i długo się z nimi naradzał. Jeszcze nie skończyli rozmowy, gdy wpadł Sergiusz z Bazylim Fahrem. Byli bardzo podnieceni i nalegali, aby zaraz wyświetlić film nakręcony przed dwudziestoma minutami.

...Na ekranie monitora ukazała się znana wszystkim kotlina, filmowana w promieniach podczerwonych z wysokości około dwudziestu metrów. Był to fantastyczny widok. Ciepła jeszcze woda strumienia płynęła żywym, iskrzącym się nurtem między szarymi zimnymi brzegami. Jeziora wyglądały jak migotliwe obłoki, wśród których gdzieniegdzie płonęły jaskrawe, drgające plamy gorących źródeł. Czerń gruntu upstrzona była cienkimi ognistymi

strzałami wysmukłych roślin, a w niemal niewidocznym gąszczu krzewów świeciły nocne kwiaty, wabiące swoim ciepłem nocne owady.

Obraz daleki był od doskonałości i choć sylwety przedmiotów rysowały się bardzo wyraźnie brakowało wielu szczegółów. Wszystko to przypominało chiński teatr cieni w negatywie.

To, co zobaczyli na ekranie, było chyba łowami - krótkim epizodem polowania, na którym zwierzyną były żywe zielone kule, a myśliwymi... Kilka kul toczyło się w tym samym kierunku, a wokół nich pląsały zwinne ludzkie postacie z włóczniami w rękach. Sergiusz dał maksymalne powiększenie, sylwetki wypełniły ekran, i wszyscy mogli się przekonać, iż nieznani tubylcy do złudzenia przypominają mieszkańców Ziemi. Tyraliera myśliwych lekkimi ukłuciami włóczni odpędzała jedną z kul na bok. Kula toczyła się dość długo, potem rozwarła się, a wtedy myśliwi przygwoździli ją włóczniami do ziemi, po czym rzucili się na nią. Białe płaskie postacie zlały się na ekranie w jedną plamę i nie można było zorientować się, co się właściwie dzieje. W tym miejscu taśma się skończyła.

- Pobudka o piątej, startujemy o świcie - Burton zerknął na zegarek.

Biolodzy zaczęli się rozchodzić. Wtedy dodał obojętnym, rzeczowym tonem:

- Ławrow przygotuje ewentualną ewakuację wyprawy...

9. DOM NA BAGNIE

Przez kilka dni życie Ahmeda wisiało na włosku. Lekarze robili wszystko, ale poprawy nie było. Maszeńka prawie nie wychodziła z pokoju chorego, jadła tam i drzemała.

Przez wszystkie te dni biolodzy buszowali po bagnie. Wylatywali tam o świcie i wracali po północy, w milczeniu jedli kolację i walili się spać, aby wstać jeszcze po ciemku.

Trzeciej nocy Burton zbudził Shermanna i zażądał natychmiastowej łączności z dowódcą “Ariela”.

- Będę potrzebował całej mocy kalkulatora pokładowego - powiedział bez wstępów, gdy na ekranie pojawiła się zaspana twarz Jużina. - Przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Statek wprowadzić na orbitę stacjonarną, zaprzestać fotografowania planety.

- O której was łączyć z kalkulatorem?

- Za trzy godziny. Musimy się przespać.

Kiedy Burton odpoczywał, Sergiusz przewiózł na bagno mały nadmuchiwany dom, pusty pęcherz bez żadnych urządzeń, w którym można było spać. Długo się zastanawiał, jak zabezpieczyć go przed czarnym huraganem, aż wreszcie założył sześć odciągów, które

przymocował do leżących bezużytecznie automatycznych sond. Rozbijając obozowisko Sergiusz wciąż pamiętał o kulach i z niepokojem rozglądał się dokoła. Jeszcze wczoraj bezpieczna planeta przekształciła się w pole minowe, gdzie każdy krok może stać się ostatnim. Zielone kule od czasu do czasu pojawiały się w pobliżu namiotu. Wszystkie toczyły się z południa i przybywało ich coraz więcej w miarę jak słońce wznosiło się na niebie.

Burton przywiózł ze sobą biologów i programistów, którzy wypakowali z pojemników mnóstwo przyrządów. W jednym z nich Sergiusz rozpoznał ze zdziwieniem uniwersalny automat programujący. Wyposażono w ten aparat każdą wyprawę badawczą, ale nigdy dotąd żadna z nich nie miała okazji go wykorzystać.

- Przygotował pan wszystko do ewakuacji? - zapytał Burton Sergiusza.

- Możemy zwinąć się w ciągu godziny - odparł Sergiusz z westchnieniem i dodał: - To znaczy, że jednak będziemy musieli.

- Nic jestem pewien, na razie wiem tyle samo co i pan.

Burton rozwinął mapę.

- Mam zadanie dla pana i dla Kuleszowa. Stąd nadleciał huragan. Stąd toczą się kule. Możliwe, że to przypadek, ale nie wydaje mi się. Musi istnieć jakiś związek. Postarajcie się dotrzeć jak najbliżej równika, na ile tylko zdołacie w ciągu doby, i co pięćset kilometrów instalujcie automaty meteorologiczne. Kuleszow już się przygotował. Z pewnością napotkacie kule. Postarajcie się zbadać ich liczebność, kierunek i prędkość, wreszcie rozrzut. Zachowujcie maksymalną ostrożność. Starajcie się nie wychodzić z aparatów, śpijcie w nich po kolei. Oczekuję pana za dwa dni... I jeszcze jedno. Chyba pan rozumie, że jeśli planeta ma rozumnych mieszkańców, to nasz dalszy pobyt na niej staje pod znakiem zapytania, gdyż nie czuję się wystarczająco przygotowany do nawiązania z nimi kontaktu. Zastanawiam się jednak, czy ten kontakt już nie nastąpił.

- Myśli pan o starcu?

- Nie tylko o nim. Ahmeda nie było prawie dwie doby. Kto go rozebrał? Dlaczego znaleźliśmy go tak daleko od miejsca, gdzie zaskoczył was huragan. Skąd wzięły się na jego ciele zabliźnione szramy i zaleczone złamanie. W jaki sposób nieprzytomny człowiek przez dwie doby wyżył w lodowatej wodzie? Poza tym ta scena polowania, sfilmowana przez was w nocy, pozwala założyć istnienie jakiegoś związku między tubylcami i kulami. Jaki to jest związek? Może kule dostarczają im pożywienia, może są przedmiotem kultu, a może wreszcie wydzielają jakiś narkotyk? W każdym razie mamy tu do czynienia z elementami tego samego ekosystemu. Podejrzewam, że ten ekosystem się rozpada. Kule giną. Pokręciliśmy się trochę w okolicy i zauważyliśmy, że wszystkie ciągną do wody, której na

Alfie nie ma zbyt wiele. Tegoroczne upalne lato może okazać się zgubne dla rdzennych mieszkańców planety. Teraz temperatura sięga trzydziestu stopni, a kiedy byłem tu pierwszy raz, nawet na równiku nie było takich upałów. Nie wiemy jeszcze, dlaczego klimat się zmienił, ale podejrzewam, że uporczywe wędrówki kul na północ nie są zwykłą migracją, lecz ucieczką. Jeśli tak jest w istocie, to czyż możemy odlecieć, nie udzielając planecie i jej mieszkańcom maksymalnej pomocy?

Sergiusz odszukał Kuleszowa i załadował do dyskolotu tygodniowy zapas żywności i wody. Kuleszow poszedł do Ewy po apteczkę. Poszedł i przepadł. Po kwadransie Sergiusz, który tymczasem zdążył sprawdzić już kamery telewizyjne i fotograficzne, chciał go już szukać, gdy Kuleszow wrócił w towarzystwie Ewy.

- Co się stało? - zapytał, widząc podniecone twarze.

- Pokaż rękę - zażądała Ewa. - Jeszcze boli? To dobrze. Można przeprowadzić na tobie medyczny eksperyment?

- Proszę bardzo!

Ewa posmarowała nie zagojoną rankę jakimś płynem i powiedziała:

- Zawiadom natychmiast, gdy do wieczora się zagoi...

- Co to takiego? - zainteresował się Sergiusz.

- Zaraz będziesz się śmiał do rozpuku - odparł Kuleszow. - Jest to roztwór spirytusowy kamienia filozoficznego, eliksir młodości, który otrzymaliśmy w darze od naszego Don Kichota.

- To znaczy, że moja dłoń stała się wiecznie młoda - zauważył Sergiusz z satysfakcją. - A może obejdziemy się bez dowcipów? Ewa, co on plecie?

- Don Kichot złożył nam wizytę.

Okazało się, że pół godziny temu nie wiadomo skąd zjawił się starzec, postawił na ganku szpadę i miotacz promieni i zapukał do drzwi. Poprosił, by zawołano lekarza, zapytał o zdrowie Ahmeda i wyraził chęć zbadania chorego bez świadków. “Jestem lekarzem, tak samo jak pani - zwrócił się do Ewy - ale wiem o Alfie coś takiego, czego pani nie wie. Sądzę, że mógłbym pomóc temu młodzieńcowi...” Ewa niechętnie zgodziła się. Wprawdzie nie bała się starca, ale zdziwiło ją żądanie, jego tajemniczość. Zaprowadziła Don Kichota do Ahmeda i wyprosiła Maszeńkę z izolatki.

Starzec wyszedł po pięciu minutach. “Sądzę, że niebawem wyzdrowieje - mruknął i podał Ewie opróżniony do połowy flakonik - byłoby dobrze jutro natrzeć mu tym całe ciało, twarz i głowę również.” “Co to jest?” - zapytała Ewa. “To miejscowy lek... Znakomity środek wzmacniający” - odparł starzec i upił łyk płynu, czym ostatecznie uspokoił lekarkę. Jednak

nie chciał odpowiedzieć na jakiekolwiek pytania. “Proszę mi wybaczyć. Bardzo się spieszę”. W tej samej chwili podbiegła do nich Maszeńka i rzuciła się na starca. “Jak panu nie wstyd! - krzyknęła. - Przecież wiedział pan wszystko o tych kulach i nic nam nie powiedział! Daliśmy panu miotacz, a pan nawet nie zająknął się o niebezpieczeństwie. Przez pana każdy z nas mógł zginąć! Nie chcę tu pana widzieć! I nie pozwolę smarować Ahmeda tym paskudztwem...” - I rozpłakała się. Starzec wysłuchał w milczeniu, wycedził: “Bardzo mi przykro...” - I oddalił się zabierając szpadę i miotacz.

Sergiusz nawet się nie zdziwił, tylko zapytał:

- Uważasz, że starzec wysmarował tym Ahmeda?

Wziął flakonik, obejrzał pod światło, powąchał.

- W tym paskudztwie nie ma nawet śladu spirytusu. Posłuchaj, Ewa - dodał zerkając z ciekawością na łysinę Kuleszowa - niby dlaczego tylko ja mam być królikiem doświadczalnym? Jeśli to JEST eliksir młodości, to powinien odmłodzić również jego włosy... - Umoczył w płynie koniec palca i przejechał nim po błyszczącej czaszce Kuleszowa.

- Czy wy kiedyś spoważniejecie? - oburzyła się Ewa. - Oddaj mi w tej chwili flakonik! Burton czeka na wyniki zwiadu, a oni się tu byczą!

Kiedy tylko odlecieli, Ewa postanowiła się nieco zdrzemnąć, zmęczona całą nocą spędzoną przy Ahmedzie. Jednak nie upłynęła nawet godzina, gdy ją obudzono. Zerwała się jak oparzona, myśląc, że z Ahmedem jest niedobrze. Okazało się jednak, że ją wzywają do kabiny radiowej.

- Ewa, to ty? - rozległ się głos Sergiusza. - Posłuchaj, Kuleszowowi przytrafiło się nieszczęście. Wciąż łapie się za głowę i powtarza, że wyrastają mu włosy. Czy moglibyście podrzucić nam nożyczki?

10. BUJDY NA RESORACH

Następnego ranka stan Ahmeda znacznie się polepszył. Nie odzyskał wprawdzie przytomności, ale ciało zaróżowiło się, a oddech pogłębił. Ewa, widząc to, natarła Ahmeda eliksirem Don Kichota, chociaż żałowała, że nie zostało jej nic do analizy. Potem wypędziła z izolatki Maszeńkę razem z jej materacem i powiedziała, że jeśli dziewczyna sama nie zadba o zdrowie, to zamknie ją w kabinie i każe karmić przez rurkę. Masza usłuchała, ale przy lada sposobności zaglądała do Ahmeda, siadała na jego łóżku i wpatrywała się weń swymi ogromnymi oczami, dopóki nie przepędzili jej lekarze.

Tymczasem Burton na bagnie pracował od świtu do nocy. Łagutin, który objął obowiązki kucharza po Bazylim Fahrze i dowoził do obozu gorące posiłki, opowiadał niesłychane historie. Opowiedział więc, że linia łączności z “Arielem” pracuje bez przerwy, że programiści chodzą jak nieprzytomni, że Burton schwytał kilka zielonych kul i prześwietla je rentgenem, falami radiowymi i ultradźwiękami. Że kule omal nie zjadły roztargnionego cybernetyka i trzeba było pilnie łowić jakieś zwierzaki, bo kule ani chciały spojrzeć na konserwy. Ale to był dopiero początek. Następnym razem Łagutin przywiózł naprawdę niesłychaną wiadomość. Powiedział mianowicie, że biolodzy schwytali ogromną kulę, wewnątrz której rentgen wykrył coś podobnego do ludzkiego szkieletu... To odkrycie wywołało prawdziwą panikę, gdyż nie można już było traktować jako przywidzenia majaczeń Ahmeda o ofiarach z ludzi. Prawdopodobnie musiał coś podobnego zobaczyć, może nawet był w niewoli u tubylców, którzy też pewnie go rozebrali, a jeśli tak, to trzeba będzie natychmiast odlecieć z Alfy. Łagutin powiedział też, że znaleziono sposób na kule-pułapki, które zwijają się i rozwijają pod wpływem ultradźwięków, i że teraz będzie można bezpiecznie poruszać się po planecie, nosząc na pasku miniaturowy generator ultradźwięków. Inna sprawa, że Burton nie jest tego całkowicie pewien, bo najbardziej go interesująca kula ze szkieletem w środku uparcie nie chce się rozwijać, a o jej preparowaniu nie chce nawet słyszeć.

To wszystko było jeszcze w miarę prawdopodobne, ale później Łagutin zaczął pleść prawdziwe bujdy na resorach: że niby w środku nocy obóz na bagnach napadnięty został przez tłum uzbrojonych tubylców, którzy najpierw przekłuli włóczniami nadmuchiwany namiot, a uwięziwszy w ten sposób badaczy pod jego ciężką powłoką, zaczęli wszystko rozbijać. Burton podobno najpierw krzyknął, by nikt nie ważył się strzelać, i włączył reflektory, po czym napastnicy uciekli. Przez noktowizory widać było, że nie odeszli daleko, lecz otoczyli obóz ze wszystkich stron i zaczęli regularne oblężenie. Na wieść o tym Burton rozkazał natychmiast, w środku nocy, wypuścić wszystkie kule i wszystkie schwytane zwierzęta. Po wysłuchaniu tej bujdy wszyscy zaczęli naśmiewać się z Łagutina, ale umilkli, gdy pokazał im pisemne polecenie kierownika wyprawy, aby wykonać dwadzieścia miniaturowych generatorów ultradźwięku.

Wieczorem, kiedy polepszyła się łączność radiowa, Ewa wywołała Burtona, żeby powiadomić go o stanie zdrowia Ahmeda, i zapytała przy okazji, czy rzeczywiście natknęli się na Alfian.

- Zgadza się - odburknął Burton - ale mam bardzo mało czasu. - Wyłączył się.

Niebawem zgłosił się Ławrow i zameldował wykonanie zadania i powrót do bazy. Powiedział też, że Kuleszow jest zrozpaczony i błaga, aby odszukała Don Kichota i za wszelką cenę wyprosiła od niego choćby mikroskopijny flakonik eliksiru.

- Przestańcie zawracać mi głowę! - zirytowała się Ewa, która wcale nie była w nastroju do żartów, i zaraz usłyszała oburzony głos Kuleszowa:

- Nikt ci nie zawraca głowy. To moja głowa przypomina teraz skrzyżowanie kuli bilardowej ze szczotką!

Przerwał mu Ławrow, który na zakończenie meldunku powiedział, że okolice równikowe planety ogarnięte są suszą, i że tysiące kul toczy się na północ, a wiele z nich po drodze ginie. Prosił o przekazanie Burtonowi, że jego zdaniem sztuczne morze należy utworzyć nie tam, gdzie początkowo zamierzali, lecz znacznie bliżej równika.

Ewa zaczęła wywoływać Burtona, ale obóz na bagnie milczał jak wymarły. Zaniepokoiła się i wywołała statek. “Ariel” odpowiedział natychmiast. Na ekranie pojawiła się zatroskana twarz Jużina.

- Masz coś pilnego? - zapytał kapitan patrząc gdzieś w bok.

- Nie mogę nawiązać łączności z Burtonem.

- Oni tam wszyscy są bardzo zajęci. Burton poszedł do nich... Przepraszam, my też mamy tu wiele roboty... - Jużin wyłączył się.

Ewa wyszła z kabiny radiowej, poszukała Szawrowa i poprosiła, żeby posiedział z nią na werandzie. Szawrow założył kurtkę, chwycił miotacz i ruszył z nią na dwór.

W pobliżu rozległ się trzask łamanych gałęzi. Ewa spojrzała w tamtym kierunku i raczej wyczuła niż zobaczyła jakiś czarny przedmiot toczący się w ich stronę. Drgnęła i cofnęła się ku drzwiom pod osłonę miotacza promieni. Szawrow zapalił latarkę i w jej świetle zobaczyli zieloną kulę przetaczającą się wolno obok ganku. Wkrótce pokazała się jeszcze jedna, a za nią następna... Tajemniczy mieszkańcy Alfy toczyli się w ciemności obok samotnej ludzkiej siedziby, uciekając przed dopędzającą ich suszą.

11. OSTATNIA ZAGADKA

Piątego dnia Ahmed wreszcie otworzył oczy. Przez dłuższą chwilę leżał nieruchomo, gapił się na biały sufit, cieszyło go światło i ciepło. Przeżył i był zdrowy - wyczuł to od razu - ale nie wiedział, jak długo leżał nieprzytomny i nie miał ochoty się nad tym zastanawiać, bo gdzieś w głębi pamięci kryły się strzępy wspomnień o bólu, strachu, rozpaczy. Przy łóżku siedziała Ewa Stadniuk i patrzyła na niego z uśmiechem.

Ahmed chciał się z nią przywitać, ale głos jeszcze odmawiał mu posłuszeństwa, więc tylko coś wymamrotał.

- Nie wolno ci mówić! - powiedziała basem i roześmiała się, po czym dodała już zwyczajnym głosem: - Winszuję ci powrotu do zdrowia, ale z rozmowami będziesz musiał jeszcze trochę poczekać. Poleżysz jeszcze z dzień, a jutro może wypuszczę cię na spacer, jeśli będziesz słuchał lekarzy i jadł kleiki... - Znów się roześmiała. - Pójdę zawiadomić Burtona i zawołam Maszeńkę. Właśnie zbiera dla ciebie kwiaty.

Ahmed mrugnął do Ewy, obiecując zachowywać się przykładnie, ale gdy tylko wyszła, natychmiast odrzucił koc i usiadł na łóżku. W głowie mu się zakręciło, po chwili jednak wszystko wróciło do normy i spróbował wstać. Wyjrzał przez okno i zobaczył Maszeńkę idącą w stronę domu z naręczem fioletowych kwiatów. Poruszała ustami, najwidoczniej śpiewała. Zapukał w szybę, ale dziewczyna nie usłyszała. Coś poruszyło się w pobliżu niej. Ahmed przyjrzał się temu uważniej i zdrętwiał z przerażenia. Zza krzewów wytoczyła się wielka zielona kula, która nagle rozwarła się i zniknęła w trawie.

Wtedy wszystko sobie przypomniał. Krzyknął i zaczął bębnić pięściami w okno, ale szyba, która oparła się czarnemu huraganowi, nawet nie drgnęła. Wówczas na uginających się nogach rzucił się ku drzwiom. Korytarz był pusty i nikt nie zareagował na jego zduszony, ledwie słyszalny krzyk, tylko gdzieś daleko rozlegał się cichy śpiew miękkiego barytonu. We wszystkich gniazdach stojaka tkwiła broń. Ahmed nie miał czasu zastanawiać się, co to znaczy. Chwycił miotacz i wyskoczył na ganek. Jaskrawe słońce oślepiło go, ale nie zważając na to popędził w kierunku Maszeńki, która szła z bukietem kwiatów i beztrosko śpiewała, nic nie wiedząc o straszliwej pułapce. Pędził jej na pomoc i czuł, jak z każdą chwilą wracają mu siły. Tuż za rogiem domu zatrzymał się, bo zobaczył jeszcze jedną kulę toczącą się wolno niespełna sto kroków od niego, a zza domu wyłoniła się następna... Tymczasem nieświadoma niczego Maszeńka wciąż radośnie podśpiewywała. Ahmed uniósł miotacz i wystrzelił. Płomień atomowej błyskawicy przyćmił słońce, z krzewów buchnął czarny dym. W bok od wypalonego śladu z nagłym trzaskiem zwinęła się kula i zaczęła się oddalać. Ahmed schwytał ją na muszkę, ale zanim ponownie wystrzelił, lufa broni szarpnęła się do góry i wiązka promieni trysnęła w niebo. Jakiś nieznajomy wyrwał mu miotacz. Ahmed chciał odebrać broń, gdy nagle rozpoznał nieznajomego i zdumiony przestał się opierać. To był Kuleszow, którego głowę, zawsze przypominającą bilardową kulę, teraz zdobiła gęsta czupryna. Maszeńka objęła go z płaczem, podbiegła zaniepokojona Ewa, i wszyscy jedno przez drugie zaczęli go uspokajać, i nikt nie zwracał najmniejszej uwagi na przetaczające się w pobliżu kule, jakby to istotnie były nieszkodliwe dynie. Ahmed poczuł nagle, że zaraz upadnie.

Próbował jeszcze coś powiedzieć, przed czymś przestrzec, ale myśli mu się mąciły, gdyż Ewa zdążyła mu już ukradkiem wstrzyknąć środek nasenny. Ostatnią rzecz, jaką zobaczył, uznał za przywidzenie i zamknął oczy. Ale to wcale nie było przywidzenie - w towarzystwie Burtona wszedł na ganek jeden z tych, których Ahmed widział nocą na bagnie.

Później, kiedy już prawie zapomniał o chorobie, dowiedział się wszystkiego. Opowiedziano mu, jak kierownik wyprawy wędrował nocą po bagnie szukając mieszkańców Alfy towarzyszących ogromnej kuli, która uparcie nie chciała się otwierać. Jak ich znalazł i zdumiała go troska, z jaką oczyszczali jej drogę, pomagali pokonywać nierówności gruntu...

Zaczęło się od tego, iż Burton zaczął podejrzewać, jaki to szkielet wykryło prześwietlenie kuli. Wszyscy byli przekonani, że kula trawi pokarm, ale kierownik wyprawy zwrócił uwagę na to, jaką czułą wręcz troską otaczają ją tubylcy. Doskonale pamiętał film z nocnych łowów i zachodził w głowę, dlaczego Alfianie zachowują się teraz zupełnie inaczej. Tyle czułości okazywać może matka dzieciom. Wreszcie doszedł do wniosku, że w szczelnie zakrytej kuli rośnie nowe życie, któremu nie pora jeszcze przyjść na świat... Podczas choroby Ahmeda stwierdzono, że kule polują na drobne zwierzęta i że same są źródłem pokarmu dla tubylców. Alfianie przedkładają to pożywienie nad wszelkie inne ze względu na zdumiewające właściwości tkanek i płynów ustrojowych zielonych kul. Leczą swoich chorych i najciężej rannych, owijając ich powłoką upolowanej kuli. Kuleszow z dumą zademonstrował mu swoją kędzierzawą głowę i powiedział, że dzięki wyciągowi z kul można teraz nawet wyhodować sobie nową rękę lub nogę, jak to zapewne zrobił Don Kichot.

Członkowie wyprawy często wspominali starego samotnika, który, choć generatory ultradźwięku działały znakomicie, nadal nie rozstawał się ze szpadą i miotaczem. Było to pozornie tym dziwniejsze, że ani dla tubylców, ani dla ludzi kule nie stanowiły żadnego niebezpieczeństwa - można było bez obawy po nich chodzić.

Burton otrzymał z Ziemi odpowiedź na swoje pytanie o starego samotnika, przeczytał ją z uwagą i poszedł z wizytą do domku wśród skał.

Don Kichot przyjął go w wielkim pokoju zastawionym odczynnikami chemicznymi i aparaturą badawczą i z niezliczonymi szpadami, rapierami, mieczami i halabardami na ścianach. Było też mnóstwo książek.

Burton usiadł na podsuniętym przez starca fotelu. Patrząc na jego jędrną cerę, której sekret już znał, i na prawą dłoń, oznajmił, że Ahmed jest już zdrów, i opowiedział krótko o wszystkim, czego członkowie wyprawy zdołali dowiedzieć się o kulach.

Współczuł starcowi, który przez długie lata żył samotnie na Alfie i dokonał wielkiego odkrycia, które spowoduje przewrót w medycynie. Nie zakończył jeszcze swych badań, ale

wyłącznie on mógł uważać się za autora wiekopomnego odkrycia. To, że naukowcy wyprawy poznali jego tajemnicę, nie miało najmniejszego znaczenia. Stało się to przypadkiem, bo gdyby wybrali inny rejon lądowania, nie dowiedzieliby się nigdy o istnieniu eliksiru młodości, o cudownych właściwościach zielonych kul.

Don Kichot wysłuchał wszystkiego w milczeniu i dopiero gdy Burton skończył, powiedział, patrząc na generator ultradźwiękowy na jego pasie:

- Na razie nie potrzebuje pan go nosić...

- Dlaczego?

- Jest pan młody - odparł ze smutkiem starzec. - A tutaj odchodzą w niebyt tylko ci, którzy do tego dojrzeli. Jak ja.

Wracając do bazy Burton rozmyślał nad losem tego potomka multimiliarderów (informację tę zawierała depesza z Ziemi), błyskotliwego uczonego, który całe swe życie poświęcił poszukiwaniom środka powodującego regenerację tkanek człowieka i nareszcie dopiął swego. Osiągnął cel w osiemdziesiątym czwartym roku życia, zbyt późno, aby uratować syna, który przed laty stracił nogi w katastrofie statku kosmicznego. Robił wszystko, aby ten cel osiągnąć, nawet amputował rękę, aby móc eksperymentować na sobie. I oto teraz ktoś inny doszedł do tego nie ponosząc aż takich ofiar. John William Ridge powinien osobiście przekazać swoje odkrycie ludziom.

EPILOG

“Ciołkowski” przyleciał po dwóch tygodniach. Gigantyczny statek wszedł na orbitę i wysłał kuter desantowy, niewiele mniejszy od “Ariela”. Pilot powoli i ostrożnie opuszczał go na słupie płomieni, aby natychmiast poderwać statek do góry, jeśli miękki grunt nie utrzyma ciężaru.

Pół kilometra dalej, stojąc na wysokim brzegu bagnistej kotliny, trzech Alfian obserwowało lądowanie przez lornetki. Burton objaśniał im całą scenę. Nie nauczył się jeszcze miejscowego języka, więc korzystał z automatycznego tłumacza. Opodal stali: Sergiusz, Ahmed z Maszeńka i Kuleszow, do którego miała przylecieć żona, specjalista od głębokich wierceń. Kuleszow był ogromnie zdenerwowany, nie wiedział, czy jego nowy wygląd spodoba się żonie. Trochę przesadził z eliksirem i teraz musiał nieustannie strzyc się i golić.

Sergiusz nie wdawał się w żadne rozmowy. Myślał, że jego praca przy geologicznych badaniach dna przyszłego morza wkrótce przyniesie rezultaty. Alfa dyszała żarem, każdy

dzień niósł zagładę setkom bezradnych kul, wymagających chłodu i wilgoci. Na tej planecie nie istniała cywilizacja techniczna. Alfianie nic mieli szkół, nie znali pisma i rzemiosła. Żywili się kulami, leczyli się kulami, rodzili się w kulach i w nich umierali. Znali najprostsze narzędzia, robili włócznie i noże, budowali w nieprzebytych zaroślach prymitywne szałasy, ale byli bezradni wobec straszliwej suszy i tylko ludzie mogli im pomóc.

Sergiusz wyobraził sobie, jak laserowe świdry wgryzą się w spieczony grunt, jak za kilka dni połyskliwy strumień wody wytryśnie z odwiertu, rozleje się po powierzchni i stopniowo wypełni kotlinę. Wiertnica przejdzie na nowe miejsce, a potem dalej i dalej, pozostawiając po sobie jeziora, które połączą się w pierwsze alfiańskie morze.

Od czasu do czasu zerkał w niebo i wypatrywał dyskolotu Ridge'a. Kilka dni temu Ahmed na polecenie Burtona zostawił jeden z aparatów przed domem starca. O zmroku Ridge przyleciał do bazy, przywitał się oschle z napotkanym Shermannem i podał mu grubą teczkę.

- Proszę przekazać ją Burtonowi - powiedział. - To... dla wszystkich...

Odwrócił się i wyszedł.

CZERWONY JELEŃ, BIAŁY JELEŃ - Kirył Bułyczow

O zmierzchu Łunin przybił do brzegu, aby przenocować. Miejsce na postój było bardzo dobre - wysoki brzeg, porośnięty u góry starymi drzewami. Pod urwiskiem leżała szeroka łacha piasku, ubitego przy samej wodzie i miękkiego, sypkiego, wygrzanego słońcem bliżej zbocza. Na piasku gdzieniegdzie leżały pnie drzew, które stoczyły się na dół - rzeka stopniowo podgryzała urwisko. Łunin przymocował motorówkę do czarnego, zarytego korzeniami w wodę pnia. Łódka chwiała się lekko na niewielkiej fali. Namiot postanowił rozbić na górze, gdzie nie będą dokuczać moskity - z dołu widać było, jak gną się na silnym wietrze wierzchołki drzew.

Łunin przytroczył namiot do pleców i zaczął wspinaczkę. Stok był stromy, a grunt niepewny - luźne zlepieńce i zbity piach - i trzeba było całym ciałem przyciskać się do urwiska, aby nie stoczyć się w dół. Korzenie i kolczaste krzewy z niespodziewaną łatwością wysuwały się z gruntu, gdy tylko za nie chwytał.

Nikt nie bronił Łuninowi pozostać na dole i przenocować w motorówce, chciał jednak oderwać się od rzeki. Cieszył się na spokojny odpoczynek, niespieszne rozmyślania o swoich dzisiejszych łupach. Zostały w motorówce, ale Łunin znał je na pamięć. Zresztą w tej chwili były ważne nie znaleziska, lecz fakt, że mogły one potwierdzić idee, które pochopnie zakomunikował kolegom, zanim jeszcze stały się teorią.

Na górze wiał chłodny wiatr, nabierający siły nad lustrem wody. Przeciwległy brzeg już utonął we mgle. Wiatr rozpędzał moskity. Łunin rozbił namiot, posilił się, usiadł pod rozłożystym drzewem i spuścił nogi z urwiska.

Gdzieś w pobliżu pokrzykiwały ptaki. Trzasnęła gałązka. Łunin słyszał odgłosy lasu, ale one mu nie przeszkadzały. Wiedział, że w razie niebezpieczeństwa zdąży jednym susem dopaść namiotu i włączyć pole siłowe. Motorówka też potrafi się obronić sama, jeśli ktoś spróbuje ją zjeść lub uszkodzić. Z góry łódź wydawała się maleńka, niczym żuczek wyrzucony falą na brzeg. Łunin poczuł zbliżający się atak nostalgii, dokuczliwej jak choroba. Tu nie było Swoich, tylko Obcy. I Łunin był tu Obcy. I geolodzy, którzy gdzieś parę tysięcy kilometrów dalej też rozbili namioty i siedzą koło nich, wsłuchując się w głosy lasu lub stepu. I botanik, któremu na imię albo Paul, albo Richard, też gdzieś nocuje. Sam.

Łunin spojrzał w górę. Jakby wiedział, że właśnie w tej chwili Stacja przelatuje nad nim. Stacja wyglądała jak jaskrawa gwiazdka, tyle, że ruchoma. Można zajrzeć do namiotu i wywołać Stację. Spytać na przykład, jaka jutro będzie pogoda. Odpowiedzą, będą życzyć

spokojnej nocy. Dyspozytor się nudzi. Nie może się doczekać, kiedy przyjdzie na niego kolej i będzie mógł wylądować na planecie. Jest geologiem albo geofizykiem. Wydaje mu się, że planeta jest tak ciekawa i bogata, iż nie będzie miał czasu poczuć się samotny. Może ma rację. Może Łunin jest tu wyjątkiem.

Ta planeta mogła być inna. Zupełnie inna. Nie wykluczone, że ciąży Łuninowi niechcący poznany, niewesoły sekret globu i wywołuje ataki chorobliwej samotności.

Jest jedynym paleontologiem Stacji. Początkowo pracował z grupą geologów. Potem odłączył się od nich, bo i tak mógł się jedynie domyślać, czego tu można oczekiwać, prowadzić pobieżne, wstępne rozpoznanie. Nic więcej. Szukać planowo, dokonywać odkryć będą inni. Łunin mógł tylko liczyć na przypadki i domysły. Jeden z przypadków zdarzył się wczoraj. Drugi dzisiaj rano.

Rano znalazł drugie obozowisko. Nie było starsze od wczorajszego...

- Uch - niezbyt głośno, lecz groźnie powiedział w zaroślach pług. Takie “uch” mogło znaczyć tylko jedno - sygnał do napaści. Łunin rzucił się do namiotu i zdążył jeszcze pomyśleć, że pługi na szczęście nigdy nie atakują w milczeniu. Zawsze dają sekundę do zastanowienia. Sekundę, ale nigdy więcej.

Nie zdążył ukryć się w namiocie. Pługi rzuciły się zza pni i z góry, z wierzchołków drzew. Padając pod ciężarem gorącej sierści, Łunin wymacał przycisk kopuły ochronnej i pole przygniotło mu nogi nieco powyżej kolan. Szarpnął się, starając podciągnąć stopy, ale okazało się to trudne do wykonania - nie tyle z powodu pola, ile dlatego, że jeden z pługów uchwycił go za but i ciągnął do siebie. Pozostałe trzy lub cztery, jak ćmy tłukły się o niewidzialną ścianę oddzielającą je od Łunina.

W półmroku było widać, jak czerwono świecą się ich zbyt wielkie na ziemski gust oczy. Wyraz wściekłych pysków wydawał się przez to dwuznaczny - oczy kontrastowały z wyszczerzonymi kłami i ze zmarszczkami, fałdującymi rzadką sierść na niskim, pochyłym czole. W oczach odbijało się zdziwienie, smutek, a nawet żal. Ale pługi nie są zdolne do współczucia i miłosierdzia. To niezwyciężone i ponure drapieżniki - władcy nocy. Wielkość i kształt oczu ma swoje uzasadnienie. Pługi widzą w niemal całkowitej ciemności.

But został w łapie pługa, który od razu zaczął go gryźć, ale nie zdążył nacieszyć się zdobyczą. Inny pług, większy od niego, zapłonął zazdrością. Pługi zapomniały o Łuninie - wiedział, że nie na długo - na razie rzuciły się na but i rwały go na strzępy.

Usadowił się przy wejściu do namiotu i wymacał kamerę filmową. Promień światła, który z niej trysnął, wyłonił jedynie ogromną, czarną stertę ciał, pulsującą niczym rój pszczół. Pługi biły się. I wtedy zza drzew wyszedł wielki, stary samiec. Szedł na tylnych łapach,

stawiając je pewnie i prosto. Nie patrzył na bijatykę: interesował go większy łup - namiot i człowiek w namiocie.

Nie zwracał uwagi na światło, tylko źrenice zwęziły mu się w cieniutką szparkę i Łunin, patrząc na niego przez wizjer i podkurczając bosą nogę, uśmiechnął się mimo woli. Kiedy pierwsze fotografie tych gigantycznych małp dotarły na Stację, doktor Pawłysz z “Kosmosu” powiedział zupełnie serio: “Tu przed nami był Gustaw Pług”. Gustawa Pługa znała cała załoga. Był naczelnym lekarzem na “Ziemi 14” i odznaczał się anielskim charakterem, umiejętnością wyszukiwania chorób w najbardziej nawet zdrowych kosmonautach oraz przerażającym wprost wyglądem. Przypominał goryla w okularach. Wtedy właśnie Pawłysz dorysował na fotografii okulary i piteki nazwano pługami.

- Witam, doktorze Pług - powiedział Łunin do wolno zbliżającego się zwierzęcia. - Wydaję się łatwym łupem? Można mnie potraktować zgodnie z prawem dżungli? No to spróbuj sobie wyobrazić, że ja też mogę cię zjeść.

Przez moment zdawało się Łuninowi, że pole siłowe może nie wytrzymać. Nawet wyciągnął bosą nogę przed siebie i kopnął powietrze. Noga trafiła na ścianę. Trzeba będzie jutro wybrać się na Stację - pomyślał. Na bosaka nie można długo tu chodzić.

Prowodyr rozpłaszczył łapy na niewidzialnej ścianie i przycisnął do niej pysk. Gotował się z wściekłości, Łunin coś mu przypominał. Człowiek to zauważył i dlatego dziś odnosił się do pługów bez tego chłodnego zainteresowania, z jakim przywykły do życia w polu badacz traktuje otaczające go niezrozumiałe życie. Łunin miał w stosunku do pługów uzasadnione podejrzenia. Nabrał ich po odkryciu obozowisk.

Na razie było ich tylko dwa. Wczorajsze, na zboczu wąwozu, gdzie kilka płytkich jaskiń wychodziło na trawiastą polanę. W jednej z jaskiń Łunin znalazł ślady sadzy, a na ziemi, pod guanem nietoperzy, odpadki kuchenne - zmiażdżone kości, popiół i odłamki krzemienia. W jakieś półtorej godziny później, kiedy oprzytomniał i ochłonął po krzątaninie z kamerami i utrwalaczami, wywołał Stację i zawiadomił dyżurnego o znalezisku. Mówił spokojnie, zwyczajnie i początkowo dyżurny nie pojął znaczenia jego słów.

- Notuję współrzędne - dyżurny odpowiedział obojętnie, tak samo, jak kilka razy dziennie odpowiadał różnym grupom, z których każda była przekonana, że jej odkrycie przejdzie do historii. - Obozowisko paleontologiczne... Wstępna analiza odpadków kuchennych... około dziewięciu wieków z dokładnością do pięciu lat... Czekaj - przerwał dyżurny. - Jakie odpadki kuchenne?

- Kości - powiedział Łunin. - Popiół.

- Chcesz powiedzieć...

- Komunikat przyjęty? Kontynuuję pracę - powiedział Łunin i wyłączył się, wyobrażając sobie, jaki popłoch, spowodowany jego meldunkiem, przetacza się falami po Stacji, odrywa od pilnej i niedawno jeszcze Najważniejszej Pracy fizyków, astronomów, zoologów, jak przerzuca się na planetę i podrywa pracujące na dole grupy. “Słuchaj, wiesz co Łunin znalazł?”

Przez jakieś pięć minut panował spokój. Łunin nie wątpił jednak, że odezwą się za chwilę. Siedział na głazie i czekał na rozwój wydarzeń.

- Łunin - odezwał się głos z radiostacji. - Słyszysz mnie? - mówił Wołogdin, szef wyprawy.

- Słyszę - powiedział Łunin, gryząc trawkę.

- Nie pomyliłeś się?

Łunin zignorował to pytanie.

- Czemu milczysz?

- Przecież posłałem meldunek.

- Ale jesteś pewien?

- Tak,

- Wysłać ci grupę?

- Na razie nie trzeba. Nic szczególnego się nie wydarzyło.

- A czego byś chciał?

Łunin wyobraził sobie, jak cała Stacja stoi za plecami szefa i słucha rozmowy.

- Uważaj, Wołogdin. Tak, znalazłem paleontologiczne obozowisko. Ale nie wiem, kto był jego dawnym gospodarzem. Obozowisko jest w naszym pojęciu świeże. To znaczy, że jeśli nawet na planecie są istoty rozumne, to nie przekroczyły jeszcze poziomu troglodytów. W przeciwnym razie już dawno byśmy ich odszukali.

- Ale przecież nikt przedtem nie widział nawet śladów. Dlaczego?

- A co my wiemy o tej planecie? Pracujemy tu zaledwie od trzech miesięcy i jest nas garstka.

- Jednak planeta jest już cała sfotografowana i każdy dowód...

- Oni pewnie żyją w lesie.

- Może to pługi?

- Nie łudź się. O pługach opowie ci dokładnie Lee. Przez dwa tygodnie obserwował ich stado. Paskudne zwierzęta, nieco rozumniejsze od goryli, ale za to pięć razy silniejsze i złośliwsze. Doskonale obywają się bez ognia.

- Mówisz więc, że dasz sobie radę?

- Tak. Możecie przysłać pojemnik. Włożę do niego taśmy i sami sobie obejrzycie. Ale niczego sensacyjnego nie obiecuję.

- Zaraz wysyłamy. Moim zdaniem lekceważysz odkrycie.

- To nawet nie odkrycie. Na obozowisko natknąłem się przypadkiem. Ale w każdym razie pójdę teraz z biegiem rzeki. Może jeszcze coś zobaczę.

Pojemnik na taśmy przysłali dokładnie po dwudziestu minutach. Łunin akurat zdążył przenieść się na kuter, żeby zjeść obiad. Wiedział przecież, że miną jakieś trzy godziny, zanim znajdzie się wolny pojemnik, który i tak zagarną od razu geolodzy. Parsknął więc śmiechem, kiedy pojemnik opadł dziewięć metrów od brzegu. Była w nim karteczka. Prywatna. Od Wołodi Lee. “Pojutrze kończę opracowanie tematu. Mogę się dołączyć”. Na liścik Łunin nie odpowiedział. Jak będzie mógł, to przyleci.

W ciągu dnia Stacja wywoływała go jeszcze z dziesięć razy. Tak, jakby odnalazł nie ślady paleolitu, lecz co najmniej miasto z torami kolejowymi i jakby co godzinę powinien znajdować nowe miasto.

Minął dzień. A dzisiaj rano znalazł nowe obozowisko. Poprzednio może nawet przegapił jakieś ślady. Nie spodziewał się paleolitu na tej planecie. Szukał kenozoiku, w pewnym miejscu natknął się na trias. A za śladami człowieka wcale się przecież nie rozglądał. Teraz za to oczy krążyły mu niczym anteny radarowe. Czy nie ma śladu obróbki na kawałku krzemienia? Czy ta ciemna plama na zboczu nie jest przypadkiem wejściem do jaskini?

Obozowisko było niewielkie, odpadków mało. Za to w dole, do połowy zasypanym piaskiem, znalazł pierwszą czaszkę i resztki szkieletu. Czaszkę trzeba było składać z kawałeczków zmiażdżonych mocnymi zębami drapieżników. A może zębami współplemieńców? Obozowisko należało do humanoidów. Łunin miał rację - nie miały nic wspólnego z pługami. Były to stworzenia dwukrotnie niższe, o znacznie delikatniejszych kościach, pochyłym czole i ściętym podbródku. A jednak znacznie bliższe były ludziom niż czarne małpy. Łunin pokręcił się po obozie i znalazł jeszcze kilka ludzkich kości. Zdołał wedle nich określić, że mieszkańcy zostali napadnięci. Przy czym napastnicy nie tylko wybili, lecz także pożarli mieszkańców jaskini.

Zmitrężywszy kilka godzin na zbieraniu, utrwalaniu i wysyłce znalezisk - tym razem wszystkie pojemniki Stacji okazały się wolne - oraz na rozmowy z gośćmi, którzy zewsząd przybywali motorówkami i lotniami, Łunin ruszył dalej. Już wtedy nabrał pewnych podejrzeń, ale nie mógł sprawdzić ich zasadności. W tej strefie żyły niedźwiedzie i drapieżniki podobne do wilków. Ani jedne, ani drugie, jak stwierdził Lee, nie zbierały się w

stada. Wątpliwe więc, aby mogły unicestwić wszystkich, więcej niż dziesięciu, mieszkańców obozowiska. Zabić i dosłownie rozerwać na drobne kawałki. Pozostały tylko pługi.

I teraz siedząc w namiocie z jedną bosą nogą i patrząc na wściekły, zapieniony pysk pługa-prowodyra, Łunin odczuwał niemal nienawiść.

Natura jest okrutna dla rozumu. Jeszcze nie okrzepł, jeszcze nie poznał swej potencjalnej potęgi, a już znajduje się wśród silnych wrogów i walka z nimi, niczym miecz Demoklesa, wisi nad samym istnieniem rozumnego życia. Wrogowie - i tu, i na Ziemi - zawsze mają większe zęby i lepiej się nimi posługują od przodków istot rozumnych. Trzeba ich przechytrzyć, schować się przed nimi, wyżyć... chociaż bez silnych wrogów też nikt nie stanie się rozumny.

A pług nie zamierzał rezygnować ze zdobyczy, Łuninowi nawet zdawało się, że małpa utożsamia go z troglodytami i traktuje nie tylko jako zdobycz, lecz także jak największego wroga, istotę, z którą nie da się dzielić władzy na planecie. Do prowodyra dołączyły pozostałe pługi. Zdążyły zeżreć but i wreszcie, kiedy Łuninowi znudziło się patrzeć w kudłate, wściekłe pyski i dał oświetlający błysk, pługi rozbiegły się.

Nie od razu udało mu się zasnąć. Zgłosił się Wołodia Lee. Okazało się, że zakończył już badania mechanoskopijne śladów na kościach ludzkich. Siady odpowiadały zębom pługów... Oskarżenie zyskało dowód rzeczowy. Zasypiając wreszcie, Łunin pomyślał, że jego sytuacja na tej planecie zmieniła się. Jest teraz nie tylko badaczem. Powinien być także obrońcą. Pługi okazały się wrogami niebezpieczniejszymi od niedźwiedzi jaskiniowych, z którymi walczyli nasi przodkowie.

Następnego dnia wrócił na Stację. Z powodu buta. Uznał, że nie wypada prosić dyżurnego: “Przyślij mi, mój drogi, prawy but numer czterdzieści dwa. Jeśli to możliwe - czarny. Stary zeżarły mi pługi”. Trzeba było zresztą naradzić się z Lee i szefem. No i wydębić lotnię na jakieś dwa tygodnie, aby przebadać z lotu koszącego zlewisko wielkiej rzeki.

***

Potem Łunin i Lee przez trzy tygodnie badali dorzecze i wracali na Stację, aby opracować materiały. Starali się obalić wnioski, jakie wynikały z nowych materiałów.

Pługi zjawiły się tu jakieś cztery tysiące lat temu, a więc niedawno. Prawdopodobnie z drugiego kontynentu, gdzie jest ich całe mrowie. W tym czasie pierwotni humanoidzi nauczyli się już łupać kamień i rozpalać ogień. Ludzie nie byli jednak przygotowani do walki z ogromnymi małpami. Małpami zorganizowanymi w wojownicze stada, widzącymi w nocy i posiadającymi tak grubą skórę, że kamienne oszczepy grotów nie mogły jej przebić.

Rozrzucone po lesie hordy ludzi kolejno stawały się ofiarami bezlitosnych napadów. Tysiąc pięćset, tysiąc osiemset lat liczyły opuszczone i zniszczone obozowiska. I wreszcie, na brzegu rozległego, płytkiego jeziora, wśród sterczących palczasto skał, znalazł Łunin pole jednej z ostatnich, jeśli nie ostatniej bitwy. Zginęło tam około osiemdziesięciu ludzi. Ale nie tylko. Razem z ich szczątkami poniewierały się szkielety pługów. Ludzie nauczyli się żyć wspólnie, ale widocznie było już za późno. Bitwa miała miejsce pięć wieków temu, z tolerancją dziesięciu lat. Poszukiwań można było zaniechać. Na planecie nie pozostał ani jeden człowiek.

- Gdybyśmy przybyli trochę wcześniej - powiedział któryś z fizyków - osłonilibyśmy ich polem siłowym.

- Pięćset lat temu?!

- A może jeszcze w zeszłym roku jakiś się tu ukrywał? Przecież nie wiemy.

- Wątpliwe - powiedział Lee.

- Ja to rozumiem - odparł fizyk. - A jednak żal.

Następnego dnia Łunin poleciał do wielkiego obozowiska pod urwiskiem, gdzie z czerwonego piaskowca spadały na brzeg czarne konkrecje, a amonity sterczały ze zbocza niczym poskręcane baranie rogi. Tam była jaskinia, przed którą osiemset lat temu stoczono walkę. Pewnie krótką, nocną, jak i wszystkie pozostałe, kiedy w świetle ognisk kręciły się pługi, warcząc i sapiąc opędzały się od oszczepów, odwalały kamienie, którymi ludzie zastawili wejście do jaskini.

Łunin obejrzał wszystkie zakamarki pieczary odnajdując ślady długiego życia. Podniósł haczyk na ryby z zagiętej i wyszlifowanej ości, znalazł wydrążony kamień, do którego skapywała woda z powały jaskini. Drugie, przeciwległe wejście do podziemia było szerokie i słońce zalewało płaską, piaszczystą podłogę i gładkie ściany. Pod jedną ze ścian leżał obciosany kamień. Nad nim widniały rysunki. Pierwsze rysunki znalezione na planacie. Łunin wstrzymał oddech, jakby się obawiał, że tchnienie powietrza może je zniszczyć.

Ktoś wybrał tę ścianę, aby wyrazić na niej swoje zachwycenie światem, zatrzymać ruch, zaczarować go potężną siłą jedności z tym światem i z rodzącą się nad nim władzą. Był tam niedźwiedź z nierównymi, pionowymi krechami pod brzuchem, wyobrażającymi sierść. Były śmieszne ludziki - dwa patyczki nóg, dwa patyczki rąk. Ludziki dokądś biegły. Była łódka i słońce nad nią. Piaskowiec i kreda nauczyły artystę (a może był to pierwszy kapłan?) posługiwania się różnymi barwami. Słońce było czerwone, ludziki - białe.

Łunin wolno szedł wzdłuż ściany, znajdując coraz to nowe rysunki. Czarny pług. Przygarbiony i szczerzący zęby. Pług był malutki. A obok duży czerwony człowiek, który

przebijał pługa oszczepem. Rysunek był nieprawdą. Sztuka, choć dopiero się rodziła, już zaczynała pocieszać.

Przypomniał sobie, że kamera została w lotni i że trzeba po nią wrócić.

Ale zanim odszedł, wyjrzał na zewnątrz, czy nie ma tam przypadkiem innych rysunków. Rysunek był. Płaski głaz nawisający nad ścianą uchronił go przed deszczem. Rysunek był większy od pozostałych, swobodniejszy, jakby poza granicami jaskini artysta mógł zapomnieć o obowiązkach czarownika, wyzwolić się z kanonów, rodzących się wraz ze sztuką.

To był jeleń. Czerwony jeleń, narysowany lekko i niedbale. Uchwycony przez artystę w chwili skoku.

Łunin biegł w stronę lotni. Po kamerę. Aż go zakłuło serce. Pogodził się już z myślą, że rozum na tej planecie zaginął zaraz po narodzinach. I żal z tego powodu, a nawet złość na pługi, że stały się próbą, jakiej ludzie nie zdołali sprostać, były nieco bezprzedmiotowe. Bądź co bądź stał wobec faktu historycznego.

Ale istnienie jelenia, jego swobodny skok, od razu zniweczył chłodny dystans. Ostateczne unicestwienie rozumu stało się klęską, dotyczącą osobiście samego Łunina. Zrodził się w nim strach, że czerwony jeleń też może zaginąć. Od trzęsienia ziemi, od deszczu - diabli wiedzą od czego jeszcze.

Włączył tylko na sekundę radiostację, powiedział:

“Znalazłem rysunki naskalne. Sfotografuję, zakon serwuję, a potem się zgłoszę. Czekajcie”. Chwycił kamerę, płyn konserwujący i pobiegł z powrotem. Posuwał się szybko, lecz ostrożnie, starając się nie nastąpić na kości i odłamki kamieni. Kiedy do drugiego wyjścia z jaskini pozostało kilka kroków, znieruchomiał. Wydało mu się, że tam ktoś jest. Tak, teraz już wyraźnie słyszał sapanie. Łunin zarzucił kamerę na ramię i położył rękę na kolbie blastera, nabitego pociskami paraliżującymi. Sapanie nie milkło, jakby malutki parowozik wypuszczał parę. Łunin na palcach doszedł do końca jaskini i wyjrzał.

Sprawdziły się jego najgorsze obawy. Przed czerwonym jeleniem przykucnął ogromny pług i starał się zniszczyć rysunek. Łunin uniósł blaster. Jeszcze nie jest za późno. Jednak nie strzelił.

Zauważył w łapie pługa kawałek kredy. Łapa drżała z wysiłku. Sapiąc, popiskując, szczerząc zęby, pług mazał kredą po ścianie. Akurat pod czerwonym jeleniem. Zdołał już nakreślić niemal prostą linię poziomą i teraz stawiał krótkie pionowe pałeczki. Pałeczek było cztery, różnej długości, jedna z nich nie sięgała linii poziomej i pług postukiwał kredą o ścianę, starając się przedłużyć kreskę białymi punktami.

Łunin zrozumiał, co pług starał się wyobrazić na ścianie. Jelenia. Tego samego jelenia, ale białego i obróconego nogami do góry. Zabitego, zamienionego w pokarm.

Pług podjął się zadania, które przerastało jego siły. Ani jego łapy, ani oczy nie były przystosowane do tego, aby wykonywać kopie dzieł sztuki. A tym bardzie] kopie twórczo przetworzone.

Pług gmerał kawałkiem kredy przy końcu poziomej linii - wyszła gwiazda. To była głowa jelenia. Nieważne, że nie była podobna do głowy zarówno pług, jak i Łunin uznawali umowność sztuki. Pług odsunął się od ściany, przechylił pysk na bok i znieruchomiał, rozkoszując się widokiem rysunku. Rodziła się w nim próżność. W kreseczkach widział ogromne, ciepłe jeszcze cielsko jelenia i dlatego nie szukał porównań, z tym, co potrafili pokonani wrogowie. Teraz jeleń nie ucieknie. Został powalony.

A Łunin poczuł jakąś dziwną wdzięczność, niemal czułość do czarnej małpy i zrobił krok do przodu. Pług w tej samej chwili obejrzał się, jakby szukał kogoś, kto mógłby ocenić jego dzieło. Oczy człowieka i pługa spotkały się.

I pług zapomniał o jeleniu. W talerzykach czerwonych ślepi zapłonęło bezmyślne okrucieństwo, wściekłość i strach zaskoczonego zwierzęcia. Ewolucja zrobiła nieoczekiwany krok naprzód, ale nie potrafiła jeszcze utrzymać się na nowym poziomie i krok został zapomniany. Oczywiście nie na zawsze.

Pług rzucił w Łunina kawałkiem kredy, bo nic lepszego nie nawinęło mu się pod łapę. Kreda odbiła się ku ścianie, pozostawiając na piersi skafandra biały punkcik. Łunin instynktownie odskoczył za występ skalny.

Kiedy wyjrzał ponownie, zobaczył tylko czarną plamę - plecy pługa przedzierającego się przez zarośla.

Czarna plama znikła. Liście drżały jak w porywach wiatru. Trzask gałęzi ścichł.

Łunin obrócił się do skały. Kamień w cieniu był fioletowy i świeciły na nim dwa jelenie. Czerwony i biały.

POŁOWA ŻYCIA - Kirył Bułyczow

1.

Nieco powyżej miejscowości Kalazino, gdzie Wołga płynie szerokim, ostrym łukiem i rozbija się o wysoki lewy brzeg, leży duża wyspa porośnięta sosnami. Z trzech stron otacza ją nurt Wołgi, a z czwartej prosta przetoka, która powstała, kiedy zbudowano zaporę w Ugliczu i poziom wody w rzece znacznie się podniósł. Za wyspą, za przetoką, zaczyna się sosnowy las. Z wody wydaje się on ciemny, gęsty i niezmiernie rozległy. W rzeczywistości nie jest wcale taki wielki i nawet niezbyt gęsty... Przecinają go drogi i ścieżki wydeptane w piasku, więc zawsze suche, nawet po ulewnym deszczu.

Jedna z takich dróg biegła skrajem lasu wzdłuż pola zasianego żytem i urywała się nad wodą naprzeciw wyspy. W letnie niedziele, jeśli była ładna pogoda, przyjeżdżał tamtędy nad przetokę autobus z wycieczkowiczami... Ludzie łowili ryby i opalali się. Często do brzegu w pobliżu drogi przybijały motorówki i łodzie żaglowe, a wówczas z wody widać było srebrzyste i pomarańczowe namioty. Znacznie więcej turystów lądowało na wyspie. Wydawało się im, że można tam znaleźć samotność, więc pracowicie wciskali się w szczeliny między rozstawionymi wcześniej namiotami, zbierali porzucone przez poprzedników puszki po konserwach i różne inne śmiecie, klęli ich za niechlujstwo, bo byli święcie przekonani, iż zły stosunek do natury jest barbarzyństwem. To zresztą nie przeszkadzało im samym zostawić w obozowisku pustych puszek, butelek i papierków. Wieczorami turyści rozpalali ogniska i pili herbatę, ale w przeciwieństwie do pieszych wędrowców, których ograniczała pojemność własnych plecaków, nie śpiewali pieśni i nie hałasowali - najczęściej przyjeżdżali tam z całymi rodzinami, z dziećmi, z psami, zapasami żywności i prymusami.

Jednoręki gajowy o ponurej, zniszczonej twarzy, który od czasu do czasu kąpał się u wylotu leśnej drogi, przestał miewać pretensje do turystów i nie obawiał się, że podpalą mu las. Wiedział, że jego goście są ludźmi odpowiedzialnymi i że ogniska zawsze zalewają wodą lub zadeptują.

Jednoręki gajowy zrzucał mundurową kurtkę z dębowymi liśćmi na wyłogach kołnierza, rozpinał spodnie, zręcznie zdejmował buty i ostrożnie wchodził do wody, wymacując nogami dno, aby nie nadepnąć na odłamek butelki lub ostry kamień. Potem przystawał po pas w wodzie, głęboko wciągał powietrze i rzucał się w nurt. Pływał na boku, wyrzucając do przodu jedyną rękę. Nadieżda z Oleńką zostawały zwykle na brzegu. Nadieżda myła statki, gdyż w obejściu gajowego na przeciwległym końcu drogi nie było studni, a jeśli

kończyła zmywać je wcześniej niż gajowy wychodził z wody, siadała na kamieniu i czekała, patrząc na rzekę i łańcuszek ognisk po drugiej stronie przetoki. Ogniska te nie wiadomo czemu przywodziły jej na myśl nocną ulicę w dużym mieście i wzbudzały pragnienie, aby wyjechać do Moskwy lub Leningradu. Kiedy zauważała, że gajowy wraca, wchodziła po kolana w rzekę i podawała mu puste wiadra, a on napełniał je, cofając się tam, gdzie woda była głębsza i czyściejsza.

Jeśli w pobliżu obozowali turyści, gajowy narzucał mundur na gołe ciało i podchodził do ogniska. Starał się nie straszyć ludzi i rozmawiał z nimi łagodnym tonem, odwracając twarz w lewo, aby nie spostrzegli blizny na policzku.

W powrotnej drodze zbierał papierki i wszelkie inne śmiecie i zanosił do dołu, który co wiosnę wykopywał przy drodze, i z którego nikt poza nim nie korzystał.

Jeśli miał coś pilnego do zrobienia, albo poza sezonem, kiedy brzegi były puste, nie zatrzymywał się długo nad wodą. Napełniał wiadra i szybko wracał do domu. Nadieżda przyjeżdżała tylko na sobotę i niedzielę, a Oleńka była jeszcze zbyt mała, aby zostawać wieczorem sama w domu.

Szedł energicznym krokiem po uginającej się pod nogami, gładkiej drodze między ciemnoróżowymi pniami sosen, wśród których przez warstwę poszarzałego igliwia przebijały się jagodziska i rosły grzyby.

Gajowy nie zbierał grzybów, bo ich nie lubił. Zbierała je Oleńka i żeby jej zrobić przyjemność, nauczył się je solić i suszyć na strychu. A potem oddawali grzyby Nadieżdzie. Jeśli przyjechała.

Oleńka była bratanicą gajowego. Córką zmarłego tragicznie przed trzema laty brata, kierowcy. Obaj - gajowy, który nazywał się Timofiej Fiodorowicz, i jego brat Mikołaj - pochodzili z tych okolic. Timofiej wrócił z wojny bez ręki i zaczepił się w lesie, a Mikołaj - młodszy - już nie trafił na front. Timofiej pozostał kawalerem, a Mikołaj ożenił się w czterdziestym ósmym z Nadieżdą i dochował się z nią córki. Żyli zgodnie, ale Mikołaj miał ciężki wypadek drogowy i zmarł w szpitalu. Przed jego śmiercią gajowy rzadko widywał rodzinę brata, ale już pierwszego lata po jego pogrzebie pojechał w jakiejś sprawie do miasta, wpadł do Nadieżdy i zaprosił ją wraz z córką do swojego lasu. Wiedział, że Nadieżdzie się nie przelewa, bo pracuje jako pielęgniarka w szpitalu, a innych krewnych nie ma. No to powiedział, żeby przyjeżdżała do niego i przywoziła dzieciaka.

Od tego czasu Nadieżda każdego lata przywoziła Oleńkę do wujaszka Timofiej a na miesiąc albo i dłużej, sama zaś przyjeżdżała co sobotę, sprzątała w domu, gotowała, prała i w ogóle starała się go wyręczyć, bo oczywiście Timofiej żadnych pieniędzy za utrzymanie

Oleńki nie brał. To, że krzątała się po domu zamiast odpoczywać, złościło Timofieja i zarazem rozczulało.

Był już koniec sierpnia, pogoda psuła się, noce zrobiły się zimne i wilgotne, od Zalewu Rybińskiego ziąb ciągnął jak z piwnicy. Turyści rozjechali się. Była ostatnia sobota wakacji, Timofiej obiecał za trzy dni odwieźć Olę do miasta, żeby zdążyła do szkoły, do pierwszej klasy. Nadchodziła ostatnia noc, którą Nadieżda miała spędzić w domu Timofieja. Aż do wiosny. Może gajowy przyjedzie do Kalazina na październikowe święta, a może nie zobaczy się z bratową i bratanicą wcześniej niż na Nowy Rok.

Nadieżda zmywała naczynia. Na piasku leżał kawałek mydła do prania. Nadieżda myła kubki i talerze, które zebrały się z obiadu i kolacji. Namydlała zmywak i stojąc po kostki w wodzie szorowała nim naczynia. Potem każde z nich płukała. Ola zmarzła i pobiegła w las szukać kurek. Gajowy siedział na kamieniu z kurtką zarzuconą na ramiona. Nie miał zamiaru się kąpać, ale w domu też nie miał nic do roboty. Milczeli.

Płucząc naczynia, Nadieżda pochyliła się i gajowy wyraźnie widział jej opalone, silne i bardzo jeszcze młode nogi. Krępowało go to, bo nie potrafił się zdobyć na odwagę, porozmawiać z Nadieżdą, poprosić, żeby została z nim na zawsze. Byłoby mu łatwiej, gdyby Mikołaja nigdy nie było, więc teraz starał się wymijać ją wzrokiem, patrzeć na szarą mroczną wodę, czarną palisadę lasu na wyspie i samotną iskierkę ogniska na przeciwległym brzegu. Ognisko rozpalili nie turyści, tylko rybacy, miejscowi.

Ale Nadieżda tego wieczoru też była skrępowana, czuła się niezręcznie, jakby na coś czekała, i kiedy gajowy znów na nią spojrzał, wyprostowała się i wepchnęła kosmyk prostych, jasnych włosów pod białą chustkę w czerwone groszki. Włosy przez lato wypłowiały i stały się znacznie jaśniejsze od skóry. Opalenizna sprawiła, że zęby i białka oczu zdawały się świecić. Zwłaszcza teraz. Timofiej opuścił wzrok, bo patrzyła na niego zbyt uważnie i szczerze, tak jak patrzeć nie powinna, gdyż był brzydki i zeszpecony, gdyż był kaleką i w dodatku starszym bratem jej zmarłego męża, i dlatego jeszcze, że pragnął, aby została z nim w gajówce.

Nie mógł oderwać oczu od Nadieżdy. A kiedy jej wargi poruszyły się, przestraszył się nie wypowiedzianych jeszcze słów i dźwięku jej głosu.

Nadieżda powiedziała:

- Tima, idź do domu. Weź Oleńkę, bo zmarzła. Niedługo przyjdę.

Timofiej natychmiast wstał. Poczuł ulgę i wielką wdzięczność, że Nadieżda potrafiła znaleźć takie nic nie znaczące, ale dobre i potrzebne teraz słowa.

Zawołał Olę i ruszył do domu, a Nadieżda została na brzegu, żeby dokończyć zmywania.

2.

Dag rozsiadł się wygodnie w zniszczonym fotelu, rozłożył na stole spis wyposażenia i zaczął czytać go na głos, odkreślając paznokciem poszczególne pozycje. Mrużył przy tym trochę oczy, gdyż wzrok zaczął mu już odmawiać posłuszeństwa, choć nie domyślał się tego, a właściwie nie chciał się domyślać.

- Wziąłeś zapasową radiostację?

- Wziąłem - odparł Pawłysz.

- Drugi namiot zabrałeś?

- Może byś najpierw przeczytał do końca! Sato, nie masz przypadkiem czarnych nici?

- Nie. Skończyły się.

- Weź jeszcze trzeci namiot - powiedział Dag.

- Nie trzeba.

- I drugi generator.

- Zerknij na pozycję dwudziestą trzecią.

- Dobra. Ile butli zabierasz?

- Wystarczy.

- Mleko skondensowane? Szczotkę do zębów?

- Pakujesz mnie na wycieczkę?

- Weź kompot. Obejdziemy się bez niego.

- Wpadnę do was, jak mi się zachce kompotu.

- Do nas nie tak łatwo wpaść.

- Żartuję - powiedział Pawłysz. - Nie zamierzam do was wpadać.

- Jak uważasz - mruknął Dag.

Patrzył na ekran. Roboty pełzły po linach jak mszyce po źdźbłach trawy.

- Dziś się przenosisz? - zapytał Dag.

Dag spieszył się do domu. Stracili już dwa dni na przygotowanie pryzu do transportu. Poza tym dwa tygodnie na hamowanie i manewry.

Do sterówki wszedł Sato i powiedział, że kuter jest załadowany i gotowy do drogi.

- Załadowany zgodnie z listą? - zapytał Dag.

- Tak jest. Pawłysz dał mi kopię.

- To dobrze - pochwalił Dag. - Dorzuć trzeci namiot.

- Już dorzuciłem - odparł Sato. - Mamy jeszcze kilka zapasowych, a nie bardzo wiem, na co mogłyby się tu przydać.

- Ja bym na twoim miejscu już ruszał - powiedział Dag.

- Jestem gotów - oznajmił Pawłysz. Dag miał rację. Najlepiej przenieść się teraz, bo jeśli o czymś się zapomniało, będzie można jeszcze skoczyć po to na statek. Czeka go kilka tygodni na pozbawionej napędu, martwej łajbie, porzuconej przez właścicieli nie wiadomo kiedy i nie wiadomo czemu, pędzącej na oślep niczym Latający Holender... Kilka samotnych tygodni na statku skazanym dotychczas na nieskończoną wędrówkę przez czarną pustkę kosmosu, zanim nie przyciągnie go jakaś gwiazda lub planeta, lub nie rozpryśnie się po zderzeniu z meteorytem.

Sektor Galaktyki, przez który wracali, był pusty i leżał z dala od utartych szlaków. Statki pojawiały się tu bardzo rzadko. To było wyjątkowe, wręcz nieprawdopodobne znalezisko. Dryfujący, porzucony przez załogę, lecz zupełnie nie uszkodzony gwiazdolot.

Dag obliczył, że gdyby chcieli holować pryz, paliwa wystarczy im do osiągnięcia baz zewnętrznych. Naturalnie pod warunkiem, że wyrzucą za burtę ładunek i wysypią w pustkę prawie wszystko, co zdobyli, niemal dwadzieścia miesięcy nie oglądając żadnej ludzkiej twarzy - jeśli nie liczyć własnych.

Któryś z nich musiał przenieść się na pokład pryzu, utrzymywać łączność, pilnować, żeby łajba zachowywała się przyzwoicie.

Wypadło na Pawłysza.

- Idę - powiedział. - Ustawię namiot. Sprawdzę łączność.

- Tylko ostrożnie - powiedział Dag w nagłym przypływie troskliwości. - W razie czego...

- Grunt, żebyście mnie nie zgubili - odparł Pawłysz.

Zajrzał na moment do swojej kabiny, żeby upewnić się, czy czegoś nie zapomniał, i przy okazji pożegnać się z ciasnym i nieprzytulnym już pomieszczeniem, w którym spędził wiele miesięcy i z którym rozstawał się wcześniej niż przypuszczał. Dlatego pomyślał bez sensu, że zawinił wobec tych pustych ścian, znanych do ostatniego nitu i śrubki.

Sato zręcznie przybił kutrem do włazu ładunkowego martwego statku. Nietrudno było się domyślić, że kiedyś stała tam łódź ratunkowa. Kiedyś, bo teraz jej nie było. Zostały tylko jakieś urządzenia cumownicze.

Popychając przed sobą tłumok z plandekami i butlami tlenowymi, Pawłysz dotarł szerokim korytarzem do kabiny tuż obok centralnej sterowni. Tam postanowił się urządzić. Sądząc z kształtu i wielkości pomieszczenia, jego mieszkańcy byli od ludzi niżsi, ale chyba

masywniejsi. Inna rzecz, że w kabinie nie było żadnych mebli, które dostarczyłyby dodatkowych informacji. Może zresztą nie była to kabina mieszkalna, tylko pusty magazyn. Do tej pory nie mieli czasu porządnie zbadać statku i teraz miał to zrobić Pawłysz. Statek był ogromny, więc wyprawa badawcza zapowiadała się nader interesująco.

Najpierw należało urządzić obozowisko. Sato pomógł rozstawić namiot. Komorę śluzową umieścili obok drzwi i sprawdzili, czy powłoka dostatecznie szybko wypełnia się powietrzem. Wszystko było w porządku. Teraz Pawłysz miał dom, w którym mógł żyć bez skafandra. Skafander przyda mu się na przechadzki. Pawłysz rozkładał swoje rzeczy, a tymczasem Sato założył oświetlenie i wypróbował radiostację. Można było pomyśleć, że sam zamierza tutaj mieszkać...

Rozpędzali się około sześciu godzin. Dlatego tak długo, że Dag obawiał się zerwać hol. Pod koniec Pawłysz poszedł do sterówki statku i przyglądał się, jak lecące obok srebrzyste cylindry - ładunek wyrzucony za burtę - stopniowo zostawały w tyle, niczym odprowadzający na peronie. Przeciążenia nie były już zbyt wielkie, postanowił więc zająć się robotą.

W sterowni niewiele się dowiedział.

Ten centralny pulpit sterowniczy przedstawiał nader dziwny widok. Buszował tam chuligan, a właściwie nie tyle zwyczajny chuligan, ile nieletni radioamator, któremu dano do zabawy kosztowne i skomplikowane urządzenie. No więc przekształcił ją w odbiornik detektorowy, używając tranzystorów zamiast gwoździ, obwodów drukowanych jako podstawki, a niepotrzebnej jego zdaniem folii platynowej jako tapety, którą okleił całe pomieszczenie. Można było przypuścić - a przypuszczenie to wyraził już Dag, kiedy znaleźli się tu po raz pierwszy - że sterowanie statkiem było dawniej całkowicie zautomatyzowane, jednak potem ktoś bezceremonialnie pozrywał osłony i połączył “na krótko” obwody, których łączyć nie należało - słowem zrobił wszystko, aby przekształcić precyzyjny chronometr w zabytkowy budzik. Po tej wiwisekcji zostało mnóstwo “śrubek”, czasami bardzo dużych. Urwis rozrzucił je po podłodze, jakby śpieszył się dokończyć dzieła zniszczenia i uciec, zanim wrócą rodzice.

Zdumiewająca rzecz, że nigdzie nie było nawet śladu krzesła, fotela lub czegoś choćby z grubsza przypominającego te sprzęty. Całkiem możliwe, że właściciele statku nawet nie wiedzieli, co to są krzesła. Może siadali na podłodze lub przelewali się jak ameby. Pawłysz dźwigał kamerę i starał się sfilmować wszystko, co się dało. Na wszelki wypadek. Jeśli coś się stanie, to może przynajmniej zachowają się filmy. Latarka na hełmie cichutko brzęczała i prawem kontrastu cisza wydawała się niemal absolutna. Było tak cicho, że

Pawłyszowi zaczęły przywidywać się jakieś cienie, szelesty i odgłosy kroków. Zapragnął chodzić na palcach, jakby lękał się kogoś obudzić. Wiedział, że budzić nie ma kogo i chciał już wyłączyć hełmofon, ale zaraz się zreflektował. Jeśli nagle w milczącym statku rozlegnie się jakiś hałas, odezwie jakiś głos, lepiej będzie, jeśli go usłyszy.

To nieprawdopodobne przypuszczenie sprawiło, że ciarki przebiegły mu po skórze. Pawłysz schwytał się na zupełnie idiotycznym geście - położył dłoń na rękojeści blastera.

- Atawizm - powiedział.

Okazało się, że wymówił to naprawdę, gdyż w hełmofonie odezwał się głos Daga.

- O czym mówisz?

- Przyzwyczaiłem się do tego, że zawsze byliśmy razem - odparł Pawłysz. - I teraz mi głupio.

Pawłysz zobaczył się niejako z boku: malutki człowieczek w błyszczącym skafandrze, żuczek w gigantycznej puszce nafaszerowanej śmieciami.

Korytarz biegnący obok jego kabiny kończył się w okrągłym pustym pomieszczeniu. Pawłysz odepchnął się od włazu i przeskoczył go dwoma susami. Za okrągłą salą zaczynał się identyczny korytarz. Ściany i podłogi wszędzie miały jednakową barwę rozbielonego błękitu, co sprawiało wrażenie, jakby wypłowiały na słońcu. Światło reflektora umieszczonego na kasku rozchodziło się szerokim snopem i odbijało się w ścianach. Korytarz zakręcał. Pawłysz naniósł go na plan. Plan statku miał na razie postać elipsy, z zaznaczonym w przedniej części lukiem ładunkowym i pomostem startowym kutra ratunkowego, sterownią, korytarzem łączącym sterownię z okrągłą salą i trzema innymi korytarzami, wybiegającymi z pomieszczenia sterowni. Wiadomo też było, gdzie znajdują się silniki, ale ich lokalizacji na razie nie zaznaczono. Czasu było dość, żeby wszystko obejrzeć i zbadać bez pośpiechu. Po jakichś stu krokach korytarz zakończył się uchylonym włazem. Pod włazem leżało coś białego i płaskiego. Pawłysz zbliżył się wolno do tego przedmiotu. Pochylił głowę, żeby lepiej to oświetlić. To była po prostu szmatka. Biała, skruszała w próżni szmatka. Pawłysz uniósł nogę, aby przejść nad nią, ale widać niechcący zahaczył, bo skrawek materiału rozsypał się na pył.

- Szkoda - stwierdził.

- Co się stało? - zapytał Dag.

- Pilnuj swojej roboty - odparł Pawłysz - bo się wyłączę.

- Spróbuj tylko. Zaraz po ciebie przylecę! Nie zapomnij o planie.

- Nie zapomniałem - powiedział Pawłysz zaznaczając właz.

Po drugiej stronie włazu korytarz rozszerzał się i rozgałęział. Na razie jednak Pawłysz nie nanosił rozwidleń, tylko ruszył prosto. Przejście doprowadziło go do jeszcze jednego włazu, tym razem zamkniętego na głucho.

- No i koniec na dzisiaj - powiedział.

Dag milczał.

- Czemu się nie odzywasz? - zapytał Pawłysz.

- Nie chcę ci przeszkadzać w rozmowie z samym sobą.

- Dziękuję. Dotarłem do zamkniętego włazu.

- Nie śpiesz się z otwieraniem - poradził Dag.

Pawłysz oświetlił ścianę wokół włazu. Zauważył kwadratową wypukłość i przesunął po niej rękawicą.

Właz lekko przesunął się w bok, a Pawłysz przylgnął do ściany. Ale nic się nie wydarzyło.

Nagle wydało mu się, że z tyłu ktoś stoi. Odwrócił się gwałtownie i omiótł korytarz światłem reflektora. Pusto. Po prostu nerwy. Nie odezwał się do Daga i przekroczył próg.

Znalazł się w rozległej komorze z mnóstwem półek ustawionych pod ścianami. Gdzieniegdzie na regałach stały skrzynki. Zajrzał do jednej z nich i zobaczył, że niemal do połowy wypełniona jest pyłem. Trudno było dociec, co tam przedtem się znajdowało.

W najdalszym kącie komory uchwycił promieniem reflektora jeszcze jedną szmatkę i postanowił nie zbliżać się do niej. Lepiej będzie wrócić tu z konserwantem. Ludzie chętnie dowiedzą się, z czego oni tu robili tkaniny. Kiedy jednak już wycofywał światło latarki, wydało mu się nagle, że na szmatce jest jakiś rysunek. Znów przywidzenie. Zbliżył się o krok. Czarny napis był bardzo wyraźny. Pawłysz pochylił się, a potem przykucnął.

“Mam na imię Nadieżda” - było napisane na strzępku tkaniny. Po rosyjsku.

Pawłysz stracił równowagę i dotknął szmatki ręką. Szmatka rozsypała się, zniknęła, a wraz z nią zniknął napis.

- Mam na imię Nadieżda - powtórzył Pawłysz.

- Co? - zapytał Dag.

- Tu było napisane: “Mam na imię Nadieżda” - powiedział Pawłysz.

- Gdzie?

- Już nie jest napisane - westchnął Pawłysz. - Dotknąłem ręką i napis znikł.

- Sławku - powiedział Dag cicho. - Uspokój się.

- Jestem absolutnie spokojny - odparł Pawłysz.

3.

Dotychczas statek był dla Pawłysza fantomem, przedmiotem o nader wątpliwej realności, czymś w rodzaju abstrakcyjnej gry. I nawet zaznaczając na planie - plastykowej płytce przymocowanej do przegubu ręki - siatkę korytarzy i włazów, nie wykraczał poza ramy tej abstrakcji. Czuł się jak rozumna mysz w labiryncie laboratoryjnym. W przeciwieństwie do prawdziwej myszy wiedział, że labirynt ma granice i w pewien określony sposób przemieszcza się w przestrzeni kosmicznej, zbliżając się do Układu Słonecznego.

Rozpylony napis nie mieścił się w regułach gry, gdyż w żaden racjonalny czy irracjonalny sposób nie mógł się tu znaleźć i dlatego skłaniał do jedynego rozumnego wniosku: w ogóle go nie było. Dag tak właśnie pomyślał. Tak samo pomyślałby Pawłysz, gdyby znalazł się na jego miejscu, ale nie mógł zamienić się z Dagiem miejscami.

- Na pewno Nadieżda? - zapytał Dag.

- Tak.

- Sławku, dobrze się zastanów - ciągnął Dag. - Jesteś fizjologiem i doskonale wiesz, co to może być. Chyba będzie lepiej, jeśli ktoś z nas ciebie zastąpi albo w ogóle zostawimy statek bez nadzoru.

- Wszystko jest w jak największym porządku - powiedział Pawłysz. - Nie martw się. Wracam po konserwant.

- Po co?

- Jeśli natknę się na jeszcze jedną notatkę, zachowam ją dla ciebie.

Odbywając niedługą wyprawę do swojej kabiny, a potem wyjmując konserwant ze skrzynki z różnościami, które zapakował przewidujący Sato, wciąż starał się odtworzyć w pamięci szmatkę czy kartkę papieru z napisem. Bez powodzenia. Kartka była jak twarz ukochanej kobiety; starasz się przypomnieć ją sobie, a pamięć rysuje tylko pojedyncze, drobne, drugorzędne szczegóły - kosmyk włosów nad uchem, zmarszczkę na czole. Kiedy wreszcie wrócił do komory, gdzie czekała na niego (już zaczynał się obawiać, że zniknie) garstka białego pyłu, nie był już wcale pewien, czy notatka w ogóle istniała. Rozum, rozsądek odrzucał zjawiska nadprzyrodzone.

- Co robisz? - zapytał Dag.

- Szukam włazu, żeby pójść dalej.

- A jak to było napisane? - ciągnął Dag.

- Po rosyjsku.

- Jakim charakterem pisma? Jakimi literami?

- Litery były duże, drukowane.

Odnalazł właz, który dał się łatwo otworzyć. Znalazł się w dziwnym pomieszczeniu, rozdzielonym przegródkami na sekcje o różnym kształcie i wielkości. Niektóre z nich były oszklone, inne odgrodzone od przejścia cienką siatką. Pośrodku korytarzyka stała półkula przypominająca wysokiego żółwia o średnicy około sześćdziesięciu centymetrów. Pawłysz trącił ją nogą i półkula z nieoczekiwaną lekkością potoczyła się wzdłuż przejścia, jakby kryły się pod nią dobrze nasmarowane kółka, wpadła na ścianę i znieruchomiała. Promień reflektora wyławiał - z ciemności zakątki i nisze. Wszystkie były puste. W jednej tylko leżał stos kamieni, a w drugiej trochę połamanych gałęzi. Kiedy przyjrzał się im uważniej, pomyślał, że to mogą być szczątki jakiegoś wielkiego owada. Szedł teraz bardzo wolno, meldując o każdym swoim, kroku.

- Bardzo śmieszna historia - rozległ się głos Daga. - Można przypuszczać, że statek został porzucony około czterdziestu lat temu.

- Może trzydziestu?

- Równie dobrze około pięćdziesięciu. Kalkulator ocenił wstępnie tylko rząd wielkości.

- Nie ma sensu tego precyzować - powiedział Pawłysz. - Nawet trzydzieści lat temu nie wychodziliśmy jeszcze poza granice układu.

- Wiem - odparł Dag. - Ale jeszcze sprawdzę. Jeśli tylko nie masz halucynacji.

Nie było czego sprawdzać, tym bardziej że wiedzieli, iż napotkany przez nich statek nie leciał od Słońca. Od wielu już lat zbliżał się do niego, a przedtem musiał się oddalać. Tymczasem czterdzieści, pięćdziesiąt lat temu ludzie dopiero zagospodarowywali Marsa i lądowali na Plutonie. A tam, za Plutonem, leżał kosmos równie nie znany, jak zamorskie lądy dla starożytnych. I nikt w tym kosmosie nie potrafił mówić i pisać po rosyjsku...

Pawłysz przeszedł na następny poziom i spróbował zorientować się w labiryncie korytarzy, nisz, komór. W pół godziny później powiedział:

- To byli śmieciarze.

- A jak z Nadieżdą?

- Na razie nic.

Całkiem możliwe, że przechodząc obok śladów Nadieżdy po prostu ich nie zauważał. Nawet na Ziemi, gdy tylko człowiek oddali się od standardowego świata lotnisk i wielkich miast, traci możliwość i prawo do określania prawdziwej wartości napotkanych przedmiotów i zjawisk. O ileż bardziej niezrozumiały był sens rzeczy wypełniających statek. Półkul, lekko toczących się przy dotknięciu, nisz nafaszerowanych rozmaitym śmieciem, przyrządów o nieznanym przeznaczeniu, plątaniny rur i przewodów, jaskrawych plam na ścianach i kratek

w sufitach, odcinków śliskiej podłogi i popękanych matowych przepon. Pawłysz wciąż nie mógł dociec, jacy byli właściciele statku - raz trafiał do pomieszczenia przeznaczonego dla olbrzymów, to znów natykał się na komórkę, w której mogły mieszkać jedynie krasnoludki, potem docierał do zamarzniętego basenu, gdzie pod lodem majaczyły jakieś podłużne cielska. Jeszcze później znalazł się w obszernej sali, w której jedna ściana była usiana ślepymi ekranami i szeregami przycisków tuż nad podłogą i pod sufitem, o pięć metrów nad jego głową.

Ta nielogiczność, niekonsekwencja otoczenia potwornie irytowała, nie pozwalała na wysnucie jakiejkolwiek wstępnej hipotezy, na którą można by nanizywać kolejne fakty - a tego właśnie żądał mózg zmęczony błądzeniem w labiryncie.

Za rzadką (z łatwością prześlizgnąłby się między prętami) kratą leżała czarna, wysuszona w próżni substancja.

Najprawdopodobniej była to kiedyś żywa istota wielkości słonia. Może jeden z kosmonautów? Ale krata oddzielała go od korytarza. Wątpliwe, aby to było potrzebne któremuś z członków załogi. Na moment zaświtał wcale dobry pomysł: ten kosmonauta został ukarany, wsadzony do więzienia. Tak, na statku było więzienie. I kiedy trzeba było pilnie opuścić statek, o więźniu zapomnieli albo nie chcieli zabrać ze sobą.

Pawłysz powiedział o tym Dagowi i usłyszał w odpowiedzi:

- Kuter ratunkowy był przeznaczony dla znacznie mniejszych istot. Przecież widziałeś hangar.

Dag miał rację.

Na podłodze obok czarnej masy poniewierało się puste okrągłe naczynie o średnicy jakichś piętnastu centymetrów.

A po dalszych trzydziestu minutach, w następnym korytarzu, za nieszczelnie zamkniętym włazem Pawłysz odnalazł kabinę, w której mieszkała Nadieżda.

Nie wszedł do środka.

Zatrzymał się na progu i patrzył na łóżko porządnie zasłane szarą tkaniną, na leżącą na podłodze spraną, zetlałą chustkę w czerwone groszki, na półkę, na której stała filiżanka z utrąconym uszkiem. Potem, wracając do tego pokoiku, za każdym razem dostrzegał coraz więcej rzeczy należących do Nadieżdy, znajdował jej ślady również w innych pomieszczeniach statku. Ale wówczas, za pierwszym razem, zapamiętał jedynie różowe groszki na chustce i filiżankę z ułamanym uszkiem. Zapamiętał dlatego, że ten widok był tysiąckroć nieprawdopodobniejszy od całego mrowia nie znanych maszyn i aparatów.

- Wszystko w porządku - powiedział Pawłysz. Uruchomił rozpylacz konserwantu, aby zachować kabinę w takim stanie, w jakim była, kiedy ją znalazł.

- O czym mówisz? - zapytał Dag.

- Znalazłem Nadieżdę.

- Co?!

- Nie, nie Nadieżdę, znalazłem kajutę, w której mieszkała.

- Mówisz poważnie?

- Najpoważniej w świecie. Tu stoi jej filiżanka. A na podłodze leży porzucona chusteczka na głowę.

- Wiesz - powiedział Dag - wierzę, że nie zwariowałeś. Ale mimo wszystko nie mogę uwierzyć.

- Ja też nie wierzę.

- Wyobraź sobie - powiedział Dag - że lądujemy na Księżycu i widzimy tam dziewczynę siedzącą na kamieniu. Dziewczyna siedzi sobie i na przykład haftuje.

- Tak to mniej więcej wygląda - zgodził się Pawłysz. - Ale tutaj stoi jej filiżanka. Ma ułamane uszko.

- A gdzie jest Nadieżda? - zapytał Sato.

- Nie wiem - odparł Pawłysz. - Nie ma jej tu już od dawna.

- A co jeszcze? - zapytał Dag. - No, powiedz jeszcze cokolwiek! Jaka ona była?

- Była piękna - powiedział Sato.

- Naturalnie - zgodził się Pawłysz. - Bardzo piękna.

W tym momencie dostrzegł za łóżkiem niewielką skrzynkę wypełnioną rzeczami. Wyglądało to tak, jakby Nadieżda zapakowała się na drogę, ale coś zmusiło ją do pozostawienia rzeczy i odejścia z pustymi rękami.

Pawłysz spryskiwał rzeczy konserwantem i odkładał na łóżko, W kuferku była spódnica z plastyku zeszyta grubą nylonową żyłką, worek z wycięciami na głowę i ręce, szal czy narzutka spleciona z różnokolorowych kabelków...

- Długo tu mieszkała - powiedział Pawłysz.

Na samym dnie skrzynki leżał stosik białych kwadratowych kartek, zapisanych równym pismem mocno pochylonym w prawo. Pawłysz zmusił się do tego,: aby nie czytać, zanim nie zakonserwował ich i przekonał się, że nie rozsypią mu się pod palcami. Zaczął czytać je dopiero po powrocie do swojej kabiny, gdzie mógł zrzucić skafander, wyciągnąć się na nadmuchiwanym materacu i włączyć wszystkie światła.

- Czytaj na głos - poprosił Dag, ale Pawłysz odmówił. Powiedział, że jest bardzo zmęczony i obiecał, że na pewno przeczyta im najciekawsze miejsca, ale najpierw wszystko sam. W milczeniu. Dag więcej nie nalegał.

4.

“Znalazłam ten papier już dwa miesiące temu, ale w żaden sposób nie mogłam wymyślić, czym na nim pisać. Dopiero wczoraj zorientowałam się, że tuż obok, w pokoju, za którym siedzą głuptaki, leżą kamienie podobne do grafitu. Zaostrzyłam jeden z nich. I teraz będę pisać”. (Następnego dnia w kabinie Nadieżdy, Pawłysz zobaczył długie słupki kresek wydrapanych na ścianie i domyślił się, że w ten sposób liczyła dni)

“Już od dawna pragnęłam prowadzić dziennik, bo chciałabym mieć nadzieję, że kiedyś, nawet jeśli nie dożyję tego dnia, ktoś mnie odnajdzie. Przecież nie można żyć zupełnie bez nadziei. Czasem żałuję, że jestem niewierząca. Mogłabym wówczas pokładać nadzieję w Bogu i myśleć, że to On tak mnie doświadcza.”

Na tym kartka się kończyła. Pawłysz doszedł do wniosku, że kartki zostały ułożone w stosik wedle kolejności, co nie znaczyło, iż Nadieżda codziennie notowała swoje wrażenia. Czasem pewnie mijały całe tygodnie, zanim znów sięgnęła po grafit.

“Dzisiaj one coś bardzo się kręcą. Zrobiło się ciężej. Znów kaszlałam. Powietrze tu jakieś martwe. Człowiek chyba potrafi przyzwyczaić się do wszystkiego. Nawet do niewoli. Ale najtrudniej znieść zupełną samotność. Nauczyłam się rozmawiać na głos ze sobą. Z początku krępowałam się, było mi niezręcznie, jakby ktoś mógł mnie podsłuchać. Ale teraz nawet sobie śpiewam. Powinnam zapisać, co i jak mi się przydarzyło, bo nie daj Bóg, żeby ktoś znalazł się w mojej sytuacji. Ale dzisiaj jest mi bardzo ciężko i kiedy poszłam do ogrodu, to po drodze tak się zasapałam, że musiałam usiąść pod ścianą i głuptaki ledwie żywą odniosły mnie do kajuty.”

Chyba w dwa dni później Pawłysz znalazł to, co Nadieżda nazywała ogrodem. Okazał się nim wielki zespół wanien hydroponicznych połączony z czymś w rodzaju ogrodu botanicznego.

“Piszę teraz, bo i tak nigdzie pójść nie dam rady, a zresztą głuptaki nie puszczą. Pewnie nasza rodzina znów się powiększy. Ale nie wiem, czy to zobaczę...”

Trzecia kartka zapisana była znacznie drobniejszym, staranniejszym pismem. Nadieżda oszczędzała papier.

“Jeśli kiedykolwiek trafią tu ludzie, niechaj dowiedzą się o mnie co następuje: Nazywam się Nadieżda Matwiejewna Sidorowa. Urodziłam się w roku 1923, we wsi

Gorodiszcze w obwodzie jarosławskim. Ukończyłam szkołę średnią w rodzinnej wsi i zamierzałam zdawać na wyższą uczelnię, ale mój ojciec, Matwiej Stiepanowicz, umarł i matce samej trudno było pracować w kołchozie i zajmować się gospodarstwem. Dlatego zaczęłam pracować w kołchozie, chociaż nie traciłam nadziei na dalszą naukę. Kiedy moje siostry, Wiera i Walentyna, podrosły, zrealizowałam jednak swoje marzenie i zapisałam się do szkoły medycznej w Jarosławiu, którą ukończyłam w 1942 roku, a zaraz potem zostałam zmobilizowana i do końca wojny pracowałam w szpitalach jako pielęgniarka. Wróciłam potem do Gorodiszcza i zostałam zatrudniona w miejscowym, szpitalu w tym samym charakterze. Wyszłam za mąż w roku 1948 i przeniosłam się do Kalazina. W następnym roku urodziłam córkę Oleńkę; mój mąż, Mikołaj Iwanow, kierowca, zginął w wypadku samochodowym w roku 1953. I tak zostałyśmy z Olą same na świecie."

Pawłysz siedział w kącie kabiny na podłodze, pod białą powłoką namiotu. Życiorys Nadieżdy czytał na głos. Przychodziło mu to bez trudu, bo pisała starannie i wyraźnie, okrągłymi literami silnie pochylonymi w prawo. Tylko gdzieniegdzie grafit odprysnął i wówczas Pawłysz przechylał kartkę, żeby odcyfrować litery z wgnieceń pozostawionych przez kamień na papierze. Teraz odłożył kartkę i ostrożnie podniósł następną, spodziewając się znaleźć na niej dalszy ciąg.

- To znaczy, że w 1953 miała już trzydzieści lat - powiedział Sato.

- Czytaj dalej - przerwał mu Dag.

- Tutaj jest mowa o czym innym - odparł Pawłysz. - Najpierw sam przeczytam.

- Czytaj od razu - powiedział Dag urażonym tonem.

Pawłysz pomyślał nagle, że już bardzo dawno Dag niczego mu nie zazdrościł i że w ogóle od dawna niczego sobie nawzajem nie zazdrościli.

"Dzisiaj przywlekły nowych. Umieściły ich na dolnym piętrze, za pustymi klatkami. Nie zdołałam zobaczyć, ilu tych nowicjuszy jest, ale chyba kilku. Głuptaki zamknęły drzwi i nie chciały mnie wpuścić. Zrozumiałam nagle, że im zazdroszczę. Tak, zazdroszczę nieszczęśliwym, oderwanym na zawsze od domów i rodzin, wtrąconym do więzienia za grzechy, których nigdy nie popełnili. Ale przecież jest ich wielu. Może trzech, a może nawet pięciu. A ja jestem zupełnie sama. Gdybym nie przywykła pracować, dawno bym już umarła. I jak długo już tu jestem? Według mnie zaczął się czwarty rok. Trzeba będzie sprawdzić, policzyć rysy. Obawiam się tylko, że straciłam rachubę. Przecież w czasie choroby niczego nie zapisywałam. Byłam nieprzytomna i tylko myśl o Oleńce pozwoliła mi wrócić z tamtego świata. No cóż, zajmę się robotą. Głuptak przyniósł mi trochę nici i drutu. Igłę znalazłam na drugim piętrze. Głuptak chciał mi ją odebrać. Przestraszył się biedak."

- No? - zapytał Dag.

- Wszystkiego i tak nie zdołam przeczytać - odparł Pawłysz. - Poczekajcie. Tu chyba dalszy ciąg.

“Potem ułożę kartki po kolei. Ciągle mi się wydaje, że ktoś je przeczyta. Mnie już nie będzie, moje prochy rozsieją się wśród gwiazd, a papierki przetrwają. Bardzo proszę tego, kto będzie to czytał, aby odszukał moją córeczkę Olgę. Może już jest dorosła. Powiedz jej, czytelniku, co stało się z jej matką. Chociaż nigdy nie zdoła odnaleźć mojego grobu, to jednak łatwiej mi, jeśli o tym pomyślę. Jeśliby mi ktoś powiedział, że trafię kiedyś do straszliwego więzienia, że będę żyć, a wszyscy będą przekonani, że dawno nie ma mnie na świecie, umarłabym z przerażenia. A przecież żyję. Bardzo chcę wierzyć, że Timofiej nie pomyślał, że podrzuci łam mu dzieciaka i poleciałam szukać łatwego życia. Nie, raczej przeszukali całą przetokę, bo pomyśleli, że utonęłam. A ten wieczór do końca życia będzie mi stał przed oczami, bo był niezwykły. Wcale nie dlatego, że spotkało mnie nieszczęście, tylko na odwrót. Wtedy w moim życiu miało się coś zmienić... A zmieniło się zupełnie nie tak, jak bym chciała.”

- Nie - powiedział Pawłysz, odkładając kartkę. - Tu są bardzo intymne zwierzenia... - dodał po chwili.

- Jakie mianowicie?

- Chodzi o Timofieja. Przecież nie wiemy, kim on był. Jakiś jej znajomy. Może ze szpitala. Poczekajcie chwilę, poszukam dalszego ciągu.

- Co ty możesz wiedzieć! - wykrzyknął Dag. - W pośpiechu z pewnością przeoczysz jakąś ważną informację.

- Nie ma obawy - odparł Pawłysz. - te papierki liczą sobie wiele lat. Nie możemy jej szukać, nie możemy uratować. Z równym powodzeniem moglibyśmy odcyfrowywać pismo klinowe. Nie byłoby właściwie żadnej różnicy.

“Po śmierci Mikołaja zostałam z Oleńką zupełnie sama, jeśli nie liczyć sióstr. One jednak były daleko, miały własne rodziny i własne kłopoty. Powodziło się nam nie najlepiej. Pracowałam w - szpitalu i wiosną roku 1956 dostałam nominację na pielęgniarkę oddziałową. Oleńka miała iść jesienią do pierwszej klasy. Kilka razy proponowano mi małżeństwo. Wśród starających się był również pewien lekarz z naszego szpitala, człowiek bardzo przyzwoity, chociaż już starszy, ale odmówiłam mu, bo uważałam, że moja młodość już minęła. Z Oleńką i tak nam było dobrze. Pomagał mi brat męża, Timofiej Iwanow, inwalida wojenny, który pracował jako gajowy niedaleko miasta. Nieszczęście przytrafiło mi się pod koniec sierpnia 1956 roku. Nie pamiętam już dokładnej daty, ale wiem, że stało się to w sobotę wieczorem...

Okoliczności były następujące. W szpitalu miałam dużo pracy, bo była pora urlopowa i musiałam zastępować innych pracowników. Oleńkę na szczęście wziął Timofiej do siebie. Jeśli zdarzyła się wolna niedziela, dojeżdżałam co sobota autobusem, potem szłam kawał pieszo i bardzo dobrze wypoczywałam. Jego dom leży w sosnowym lesie nad Wołgą."

Pawłysz zamilkł.

- No i co dalej? - zapytał Dag.

- Chwileczkę, szukam następnej kartki. "Postaram się opisać to, co było dalej, ze wszystkimi szczegółami, bo jako pracownica służby zdrowia doskonale wiem, jakie znaczenie ma prawidłowa diagnoza, i że komuś wszystkie te szczegóły mogą się kiedyś przydać. Może mój opis, gdy trafi do rąk fachowców, pozwoli zrozumieć również inne podobne wypadki, jeśli takie się przydarzą. Tego wieczoru Timofiej i Oleńka odprowadzili mnie nad rzekę, gdzie myłam naczynia. W tym miejscu droga, prowadząca od domu do Wołgi, dochodzi do samej wody. Timofiej chciał na mnie poczekać, ale obawiałam się, że Oleńka zmarznie, bo wieczór był chłodny, i powiedziałam, żeby wracali do domu, a ja niedługo przyjdę. Jeszcze się nie ściemniło i w parę minut potem, jak moi bliscy odeszli, usłyszałam ciche brzęczenie. Nawet się nie przestraszyłam, bo pomyślałam, że gdzieś daleko płynie po Wołdze motorówka. Potem jednak ogarnął mnie jakiś dziwny niepokój, jakieś złe przeczucie. Spojrzałam na rzekę, ale nie zobaczyłam żadnej motorówki..."

Pawłysz znalazł następną kartkę.

"... ale zobaczyłam, że w moim kierunku, trochę wyżej niż moja głowa, leci statek powietrzny podobny do łodzi podwodnej, bez skrzydeł. Wydał mi się srebrny. Statek opadł tuż przede mną, odcinając mnie od drogi. Bardzo się zdziwiłam. W czasie wojny widziałam wiele rozmaitego sprzętu wojskowego, więc z początku pomyślałam, że to jakiś nowy samolot, który ląduje przymusowo, bo silnik mu nawalił. Chciałam odejść na bok, ukryć się za sosnę, żeby nie zginąć w czasie ewentualnego wybuchu, ale statek wysunął żelazne kleszcze, a z jego środka posypały się głuptaki. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że to są głuptaki, ale akurat wtedy zmąciło mi się w głowie i chyba przewróciłam się..."

- Co jest dalej? - zapytał Dag, kiedy pauza zaczęła się przedłużać.

- Dalej jest wszystko - odparł Pawłysz.

- Ale co?

- Ona nie pisze.

- A co w końcu pisze?

Pawłysz milczał, bo czytał po cichu.

“Znam drogę na dolne piętro. Tam jest przejście z ogrodu, którego głuptaki nie pilnują. Bardzo zapragnęłam popatrzeć na nowych, bo wszyscy moi sąsiedzi są nierozumni. Nauczyłam się chodzić do klatki smoka. Dawniej się bałam, ale kiedyś podejrzałam, czym go głuptaki karmią. To wszystko były jakieś trawy i zioła z ogrodu. Wtedy pomyślałam, że on mnie nie zje. Może jeszcze długo bym do niego nie weszła, ale kiedyś przechodziłam obok i spostrzegłam, że smok jest chory. Głuptaki krzątały się gorączkowo, podsuwały mu jedzenie, mierzyły coś, macały. A on leżał na boku i ciężko oddychał. Wtedy podeszłam do samej kraty i przyjrzałam się uważnie. Przecież jestem pracownicą służby zdrowia i moim obowiązkiem było ulżyć mu w cierpieniach. Głuptakom nie potrafiłabym pomóc, bo one są z żelaza. A smoka zbadałam, obejrzałam przez kratę. Miał wiele siły, ale rozumu Bóg mu poskąpił. Wtedy zrobiłam się taka odważna, jakby zupełnie nie zależało mi na życiu. Pomyślałam zresztą, że smok już się do mnie przyzwyczaił, był tu już przede mną i widział mnie setki razy. Powiedziałam głuptakom, żeby nie przeszkadzały, tylko przyniosły ciepłej wody. Naturalnie ryzykowałam, bo przecież nie mogłam zrobić choćby najprostszej analizy. Ale rany zaropiały, więc je przemyłam i jakoś opatrzyłam. Smok nie bronił się. Nawet obracał się, żeby mi było wygodniej.”

Następna kartka najwidoczniej zaplątała się gdzieś spod spodu, bo jej treść nie wiązała się zupełnie z poprzednią.

“Siadłam dzisiaj do pisania, ale ręce mi się trzęsły. Ptak uciekł z klatki. Głuptaki ganiały za nim po korytarzu, łowiły siecią. Ja też chciałam go złapać, bałam się, żeby się nie zabił. Ale nic z tego nie wyszło. Ptak wleciał do wielkiej sali, uderzył w rurę i upadł. Potem, kiedy głuptaki niosły go do swego muzeum, znalazłam pióro, długie i cienkie, podobne do źdźbła stepowej trawy. Żałowałam ptaka i zazdrościłam mu, że znalazł dość siły, aby zginąć, jeśli JUŻ nie mógł wyrwać się na wolność. Jeszcze przed rokiem taki przykład mógłby wywrzeć na mnie decydujący wpływ, ale teraz mam zajęcie. Nie mogę zginąć na próżno. Mój cel może jest nierealny, ale mimo wszystko jest. Kiedy taka zdenerwowana i zamyślona szłam za głuptakami, one zapomniały zamknąć drzwi do muzeum. Nie dostałam się do środka - tam nie ma powietrza - ale zajrzałam przez szklaną ścianę i zobaczyłam słoiki, sześciany, naczynia, w których głuptaki przechowują tych, którzy nie wytrzymali drogi: w formalinie albo w czymś podobnym. Zupełnie tak samo jak potworki w leningradzkiej Kunstkamerze. Wtedy zrozumiałam, że po paru latach, kiedy umrę, nie spalą mnie i nie pochowają, tylko umieszczą w szklanym słoju na uciechę głuptakom albo ich gospodarzom. I zrobiło mi się ciężko na duszy. Opowiedziałam to później Balowi. Wzdrygnął się tylko i ciał mi do

zrozumienia, że obawia się tego samego. Siedzę teraz nad kartką papieru i wyobrażam sobie, że leżę w słoju ze spirytusem.”

W kilka dni później Pawłysz odnalazł muzeum. Kosmiczny chłód zamroził płyn, w którym przechowywano eksponaty. Pawłysz powoli szedł wzdłuż szeregu naczyń i uważnie wpatrywał się w lód większych pojemników. Obawiał się, że znajdzie ciało Nadieżdy, a w uszach dźwięczały mu niecierpliwe okrzyki Daga i Sato: “No i jak?”. Pawłysz rozumiał Nadieżdę. Wszystko lepsze od słoika z formaliną. Znalazł naczynie z ptakiem - tęczową, efemeryczną istotą z długim ogonem i wielkooką głową bez dzioba. Znalazł też słój, w którym leżał Bal. Jego historię znalazł na dalszych kartkach

“Wciąż zapominam pisać po kolei, bo obecne wydarzenia są ważniejsze od wszystkich z poprzednich lat. Dlatego nie potrafię porządnie opisać historii moich przygód.

Ocknęłam się w jakiejś komórce, gdzie paliło się światło, ciemnawe i martwe. To nie był pokój, w którym teraz mieszkam. W tamtej komórce leżą teraz sterty skamieniałych muszli, które głuptaki przytaszczyły jakiś rok temu. W ciągu ponad czterech lat zatrzymywaliśmy się bodajże szesnaście razy i za każdym razem było wielkie zamieszanie, a głuptaki przynosiły rozmaite rzeczy albo nawet. żywe istoty. No więc w komórce oprócz mnie znalazły się naczynia, które myłam nad rzeką i które bardzo mi się potem przydały, gałązki sosny, trawa, kamienie i różne owady. Dopiero znacznie później domyśliłam się, że one w ten sposób chciały sprawdzić, czym trzeba mnie karmić, a wtedy pomyślałam, że to wszystko zabrały przypadkiem. Oczywiście wtedy ani mi w głowie było jedzenie. Usiadłam, postukałam w ścianę. Ściana była twarda, a zza niej bez przerwy dobiegało brzęczenie, jakby hałas maszyn na parostatku. Poza tym czułam wielką lekkość. Tutaj w ogóle wszystko jest. lżejsze niż na Ziemi. Czytałam kiedyś, że na Księżycu siła ciężkości też jest mniejsza, i że jeśli kiedyś ludzie polecą do gwiazd, jak uczył Ciołkowski, to w ogóle nic nie będą ważyć. Właśnie ta niewielka siła ciężkości pozwoliła mi wkrótce zrozumieć, że już nie jestem na Ziemi, że mnie ukradli, porwali jak jeńca kaukaskiego, i nijak nie mogą dowieźć na miejsce. Mam wielką nadzieję, że ludzie, nasi, z Ziemi, też kiedyś nauczą się latać w przestrzeń kosmiczną. Obawiam się jednak, że to będzie jeszcze nieprędko.”

Pawłysz przeczytał to na głos. Dag powiedział:

- A przecież ona umarła zaledwie na rok przed wystrzeleniem pierwszego sputnika. Sato poprawił go:

- Żyła jeszcze, kiedy latał Gagarin.

- Możliwe, ale wcale jej to nie ulżyło.

- Ulżyłoby, gdyby wiedziała - odparł Pawłysz.

- Nie jestem tego pewien - powiedział Dag. - Czekałaby wówczas na ratunek i nie doczekałaby się.

- Nie o to chodzi - mruknął Pawłysz. - Ona po prostu chciała wiedzieć, że my również potrafimy.

Dalej czytał na głos, dopóki się nie zmęczył.

“Przyniosły mi jedzenie i stały w drzwiach, patrzyły, czy będę jadła. Spróbowałam - dziwna, słonawa, jałowa kasza. Jednak byłam wtedy bardzo głodna i jakby ogłuszona. Wciąż patrzyłam na głuptaków, które stały w drzwiach niczym żółwie i prosiłam, żeby zawołały swojego dowódcę. Nie wiedziałam wtedy, że ich dowódcą jest Maszyna, zajmująca całą ścianę w najdalszej sali. A kim są ich prawdziwi gospodarze, jak wyglądają istoty, które wysłały ten statek w drogę z samymi żelaznymi automatami, nie wiem do tej pory. Potem zastanawiałam się, skąd one wiedziały, jaki pokarm mi nie zaszkodzi. Łamałam sobie nad tym głowę, dopóki nie odnalazłam ich laboratorium i nie domyśliłam się, że kiedy byłam nieprzytomna, pobrały mi krew i przeprowadziły pełną analizę organizmu. Na tej podstawie wyliczyły, czego i w jakich proporcjach potrzebuję, żeby nie umrzeć z głodu. A co to jest smak, to w ogóle nie wiedzą. Ja na głuptaki już od dawna się nie złoszczę, bo to tylko żołnierze, którzy wykonują rozkazy, tylko że żołnierze mimo wszystko myślą, a one nie mogą. Przez pierwsze dni tylko płakałam, wciąż prosiłam żeby wypuściły mnie na wolność i w żaden sposób nie mogłam zrozumieć, że do wolności musiałabym lecieć bardzo długo.

...Nagle straciłam spokój. Pewnie dlatego, że teraz nie jestem sama. Odnoszę wrażenie, że wkrótce zajdą jakieś zmiany. Nie wiem, czy na lepsze, ale właściwie na gorsze już nic nie może się zmienić. Dziś śniła mi się Oleńka i we śnie zastanawiałam się, dlaczego ona nie rośnie, dlaczego wciąż jest taka malutka. Przecież już powinna wyrosnąć! Kiedy się obudziłam, bardzo się zlękłam. Czy to nie znaczy, że Oleńki nie ma już na świecie? Dawniej nigdy nie byłam zabobonna. Nawet na froncie. A teraz przez cały dzień nie mogłam sobie znaleźć miejsca. Potem pomyślałam jeszcze o jednym: skąd mogę wiedzieć, że dobrze liczę dni. Przecież robię kreskę na ścianie co rano, gdy się budzę. A jeśli to nie jest rano? Może ja teraz częściej śpię? Albo rzadziej. Trudno zgadnąć. Tutaj zawsze jest jednakowo. Pomyślałam więc, że może przeszły nie cztery lata, ale tylko dwa lub nawet rok. A może i na odwrót - pięć, sześć, siedem lat? Ile lat ma teraz Ola? Może już jestem staruszką? Tak się zdenerwowałam, że pobiegłam do luster. To oczywiście nie są lustra, ale coś wypukłego, okrągłego, podobnego do ekranów telewizyjnych. Czasami przelatują tam zielone i niebieskie zygzaki. Innych luster nie mam. Długo wpatrywałam się w ekrany, tak długo, że nawet głuptaki, które tam dyżurowały, zaczęły sygnalizować: czego chcę? “Machnęłam tylko ręką.

Minęły czasy, kiedy je wyzywałam od katów i dręczycieli. Teraz się ich nie boję. Boję się tylko Maszyny. Szefa. Długo przeglądałam się w lustrach, przechodziłam od jednego do drugiego, szukałam najjaśniejszego. Do żadnego wniosku nie doszłam. Niby ja - taki sam nos, zapadnięte oczy, niebieskawa twarz. Ale to chyba wina lustra. Tyle tylko, że odkryłam worki pod oczami. Wróciłam do pokoju."

- To niezmiernie interesujące - powiedział Dag. - Nie sądzisz, Pawłysz?

- Co?

- Chodzi mi o ten problem. Jeśli odizoluje się człowieka na parę lat tak dokładnie, żeby nie zdawał sobie sprawy z upływu czasu poza miejscem jego odosobnienia, to czy zmieni się jego cykl biologiczny?

- Myślę teraz o czymś innym - odparł Pawłysz.

"Nagle przypomniałam sobie o kotku. Zupełnie o nim zapomniałam, a dzisiaj przypomniałam sobie. Głuptaki przyniosły kotka. Oczywiście zabrały z Ziemi. Kociak piszczał i miauczał. To było na samym początku. Piszczał w sąsiedniej komórce i głuptaki ciągle tam biegały, bo w żaden sposób nie mogły się domyślić, że chce mleka. Byłam jeszcze wtedy okropnie wystraszona, więc same zaprowadziły mnie do niego, bo myślały, że zdołam pomóc. Ale przecież nie mogłam im wytłumaczyć, co to jest mleko, a w ich sztucznym pokarmie musiało czegoś brakować. Przez trzy dni niańczyłam się z kotkiem, dawałam mu kaszę rozbełtaną w wodzie, ale kociak zdechł. Widać człowiek jest wytrzymalszy niż zwierzę, chociaż powiadają, że kot okropnie żywotny. Ja przecież żyję. Pewnie kociak też leży w ich muzeum. Teraz to bym potrafiła znaleźć mu jedzenie. Znam drogę do ich laboratorium i głuptaki też inaczej mnie traktują. Przywykły. A ze smokiem jest całkiem źle. Pewnie niedługo umrze. Długo z nim wczoraj siedziałam, znów przemywałam rany. A on zupełnie osłabł. Dokonałam przy nim odkrycia. Okazuje się, że smok w jakiś sposób może wpływać na moje myśli. Nie to, żebym go rozumiała, ale czuję, kiedy go bardzo boli. Wiem, że moje odwiedziny go cieszą. Żałuję teraz, że dawniej nie zwracałam na niego uwagi - bałam się. Przecież całkiem możliwe, że on jest taki sam jak ja. Też jeniec. Tylko o wiele nieszczęśliwszy ode mnie. Przez wszystkie te lata trzymali go w klatce. Może ten smok był pielęgniarką w szpitalu na jakiejś bardzo odległej planecie? Może smoczyca tak samo przyjechała odwiedzić swoją córkę i trafiła do tego ogrodu zoologicznego, a potem przez wiele lat była uwięziona w klatce i wciąż próbowała wytłumaczyć głuptakom, że nie jest głupsza od nich. Umrze i nie zdoła wytłumaczyć. Najpierw uśmiechnęłam się do tej myśli, a potem się rozpłakałam. Siedzę teraz i ryczę, chociaż muszę iść, bo na mnie czekają.

A jednak, jeśli dobrze pomyśleć, to mam się lepiej niż smok. Przynajmniej mam względną swobodę i miałam ją od samego początku. Od czasu, kiedy umarł kociak. Długo się zastanawiałam, dlaczego tak się stało, że cała reszta jeńców - ilu ich tu jest (za przegrodami na pozostałych piętrach jest inne powietrze, więc nie mogę tam wejść, ale tam z pewnością również są jeńcy) - siedzi pod kluczem, tylko ja dość swobodnie mogę sobie spacerować po statku. Dlaczego one uznały, że im nie zagrażam? Może ich gospodarze są do mnie podobni? Zawierzyły mi kotka. Wpuściły do ogrodu i pokazały, gdzie są nasiona. Pozwalają chodzić do laboratorium. Głuptaki nawet trochę mnie słuchają. Ten, kto będzie czytał te kartki, zastanowi się pewnie, co to za głuptaki. Nazywam tak żelazne żółwie. Jak się dowiedziałam, że to maszynki, że najprostszych rzeczy nie rozumieją, to tak je zaczęłam nazywać na własny użytek. Ale jeśli tak dobrze się zastanowić, to moje życie jest niewiele lepsze od życia reszty stworzeń w klatkach i w celach. Po prostu moje więzienie jest obszerniejsze, i to wszystko. Przecież próbowałam za pośrednictwem głuptaków wytłumaczyć Maszynie, szefowi, że to zbrodnia - złapać żywego człowieka i tak go trzymać. Chciałam wytłumaczyć, że powinna skomunikować się z nami, z Ziemią. Potem jednak przekonałam się, że poza maszynami nikogo tu nie ma. A Maszyna dostała rozkaz: latajcie po Wszechświecie, zbierajcie, co się trafi, a potem zameldujecie. Jednakże ta powrotna droga jest okropnie długa.

Mam jeszcze nadzieję, że dożyję, i spotkam się z nimi, i powiem, co o nich myślę. A może oni nawet nie wiedzą, że gdzieś poza ich planetą są inni rozumni ludzie?”

Kiedy Pawłysz skończył czytać tę kartkę, Dag powiedział:

- Trzeba przyznać, że rozumowała całkiem logicznie.

- Naturalnie była to automatyczna sonda badawcza - odezwał się Pawłysz. - Jednak kryje się tu pewna zagadka, na którą Nadieżda zwróciła uwagę.

- Zagadka? - zapytał Sato.

- Wydaje mi się dość dziwne - odparł Pawłysz - że taki gigantyczny statek, wysłany w daleki zwiad, nie miał żadnej łączności z bazą, z macierzystą planetą. Wszystko wskazuje na to, że znajduje się w drodze od wielu lat, a przez ten czas informacje się starzeją.

- Nie widzę w tym nic dziwnego - powiedział Dag. - Wyobraź sobie, że wysłano kilka takich statków. Każdemu wyznaczono inny sektor Galaktyki. Cóż z tego, że będą lecieć wiele lat. Daj Boże, żeby życie organiczne wykryły w jednym świecie na tysiąc. No więc zwożą zewsząd informacje. Cóż to jest sto lat dla cywilizacji, która może sobie pozwolić na wysłanie takich zwiadowców? A potem, w chwilach wolnych od innych zajęć, obejrzą sobie trofea i zastanowią się, dokąd warto wysłać statek z załogą.

- I łapią co popadnie? - zapytał Sato nie ukrywając niechęci do właścicieli statku.

- A jakie mogą być kryteria, umożliwiające automatom rozpoznanie istoty rozumnej?

- No, na przykład Nadieżda była ubrana. Poza tym widzieli nasze miasta.

- Mało przekonywające - powiedział Pawłysz. - Gdzie masz gwarancję, że w ich świecie istoty rozumne nie chodzą nago i że oni nie ubierają swoich zwierząt domowych?

- A prawdopodobieństwo tego, że złowią właśnie istotę rozumną, jest tak znikomo małe - dodał Dag - że po prostu je pominęli. W każdym razie starają się wszystkie swoje trofea utrzymać przy życiu.

- Jałowe spekulacje - podsumował Pawłysz, biorąc do ręki następną kartkę. - Nic na razie nie wiemy o istotach, które wysłały statek, nic więc również nie wiemy, co przy tym myślały. W znanej nam części Galaktyki nie ma takiej cywilizacji. Znaczy to, że pochodzą z daleka. Wiemy tylko, że byli u nas, ale z jakiegoś powodu nie wrócili do domu.

- Może to i lepiej - powiedział Dag po namyśle.

“Kiedyś, jak znajdę trochę czasu, napiszę o moich pierwszych latach w więzieniu. Teraz niejedna rzecz wydaje mi się mglista i daleka - i moje przerażenie, i rozpacz, i to, jak szukałam stąd wyjścia, jak chciałam dobrać się do ich centrali i popsuć wszystkie maszyny, żebyśmy się rozbili. Tak myślałam wtedy, kiedy bałam się, że znów przylecą na Ziemię i narobią szkody. Zrozumiałam jednak, że z ich statkiem sobie nie poradzę. Tutaj nawet i stu inżynierów pewnie nie domyśliłoby się, co do czego służy. A teraz powinnam wrócić do wydarzeń, które rozegrały się nie tak dawno, kilka miesięcy temu, już po tym, jak zdobyłam papier i zaczęłam pisać pamiętnik. Nowi jeńcy, których głuptaki złapały ostatnim razem, trafili na moje piętro, pewnie dlatego, że oddychamy jednakowym powietrzem. Siedzieli najpierw w kwarantannie na drugim piętrze, a potem znaleźli się w celach niedaleko mnie. Miałam nadzieję, że może to będą ludzie lub ktoś do nich podobny, ale kiedy ich zobaczyłam - podpatrzyłam, jak głuptaki wiozły do celi jedzenie - zrozumiałam, że znów czeka mnie rozczarowanie. Widziałam kiedyś w Jarosławiu, jak w sklepie rybnym sprzedawali trepangi. Pomyślałam wtedy: że też ludzie mogą jeść takie paskudztwo! Inni klienci reagowali podobnie. Nowi Jeńcy byli podobni do takich właśnie trepangów. Było ich w celi dwóch, wzrostu średniego psa, śliskich i obrzydliwych. Zmartwiłam się i wróciłam do siebie. Nawet nic o nich nie napisałam w pamiętniku. Następnego dnia opowiedziałam wszystko mojej smoczycy, ale ona, rzecz jasna, nic nie zrozumiała. Gdybym na nic nie liczyła, łatwiej byłoby znieść takie rozczarowanie. Tych trepangów nie wypuszczali z celi. Wkrótce zorientowałam się, że jest ich pięć sztuk - dwa w celi, a trzy w klatce za żelaznymi drzwiami. Ich jedzenie też niedługo zobaczyłam, bo głuptaki okroiły mój ogród i zaczęły uprawiać w brytfankach jakąś pleśń, która ruszała się jak żywa i brzydko pachniała. Właśnie tę pleśń nosiły trepangom.

... Ze smoczycą znów coś niedobrze. Już nawet zaczęłam w laboratorium robić doświadczenia. Żeby to zobaczył Iwan Akimowicz z naszego szpitala! Wciąż mi radził, żebym się uczyła. Mówił, że byłby ze mnie dobry lekarz, bo mam rozwiniętą intuicję. Ale w życiu mi się nie ułożyło i zostałam nieukiem. Czego bardzo teraz żałuję. Inna rzecz, że wiele razy zastępowałam laborantkę, umiałam robić analizy i asystować przy operacjach - mały szpital to dobra szkoła... Ale czyż te moje wiadomości mogą tu wystarczyć?”

- Czemu milczysz? - : zapytał Dag. - Przepuszczasz?

- Sam wszystko przeczytasz. Chcę dotrzeć do sedna - odparł Pawłysz.

“Chociaż brzydziłam się trepangów, rozumiałam jednak, że moje obrzydzenie jest niesprawiedliwe. Przecież nic złego mi nie zrobiły. Poza tym już przywykłam do życia wśród takich cudów i potworów, że i w nocy takie się nie przyśnią. Jakby tak policzyć wszystkie moje dni tutaj, to wyjdzie taki długi monotonny ciąg, że aż strach człowieka bierze. A jak się zastanowić, to każdego dnia dowiaduję się czegoś, patrzę, myślę. Jakiż jednak człowiek jest wytrzymały! Przecież i ja komuś muszę wydawać się przerażającym potworem. Może nawet mojej smoczycy.

Te trepangi chyba myślą. Przyszło mi to do głowy, bo kiedy tylko przechodzę obok ich klatki, zawsze mnie obserwują i poruszają się. Kiedyś szłam z ogrodu z pęczkiem rzodkiewek. Rzodkiewki były wątłe i zabiedzone, ale to witaminy. Jakiś trepang kręcił się koło kraty. Wydało mi się, że próbuje wyłamać zamek. No cóż, pomyślałam, przecież i mnie coś takiego przychodziło do głowy. Na samym początku, kiedy siedziałam pod kluczem, i.za każdym razem, kiedy zbliżaliśmy się do innych planet. Pomyślałam i stanęłam jak wryta. Bo co z tego wynikało? Że tak jak ja. Więc myślą? A trepang, jak mnie zobaczył, zasyczał jak żmija i od czołgał się na środek klatki, ale nie zdążył, bo jeden głuptak był niedaleko (nie widziałam go, bo przestałam je zauważać) i uderzył trepanga prądem. One tak karzą. Trepang skurczył się. Krzyknęłam na głuptaka i chciałam iść dalej, ale i mnie się dostało. Tak silnie uderzył mnie prądem, że upadłam i rozsypałam rzodkiewki. Pewnie chciał mi pokazać, że od trepangów powinnam się trzymać z daleka. Jakoś się podniosłam - ostatnio stawy zaczęły mnie pobolewać - i poszłam do siebie. Tyle czasu już tu jestem, a wciąż nie mogę przywyknąć, że dla nich jestem po prostu królikiem doświadczalnym. W każdej chwili mogą mnie zabić i do muzeum, do słoja. I nic im za to nie będzie. Zacisnęłam zęby i poszłam dalej.

... Potem okazało się, że to uderzenie prądem nawet mi pomogło. Trepangi myślały z początku, że jestem jedną z gospodarzy, a nawet najważniejszą. Gdyby nie kara, dalej uważałyby mnie za wroga. A teraz, gdy w trzy dni później przechodziłam znów obok ich klatki leczyć moją smoczycę, zobaczyłam, że jakiś trepang kręci się koło kraty i syczy.

Cichutko syczy. Rozejrzałam się - głuptaków nie widać. “No i co - pytam - źle ci w tej klatce?” Przez te parę dni nawet do trepangów zdołałam przywyknąć i już nie wydawały mi się takie obrzydliwe. A trepang wciąż syczy i klekoce. Wtedy zrozumiałam, że on ze mną rozmawia. “Nie rozumiem” - odpowiedziałam mu i chciałam się uśmiechnąć, ale uznałam, że nie warto, bo może mój uśmiech wyda mu się groźnym grymasem. Trepang znowu syczy. Ja mu na to: “No i po co się wysilasz? Nie mam słownika. A jeśli nie jesteś jadowity, to i tak się nawzajem zrozumiemy”. Zamilkł. Słucha. Wtedy w korytarzu zjawił się wielki głuptak z łapami jak konik polny. Sprzątaczka. Chociaż wiedziałam, że takie nie biją prądem, ruszyłam dalej, bo nie chciałam, żeby mnie zobaczył przed klatką. Ale w powrotnej drodze znów się tam zatrzymałam i pogadałam.. Przynajmniej jest przed kim duszę otworzyć. Potem przyszło mi do głowy, że może im wygodniej porozumiewać się ze mną na piśmie. Napisałam na kartce, że mam na imię Nadieżda, przyniosłam mu, pokazałam i napisane powtórzyłam na głos. Obawiam się jednak, że nie zrozumiał. A w dwa dni później była bójka trepanga z głuptakami. Wydaje mi się, że zdołał otworzyć zamek i głuptaki złapały go w korytarzu. Trafił na sprzątaczki, które mocno go poturbowały, zanim nadjechały inne głuptaki. Byłam na korytarzu, usłyszałam hałas, pobiegłam tam, ale się spóźniłam. Wsadziły go już do oddzielnej celi i robiły nowy zamek. Widzę - pozostałe trepangi denerwują się, miotają po swoich klatkach. Spróbowałam wtedy wejść do celi trepanga, ale głuptaki nie puściły. Prądem nie biją, ale nie puszczają. No to postanowiłam ich przetrzymać. Stanęłam koło drzwi i stoję. Doczekałam się, aż otworzyły drzwi i zerknęłam do środka. Na podłodze leżał poraniony trepang. Wtedy poszłam do laboratorium, zabrałam stamtąd swoją torbę z lekarstwami i opatrunkami - przecież nie po raz pierwszy musiałam udzielać chorym pomocy lekarskiej - i poszłam prosto do celi. Kiedy głuptak chciał mnie zatrzymać, pokazałam co mam w torbie. Głuptak znieruchomiał. Wiedziałam już, że tak robią, kiedy radzą się Maszyny. Czekam. Minęła może minuta. Nagle głuptak odjeżdża na bok - puszcza mnie. Przesiedziałam przy trepangu chyba ze trzy godziny. Popędzałam głuptaków jak swoje salowe. Przyniosły mi wody, podściółkę, ale jednego nie chciały zrobić - przyprowadzić jeszcze jednego trepanga. Chociaż one lepiej wiedziałyby, co mu potrzeba. A najdziwniejsze, że kiedy w celi nie było głuptaków, trepang znów zasyczał, i w jego syku usłyszałam słowa: “No i po co się wysilasz?” Zrozumiałam, że zapamiętał, jak z nim rozmawiałam i stara się mnie naśladować. Wtedy po raz pierwszy od wielu miesięcy naprawdę się ucieszyłam. Przecież on nie tylko mnie naśladował, ale również rozumiał, co robi.

... Bardzo się dziwiłam, że tak szybko zapamiętują moje słowa i chociaż trudno im było je wymawiać - usta mają jak trąbka, bez zębów - bardzo się starają. Przez wszystkie te

dni i tygodnie żyłam jak we śnie. W pięknym śnie. Dostrzegłam w sobie zdumiewające przemiany. Okazało się, że na świecie nie ma sympatyczniejszych istot niż trepangi. Pojęłam, że są piękne. Nauczyłam się je odróżniać, ale prawdę mówiąc nic nie rozumiałam z ich syków i klekotów. Teraz zresztą też nie rozumiem. Uczyłam je, jak tylko zdarzyła się okazja - przechodzę obok, mówię jakieś słowo, różne przedmioty przenoszę koło klatki, pokazuję, a one od razu rozumieją. Nauczyły się, jak mam na imię, i gdy tylko mnie zobaczyły od razu (jeśli w pobliżu nie było głuptaków), zaczynały syczeć: “Naszeszda, Naszeszda!” Zupełnie jak malutkie dzieci! A ja dowiedziałam się w cieplarni, co lubią, i starałam się je dokarmiać, chociaż jedzenie miały tak cuchnące, że nie mogłam się do niego przyzwyczaić. Głuptaki dostały od Maszyny surowy rozkaz, żeby trepangów nie wypuszczać z klatek, nie spuszczać z oczu, pilnować i nie ufać. Tak że nie mogłam się z nimi swobodnie spotykać, bo głuptaki i mnie zaczęłyby podejrzewać. I popatrzcie jaka dziwna rzecz - tyle czasu tu spędziłam i byłam dla głuptaków niegroźna. Sama byłam. A razem z trepangami stworzyliśmy siłę. Sama to czułam i trepangi mi to mówiły, kiedy nauczyły się po rosyjsku. Wreszcie nastał taki dzień, kiedy podeszłam do ich klatki i usłyszałam:

- Nadieżda, musimy stąd uciec.

- A gdzie tu uciekać? - odpowiedziałam. - Statek leci nie wiadomo dokąd i nikt nie wie, gdzie teraz jesteśmy. Bo to potrafimy kierować statkiem?

Wtedy odpowiedział mi Bal:

- Damy radę kierować. Nie teraz. Kiedy więcej się dowiemy. Jesteś nam do tego potrzebna.

- A czy będę umiała? - odparłam.

Wtedy we dwójkę zaczęły na mnie syczeć i ćwierkać, przekonywać mnie. A ja się tylko uśmiechałam. Przecież nie mogłam im powiedzieć, że jestem szczęśliwa...”

- Krótko mówiąc, Nadieżda znalazła sojuszników - skwitował Pawłysz pełne oburzenia okrzyki Daga, który żądał, aby wszystko czytać na głos. - Zrozumcie, że po cichu przeczytam te kartki z dziesięć razy szybciej.

- Ale przecież... - zaczął znów Dag, ale Pawłysz czytał już kolejny fragment.

“Przez kilka dni nie pisałam. Nie miałam czasu. To wcale nie znaczy, że byłam zajęta bardziej niż zawsze - po prostu co innego miałam w głowie. Nawet trochę się ostrzygłam; długo stałam przed ciemnymi lustrami i obcinałam skalpelem pasemka włosów. Pół życia oddałabym za żelazko. Chociaż nikt mnie nie widzi, nikt tu poza mną nie wie, co to jest prasowanie, co to jest ubranie. Ale ileż czasu musiałam stracić, żeby wymyślić, z czego szyć i czym szyć. Łatwiej było Robinsonowi na bezludnej wyspie. I oto stałam przed ciemnym

lustrem i myślałam, że nigdy nie byłam elegantką. A już teraz, gdybym zjawiła się na Ziemi, wszyscy wytrzeszczyliby oczy na taki widok. Wedle moich obliczeń, na Ziemi jest teraz 1960 rok. Co tam kobiety noszą? Chociaż to zależy gdzie. W Moskwie modniś jest pewnie pod dostatkiem, a Kalazino to prawie wieś. No i zajmuję się nie wiadomo czym, myślę o fatałaszkach. Śmieszne. A Bal, mój ulubiony trepang, poświęcił się, żeby lepiej nauczyć się mojego języka. Okropnie się sam pokaleczył i głuptaki wezwały mnie na pomoc, bo od dawna traktują mnie jak pogotowie ratunkowe. Zwymyślałam Bala od ostatnich, zapominając, jaki on pamiętliwy. No i nauczył się wszystkich moich przekleństw. Oczywiście nie były to jakieś plugawe przekleństwa - kapuściana głowa, baran, smutny idiota - takie to były przekleństwa. Skoro mam swobodę ruchu po naszym więzieniu, to dostałam dwa zadania: po pierwsze utrzymywać łączność między celami, w których siedzą trepangi, a po drugie, przedrzeć się za linię frontu i wywiedzieć się, gdzie co się znajduje. No i przypomniałam sobie lata wojny."

Następna kartka była bardzo krótka, zapisana pośpiesznie i niedbale.

"Dola trzy razy kazał mi chodzić za przepierzenie do wielkiej sali. Wszystko mu opowiedziałam. Dola jest u trepangów dowódcą. Widocznie ustalili między sobą, że moja pomoc im nie wystarczy, że do centrali powinien pójść Bal. Do przepierzenia go doprowadzę, a dalej będzie miał kartkę z moim rysunkiem. Zaczekam na niego przy przepierzeniu. Bardzo się boję o Bala. Głuptaki są o wiele szybsze. Bal pójdzie teraz, bo akurat prawie wszystkie głuptaki są zajęte na innych piętrach."

Następna kartka zapisana była zupełnie inaczej, pokryta malutkimi, wyraźnymi literami.

"No i stała się rzecz straszna. Stałam za przepierzeniem, czekałam na Bala i w duchu liczyłam. Myślałam, że jeśli wróci, zanim doliczę do tysiąca, wszystko będzie w porządku. Ale nie zdążył. Zamigotały lampki, zabrzęczało - tak zawsze bywa, kiedy na statku coś się wydarzy - obok mnie przebiegły głuptaki. Próbowałam zamknąć drzwi, powstrzymać je, ale jeden tak mnie uderzył prądem, że o mało nie straciłam przytomności. A Bala zabiły. Teraz jest w muzeum. Musiałam ukrywać się w swoim pokoju, zanim wszystko nie ucichło. Bałam się, że mnie zamkną, ale widać nie traktują mnie poważnie. Kiedy w jakieś dwie godziny później wyszłam na korytarz i powlokłam się do ogrodu - pora była dać witaminy mojej smoczycy - pod drzwiami trepangów stały głuptaki. Musiałam przejść nie patrząc w tamtą stronę. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że Bal zginął. Dopiero wieczorem zamieniłam z trepangami parę słów i Dola powiedział, że głuptaki zabiły Bala. W nocy rozpaczałam, wspominałam jaki Bal był miły, sympatyczny i ładny. Wcale nie przesadzam, naprawdę

bardzo rozpaczałam. Myślałam też, że wszystko już przepadło, bo nikt więcej nie przedostanie się do centrali. A dziś Dola wytłumaczył mi, że jeszcze nie wszystko stracone. Okazuje się, że trepangi mogą porozumiewać się nawet jak się nie widzą, rozmawiać przy pomocy jakichś fal nawet na wielkie odległości. Bal właśnie dlatego zatrzymał się w centrali, że nadawał swoim towarzyszom całą budowę sterówki naszego statku, przekazywał własne uwagi na jej temat. Był nawet przy samej Maszynie. Wiedział, że chyba zginie, ale musiał najpierw wszystko przekazać. No i Maszyna zabiła go. Może nawet nie chciała zabić - przecież to tylko maszyna - ale tak wyszło...”

Dag mówił coś do Pawłysza, ale ten nie słyszał, choć odpowiadał coś ni w pięć ni w dziewięć, jak wyrwany ze snu człowiek.

“Po raz pierwszy przez te wszystkie lata obudziło mnie zimno. Wydało mi się, że brak mi powietrza. Potem jakoś to przeszło, rozgrzałam się. Ale trepangi, kiedy do nich przyszłam, powiedziały, że ze statkiem jest coś niedobrze. Zapytałam, czy to nie Bal zawinił. Odpowiedziały, że nie, ale że trzeba się śpieszyć. A ja myślałam, że statek jest wieczny. Jak Słońce. Dola powiedział, że trepangi już dużo wiedzą o budowie statku i o tym jak pracuje Maszyna. Powiedziały, że u nich w domu są maszyny o wiele bardziej skomplikowane, ale że trudno im walczyć z Maszyną, bo głuptaki zaskoczyły je, tak samo jak i mnie. I że beze mnie sobie nie poradzą. Czy nadal jestem gotowa im pomagać? “Naturalnie, że jestem gotowa” - odpowiedziałam. Wtedy Dola wytłumaczył mi, że bardzo ryzykuję. Jeśli im się uda zawrócić statek lub znaleźć jakiś inny sposób, żeby stąd uciec, wtedy zdołają dotrzeć do swojego domu. Ale mnie nie będą mogli pomóc. “A czy na statku nie ma jakichś zapisów drogi na Ziemię?” - zapytałam. Trepangi odpowiedziały, że nie wiedzą gdzie ich szukać i że najpewniej te zapisy ukryte są w pamięci Maszyny. Wtedy im wyłożyłam swoją filozofię. Jeśli wezmą mnie ze sobą - powiedziałam - gotowa jestem polecieć gdziekolwiek, byleby tylko wyrwać się stąd. Wolę już żyć i umrzeć wśród trepangów niż w więzieniu. A jeśli nawet nie uda mi się uciec, przynajmniej będę spokojna, że komuś pomogłam. Wtedy nawet umrzeć będzie łatwiej. I trepangi zgodziły się ze mną.

Na statku robiło się coraz zimniej. Dotknęłam rur w małej sali. Były ledwie ciepłe. Dwa głuptaki krzątały się przy nich, coś reperowały. Z trepangami potrafiłam się dogadać, a głuptaki przez wszystkie te lata nie odezwały się do mnie. Zresztą co one mają do powiedzenia? Ale muszę już iść i zupełnie nie wiem, czy wrócę jeszcze kiedyś do swoich notatek. Jeszcze chcę coś napisać - nawet nie dla tego, kto będzie to czytał, ale dla siebie. Gdyby mi powiedzieli, że kogoś można wsadzić na kilka lat do więzienia, w którym nie zobaczy żadnego człowieka, nawet strażnika nie zobaczy, powiedziałabym, że to pewna

śmierć. Albo że człowiek zbiesi się i zwariuje. A okazało się, że nie zwariowałam. Zużyłam się, zestarzałam, zmordowałam, ale żyję. Patrzę teraz w przeszłość i myślę, że przecież zawsze, czy prawie zawsze byłam czymś zajęta. Zupełnie jak w moim prawdziwym życiu na Ziemi. Pewnie dlatego tylko jeszcze jakoś się trzymam, że potrafiłam znaleźć sobie robotę, znaleźć coś lub kogoś, dla kogo warto byłoby żyć. Najpierw miałam nadzieję wrócić do Oleńki, na Ziemię, a potem, kiedy ta nadzieja prawie zgasła, okazało się, że nawet tutaj mogę się na coś przydać."

Była jeszcze jedna, ostatnia kartka. Leżała wśród czystych kartoników, które Nadieżda przygotowała, równo obcięła, ale nie zdążyła zapisać.

"Szanowny Timofieju Riodorowiczu!

Przyjmijcie moje niskie pokłony i wdzięczność za wszystko, co zrobiliście dla mnie i dla mojej córki Olgi. Jak tam żyjecie, jak się miewacie, czy wspominacie mnie czasem? Jak Wasze zdrowie? Mnie tu bez Was bywa czasem bardzo smutno, i nie myślcie, broń Boże, że powstrzymywało mnie to, że jesteście inwalidą..."

Dalej szły dwie linijki starannie zamazane grafitem. I sosna albo świerk narysowany niewprawną ręką.

5.

I znów minęło kilka dni. Pawłysz spał i jadł pod swoim namiotem i wyprawiał się jak do pracy w długie korytarze statku. Łączność nawiązywał rzadko i nie odzywał się, kiedy Dag zaczynał pokrzykiwać. Jego koledzy traktowali Nadieżdę jak sensację, zdumiewający paradoks - dla nich ta kobieta była ciekawym przypadkiem, odkryciem, zjawiskiem (można wymyślić jeszcze wiele słów, które jedynie w sposób przybliżony zdołają opisać stan ich uczuć, w których brakowało tylko jednego - utożsamienia się).

Pawłysz był wciąż razem z Nadieżda, chodził jej śladami, widział ten statek - jego korytarze, magazyny, zakamarki - właśnie tak, jak widziała je Nadieżda, wczuł się całkowicie w atmosferę tragicznego więzienia, które najprawdopodobniej wcale więzieniem być nie miało, więzienia, które w tak straszliwy sposób zdeterminowało życie pielęgniarki z prowincjonalnego szpitala, prostej kobiety, która jednak zdołała pojąć nieuchronność swojego losu, a mimo to w głębi serca nie pogodziła się z nim do końca.

Teraz, znając na pamięć każde słowo notatek Nadieżdy i odtworzywszy trasy, jakimi krążyła po statku, pojąwszy sens jej wędrówek i zajęć, zapuściwszy się nawet w te miejsca, do których Nadieżda nie mogła dotrzeć, których istnienia nawet nie podejrzewała, wiedział już, co wydarzyło się później, właśnie wiedział, a nie - domyślał się.

Strzępy kabli, przewrócony na grzbiet robot-głuptak, ciemna plama na białawej ścianie, dziwny pogrom w sterówce, ślady przeróbki w sekcji kalkulatora pokładowego - wszystko to tworzyło mozaikę ostatnich wydarzeń, w których uczestniczyła Nadieżda. Pawłysz nie musiał nawet szukać śladów, bo wiedział, gdzie powinny być, a jeśli ich tam nie znajdował, szedł dopóty, dopóki jego pewność nie zyskiwała nowych dowodów na swe poparcie.

... Nadieżda w pośpiechu dopisywała ostatnią kartkę. Bardzo teraz żałowała, że w ciągu ostatnich tygodni pisała tak niewiele. Nigdy nie lubiła pisać. Nawet siostry stale jej wypominały, że wcale nie pisze listów. Dopiero teraz przyszło jej nagle do głowy, że gdy odleci z trepangami, może się tak zdarzyć, że statek dostanie się w ręce rozumnych istot, może nawet takich, które przekażą jej pamiętnik na Ziemię. I wtedy będą ją przeklinać na czym świat stoi za to, że nie opisała szczegółowo własnego życia, dzień po dniu, nie opisała ani trepangów, choć zna ich teraz jak własną rodzinę, ani innych stworzeń, z którymi zetknęła się na statku - jedne dawno zginęły bez śladu, inne trafiły do muzeum, jeszcze innym wreszcie sądzone będzie umrzeć, (trepangi zorientowały się - a one bardzo dobrze znają się na wszelkiej technice - że statek dlatego tak długo nie wraca do domu, bo ma uszkodzone instalacje). Jeśli tak dalej pójdzie, statek do końca świata będzie krążył po kosmosie, psując się po trochu, umierając jak człowiek.

Przez ostatnie dni Nadieżda ciągle się gdzieś śpieszyła. Musiała robić mnóstwo rzeczy, których znaczenie nie zawsze rozumiała, choć wiedziała, że są ważne i niezbędne do osiągnięcia celu oczywistego dla trepangów. Zdawała sobie sprawę, że nie ma sensu o to ich pytać. Nie mogły nic wytłumaczyć, nawet gdyby chciały. Lata spędzone na statku nauczyły Nadieżdę, że nie potrafi zrozumieć nawet najbardziej nierozumnych więźniów, nie mówiąc już o trepangach. Przecież tyle lat przeżyła obok smoczycy i niczego się nie dowiedziała. Albo kulki, mieszkające w szklanej skrzynce. Kulek było dużo, ze dwadzieścia. Na widok Nadieżdy kulki często zaczynały szybko zmieniać barwę i toczyć się po dnie akwarium jak wielkie paciorki. Układały się w koła i inne figury, jakby dawały jej znaki, których nie mogła zrozumieć. Kilka razy opowiadała o tych kulkach trepangom, ale one albo od razu zapominały, albo nie miały czasu na nie zerknąć, Nadieżda, kiedy stało się oczywiste, że podróż zbliża się ku końcowi, uplotła nawet worek z kabla, żeby zabrać kulki ze sobą. Wiedziała nawet, że kulki muszą mieć wodę - nic więcej nie potrzebują.

Choćby teraz, jak skończy pisanie i zapakuje swój dobytek, musi biec pootwierać troje drzwi, które trepangi zaznaczyły jej na planie. Same tych drzwi nie zdołają otworzyć, bo kwadraciki są dla nich zbyt wysoko umieszczone.

Nadieżda zrozumiała, że zabiorą łódź, która kiedyś wzięła ją do niewoli. Wezmą i polecą. Ale żeby to zrobić, trzeba koniecznie uszkodzić główną maszynę, bo inaczej Maszyna po prostu nie puści ich do łódki i nie pozwoli opuścić statku. Do tego Nadieżda też była potrzebna.

Nie spała już drugą noc, i to nie tylko dlatego, że była podniecona, lecz i dlatego również, że trepangi w ogóle nie sypiały i nie rozumiały, dlaczego co jakiś czas koniecznie musi się wyłączać. Ledwie się położyła, od razu w mózgu odzywał się sygnał - wołały ją trepangi.

Układając kartki Nadieżda nagle pomyślała, że może lepiej będzie zabrać je ze sobą. Może tak będzie roztropniej? Mało to może zdarzyć się w drodze? Nie, zdecydowała, sama zawsze będzie mogła wszystko opowiedzieć, a tak na statku nic nie zostanie.

Brzęczenie w głowie. Trzeba lecieć. Wydało jej się nagle, że już tu nie wróci. Życie, ciągnące się tak wolno i monotonnie, nabrało nagle szalonego tempa i zaczęło pędzić na złamanie karku. I w każdej chwili może się skończyć...

- Postaramy się skierować statek ku naszej planecie - powiedziały jej trepangi. - Ale to jest bardzo trudne i ryzykowne, bo najpierw musimy podporządkować sobie mózg pokładowy. Jeśli nam się nie uda, spróbujemy go uszkodzić, żeby można było zabrać łódź ratunkową. Nie jesteśmy jednak pewni, czy będziemy umieli nią kierować i czy łódź w ogóle gdzieś dotrze. Może nam grozić śmierć. Musieliśmy ci to powiedzieć.

- Wiem - odparła Nadieżda. - Byłam na wojnie.

Trepangi jednak nie zrozumiały, o co jej chodzi, bo u nich już od dawna nie było wojen.

Same też nie traciły czasu. Zrobiły takie kije, którymi wystarczyło dotknąć głuptaka, żeby się wyłączył. Jeden taki kij dali Nadieżdzie: miała iść pierwsza i otwierać drzwi.

Dwa trepangi ruszyły za nią. Dwa pozostałe polazły spiesznie na górę, gdzie też była kabina z jakimiś maszynami, wyglądająca jak mostek kapitański na statku, tyle że bez okien.

- Troje drzwi - powtarzał trepang. - Ale za ostatnimi może nie być powietrza albo będzie inne niż w naszej sekcji. Nie wchodź od razu. Poczekamy, aż się napełni. Rozumiesz?

Trepangi zawsze mówiły jasno, bardzo się starały, żeby Nadieżda dokładnie rozumiała ich rozkazy i prośby. Za pierwszymi drzwiami kiedyś :już była. Pamiętała, że jest tam szeroki korytarz, gdzie pod ścianami stoją zapasowe głuptaki. Zupełnie jak martwe. Trepangi powiedziały jej, że tam głuptaki podładowują się, odpoczywają. Nadieżda nie pamiętała, po co i kiedy tam poszła, ale korytarz z martwymi głuptakami w niszach dokładnie zapamiętała.

- One cię nie ruszą - powiedział Dola.

- Nie musisz mnie uspokajać - odparła Nadieżda.

- Tylko nie ryzykuj. Bez ciebie się nie wydostaniemy. Pamiętaj o tym.

- Nie bój się, doskonale pamiętam.

Nadieżda musnęła dłonią kwadrat w ścianie i drzwi odjechały w bok. W tym korytarzu bardzo dziwnie pachniało - słodyczą i spalenizną. Wszystkie nisze były zajęte.

- Muszą teraz dłużej się podładowywać - powiedział Dola pełznący za nią. - Widziałaś, że ich coraz mniej kręci się po naszych sekcjach.

- Tak, zauważyłam - powiedziała Nadieżda. - 2eby tylko nie zapomnieć o kulkach.

- O kulkach?

- Mówiłam o nich.

- Uwaga!

Jeden z głuptaków nagle wyskoczył z niszy i ruszył szybko w ich stronę, chcąc zastąpić drogę i chyba zawrócić. Głuptak starał się przywrócić porządek.

- Szybciej - powiedział Dola. - Szybciej!

Nadieżda pobiegła i spróbowała przeskoczyć przez głuptaka, który rzucił się jej pod nogi.

Ale głuptak - że też o tym zapomniała! - też podskoczył i uderzył ją prądem. Na szczęście niezbyt silnie, bo pewnie nie zdążył się dobrze podładować. Nadieżda padła na kolana i upuściła kij. Uderzyła się tak, że aż jęknęła z bólu. Nogi już były nie te, co kilka lat temu. Przecież w szkole medycznej grała w siatkówkę. Drugie miejsce w Jarosławiu. Ale to było bardzo dawno temu.

Głuptaka zatrzymał Dola, który też miał kij, jak Nadieżda, tyle że krótszy.

- Co ci jest? - zapytał. Trepangi mają syczące głosy bez żadnego wyrazu, ale szum w głowie powiedział Nadieżdzie, że Dola bardzo się przejął.

- Nic takiego - odparła Nadieżda, przezwyciężając ból i wstając. - Idziemy.

Do następnych drzwi było jakieś dwadzieścia kroków. Jeszcze jeden głuptak zaczął wyłazić z niszy, ale robił to bardzo wolno.

- Maszyna dostała już sygnał - stwierdził Dola. - One mają z nią łączność.

Nadieżda kulejąc dobiegła do drzwi, ale nie znalazła kwadratu.

- Nie umiem otworzyć - przestraszyła się.

Nikt jej nie odpowiedział.

Obejrzała się. Dola stał bez ruchu. Drugi trepang opędzał się kijkiem od trzech głuptaków na raz.

- Szybciej - odezwał się wreszcie Dola.

- Może jest jakaś inna droga? - zapytała Nadieżda, czując, że ręce drętwieją jej ze strachu. - Tych drzwi nie otworzymy.

- Innej drogi nie ma - odparł Dola, a jego głos szeptał, szeleścił gdzieś z dołu, z daleka. Drzwi były zamknięte na mur.

Wypełzały z nisz dalsze głuptaki, niemrawe i powolne, i zdawało się, że na towarzysza Doli sunie stado przerośniętych biedronek.

W tym momencie drzwi otworzyły się same. Rozwarły się tak gwałtownie, że Nadieżda ledwie zdążyła odskoczyć w bok, gdyż poczuła, że drzwi otwierają się nie bez powodu. Tak wpada do domu gospodarz, który podejrzewa, że do mieszkania zakradli się złodzieje.

Dola też zdążył odskoczyć. Trepangi czasami potrafią ruszać się dość żwawo.

Zza drzwi wyskoczył głuptak, jakiego Nadieżda nigdy dotąd nie widziała. Był niemal jej wzrostu i przypominał raczej kulę niż żółwia, jak pozostałe. Miał trzy owadzie, rozczłonowane kończyny i groźnie bzyczał, jakby chciał rozpędzić tych, którzy zapędzili się w zakazane miejsce.

Skądś wytrysnął płomień i wypełniając cały korytarz przeleciał tuż obok Nadieżdy, która poczuła jego żar. Zmrużyła oczy i nie widziała, jak Dola podniósł z podłogi swój kij i zatrzymał, wyłączył głuptaka, chociaż było już za późno.

Głuptaki tłocząc się w przeciwległym końcu korytarza pociemniały jakby zwęglone, a drugi trepang, który powstrzymywał je i nie zdążył odskoczyć, kiedy otworzyły się drzwi, zamienił się w kupkę popiołu.

Nadieżda wszystko to widziała jak we śnie, jakby ni śmierć, ni inne niebezpieczeństwa wcale jej nie dotyczyły. Wiedziała tylko, że musi przedostać się za drugie drzwi, bo mogą się zamknąć i wówczas wszystko, śmierć Bala i tego drugiego trepanga, okaże się bezsensowna i niepotrzebna.

Za drugimi drzwiami znajdowała się okrągła sala, jakby górna połówka kuli. Zdążyli na czas. Ku drzwiom już toczył się drugi wielki głuptak. Dola zdążył podskoczyć do niego i unieszkodliwić, zanim robot zaczął działać.

Przed Nadieżda było kilkoro jednakowych drzwi, więc odwróciła się do Doli, żeby jej powiedział, gdzie ma iść dalej.

Dola już pędził naprzód i wyginając się jak przerażona gąsienica, wysoko unosząc grzbiet, przepełznął obok szeregu drzwi, na krótki moment zatrzymując się przed każdymi z nich, jakby węszył, co się za nimi znajduje.

- Tutaj - powiedział wreszcie. - Spróbuj otworzyć:

Nadieżda już była przy nim. Te drzwi też nie miały zamka. Ogarnęła ją tępa rozpacz, więc po prostu pchnęła drzwi ręką, a te jakby tylko na to czekały, skwapliwie opadły w dół.

Stali przed Maszyną, przed gospodarzem statku, przed tym, który wydawał rozkazy lądowania na obcych planetach i zabierania wszystkiego, co się trafi, przed tym, który utrzymywał na statku porządek, karmił, karał i chronił jeńców i trofea.

Maszyna okazała się po prostu ścianą z mnóstwem okienek i różnobarwnych lampek, szarych i błękitnych tabliczek i dźwigni. To była Maszyna i nic więcej. Zdumiała Nadieżdę. Nie, nie rozczarowała, lecz zdziwiła, gdyż w ciągu wielu spędzonych tu lat, Nadieżda wielokrotnie usiłowała wyobrazić sobie gospodarza statku i obdarzała go mnóstwem straszliwych cech. Ale że Maszyna może być aż tak bezosobowa, nigdy nie przychodziło jej do głowy.

Malutki głuptak, który siedział gdzieś wysoko na maszynie, zeskoczył na podłogę i potoczył się w ich kierunku. Nadieżda chciała unieruchomić go kijem, ale kij miał Dola i właśnie wysunął się do przodu i zatrzymał głuptaka.

- Co dalej? - zapytała Nadieżda, oddychając z ulgą. Jej spódnica, uszyta ze znalezionego na statku materiału przypominającego ceratę, była podarta na kolanach, poplamiona krwią - okazuje się, że mocno się pokaleczyła, skacząc przez głuptaka.

Dola nie odpowiedział. Stał już przed Maszyną i przyglądał jej się, kręcąc swoją owadzią głową.

Coś szczęknęła, jakby od wzroku Doli, i sala wypełniła się głośnym pulsującym hukiem. Nadieżda odskoczyła jak oparzona, ale momentalnie zorientowała się, że to głos innego trepanga.

- Wszystko w porządku - powiedział Dola. - Podsadź mnie. Przekręcę tę dźwignię.

Nadieżda podsadziła go, a on zrobił coś z Maszyną.

- Nasi - powiedział Dola, kiedy znalazł się ponownie na podłodze i zaczął pełznąć wzdłuż Maszyny - - są już w sterowni. Jeśli wszystko będzie w porządku, potrafimy kierować statkiem.

Dola wsłuchiwał się w syk wydawany przez czarne kółko, widocznie jakieś urządzenie łącznościowe, i mówił Nadieżdzie, co zrobić, gdy sam nie mógł sięgnąć do jakiejś dźwigni lub guzika. Nadieżda zrozumiała nagle, że znajdują się w maszynowni parostatku i kapitan ze swego mostka wydaje im rozkazy: “mała naprzód, cała naprzód”, i że wkrótce pojadą dalej, do domu.

Wtedy ogarnęło ją dziwne, słodkie zmęczenie, nogi ugięły się pod nią, więc usiadła na podłodze i powiedziała do Doli:

- Trochę sobie odpocznę.

- Dobrze - odparł Dola, wsłuchując się w głosy swoich towarzyszy na mostku kapitańskim.

- Odpocznę, a potem ci pomogę.

- Oni próbują przestawić statek na ręczne sterowanie - powiedział Dola po dłuższej chwili, a jego głos dobiegał z ogromnej odległości.

Zaraz potem Dola krzyknął. Nigdy nie słyszała, żeby trepangi krzyczały. Zdarzyło się coś, co go bardzo przestraszyło.

Światełka Maszyny gasły jedno po drugim, mrugały coraz słabiej, jakby żegnały się ze sobą.

Syk w głośniku przemienił się w słaby pisk. A Dola wykrzykiwał jakieś pojedyncze dźwięki, które nie mogły mieć sensu, a jednak go miały.

- Szybko - powiedział wreszcie. - Do łodzi!

Czegoś nie uwzględnili. Maszyna, która udawała posłuszeństwo dla zbuntowanych jeńców, zachowała jednak jakieś komórki nakazujące jej, aby stanęła, umarła, byle tylko nie służyć wrogom, obcym.

Nadieżda wstała, czując jak Dola popycha ją, ponagla, ale w żaden sposób nie mogła się porządnie przestraszyć - całe ciało czepiało się błogiej myśli: “Wszystko się skończyło, wszystko jest dobrze, teraz pojedziemy do domu”.

Nawet kiedy biegła korytarzem za Dolą, mijała spalone głuptaki, nawet kiedy wydostali się na zewnątrz i Dola kazał jej jak najszybciej wnosić do łodzi jakieś okrągłe ciężkie przedmioty podobne do min morskich, nadal pocieszała się myślą, że wszystko będzie w porządku. Przecież pokonali Maszynę!

Przed włazem prowadzącym do łodzi Nadieżda rzucała żywność i biegła z powrotem, bo trzeba było jeszcze zabrać wodę i te kule, w których, jak się okazało, było powietrze. Dola starał się przy tym wszystko jej wytłumaczyć, ale zapomniał słów i mylił się: że teraz Maszyna przestała wytwarzać powietrze i ciepło, że wkrótce statek umrze i jeśli nie zdążą załadować łodzi i przygotować jej do odlotu, nie zdołają się uratować.

Przybiegły z kapitańskiego mostka dwa pozostałe trepangi, przyniosły jakieś aparaty i zaczęły krzątać się wewnątrz łodzi. Nawet nie zauważyły Nadieżdy. Poruszały się gorączkowo i szybko, jakby każda z ich rąk - a trepangi mają ich przynajmniej dwadzieścia - zajmowała się swoją robotą.

Nadieżda nie potrafiłaby powiedzieć, jak długo trwała ta bieganina i zamieszanie, ale gdzieś podczas dziesiątej lub dwudziestej wyprawy do oranżerii poczuła nagle, że na statku

zrobiło się wyraźnie zimniej i że coraz trudniej oddychać. Zdziwiła się nawet, że przepowiednie Doli tak szybko się sprawdzają. Przecież statek jest zamknięty. Nie wiedziała, że urządzenia pochłaniające powietrze, żeby je oczyścić, jeszcze pracowały, a te, które miały je wytwarzać, już się wyłączyły. Statek zamierał powoli, a niektóre jego instalacje, o czym Nadieżda nie mogła wiedzieć, będą jeszcze pracować przez całe miesiące i lata.

Nadieżda chciała wpaść jeszcze do swojej kabiny po rzeczy, ale Dola powiedział jej, że muszą wystartować za parę minut, i wobec tego postanowiła przynieść jeszcze jedną kulę z powietrzem, bo powietrze potrzebne było wszystkim, a przecież bez spódnicy albo chustki, bez filiżanek potrafi się obejść.

Kiedy dźwigała kulę do łodzi, zobaczyła na podłodze worek spleciony z różnokolorowych kabelków. “Mój Boże - pomyślała - zupełnie zapomniałam.” Dobiegła do łodzi i rzuciła kulę obok włazu.

- Szybko! Wchodź. - powiedział Dola, wtaczając ciężką kulę do środka. - Zaraz - odparła Nadieżda - chwileczkę.

- Ani mi się waż! - krzyknął Dola.

Ale Nadieżda biegła już korytarzem po worek, a potem z workiem w ręku do szklanej klatki, gdzie czekały na nią kulki. Może zresztą wcale nie czekały, może po prostu wszystko sobie wymyśliła.

Kulki na widok Nadieżdy rozsypały się promieniście, jakby chciały narysować kwiat rumianku.

- Szybciej - powiedziała Nadieżda. - Bo inaczej zostaniemy na stacji, a pociąg odjedzie.

Wsunęła worek do klatki i ku jej zdumieniu kulki posłusznie wtoczyły się do środka. Była im wdzięczna, że tak szybko się uwinęły.

Worek okazał się ciężki, cięższy niż kule z powietrzem. Nadieżda dźwigała go korytarzem i mimo zimna panującego na statku było jej gorąco. Dusiła się. Gdyby nie była tak pochłonięta myślą o jak najszybszym dotarciu do łodzi, zauważyłaby jeszcze jednego wielkiego głuptaka, który widocznie strzegł jakiegoś innego miejsca na statku, ale kiedy wyłączyła się Maszyna zaczął myszkować po korytarzach w poszukiwaniu przyczyny nieszczęścia.

Nadieżda już dobiegała do łodzi, zostało jej tylko kilka kroków, kiedy nagle ją spostrzegł głuptak, który właśnie zobaczył łódź i skierował strumień ognia prosto w otwarty właz, żeby spalić wszystko, co było w środku. Nie wiadomo, co pomyślał i czy w ogóle myślał, ale zmienił cel i Nadieżda zdążyła jedynie odrzucić worek z kulkami.

Ta sekunda zwłoki wystarczyła Doli, by zatrzasnąć pokrywę włazu i następny strzał głuptaka tylko osmalił pancerz łodzi. Głuptak wystrzelał swoje ładunki i znieruchomiał nad kupką popiołu. Wyłączył się. Kulki wysypały się z worka i rozleciały po podłodze.

Dola uchylił właz, natychmiast wszystko zrozumiał, ale nie mógł czekać. Może, gdyby był człowiekiem, zebrałby popiół i pochował go u siebie w domu, ale trepangi nie mają takich obyczajów.

Zaśrubował pokrywę i łódź oderwała się od umierającego statku, aby pomknąć ku gwiazdom, wśród których była jedna jedyna, do której dążyły trepangi. Nie wiedziały jeszcze, czy zdołają do niej dotrzeć...

Pawłysz podniósł z podłogi nadpalony strzęp tkaniny - wszystko, co zostało z Nadieżdy. Potem pozbierał na stosik kulki. Historia skończyła się smutno, choć był jeszcze cień nadziei, że się pomylił, że Nadieżda zdołała jednak odlecieć kutrem ratunkowym.

Pawłysz wstał i podszedł do zimnego, martwego robota, który zrobił wszystko, co do niego należało i który stał tam przez wszystkie te lata celując w pustkę. Robot spełniał swój obowiązek - strzegł statku przed możliwym zagrożeniem.

- Milczysz już od dwóch godzin - powiedział Dag. - Nic się nie stało?

- Później wszystko opowiem - odparł Pawłysz. - Później.

6.

Siedzieli przy samym oknie. Zofia Pietrowna piła lemoniadę, a Pawłysz piwo. Piwo było mocne i zimne, a świadomość, że można je pić, że człowiek ma przestój, że najbliższa komisja lekarska będzie nie wcześniej niż za trzy miesiące, podniosła smak tego niewielkiego, wybaczalnego “przestępstwa”.

- A czy wam wolno pić piwo? - zapytała Zofia Pietrowna.

- Wolno - odparł krótko Pawłysz.

Zofia Pietrowna pokręciła z powątpiewaniem głową. Była przekonana, że kosmonautom nie wolno pić piwa - i miała rację.

Odwróciła się od Pawłysza i patrzyła na ogromne pole, na dziwaczne sylwetki pojazdów planetarnych, rysujące się na tle pomarańczowego zachodu.

- Dość długo to trwa - powiedziała.

Zofia Pietrowna sprawiała na Pawłyszu wrażenie niewiasty rzetelnej i nieciekawej. Z pewnością świetnie zna swoją pracę, doskonale uczy dzieci rosyjskiego, ale wątpię, czy dzieci ją lubią - myślał, obserwując jej ostry regularny profil i gładko uczesane siwe włosy spięte w kok nisko na karku.

- Dlaczego pan mi się przygląda? - zapytała Zofia Pietrowna, nie odwracając głowy.

- Zawodowy nawyk? - odpowiedział pytaniem Pawłysz.

- Nie rozumiem?

- Nauczyciel musi widzieć wszystko, co dzieje się w klasie, nawet jeśli dzieje się to za jego plecami.

Zofia Pietrowna uśmiechnęła się samymi wargami.

Pawłysz nie odpowiedział. Szukał podobieństwa, ale nie chciał się do tego przyznać. Hałaśliwa kompania kursantów w niebieskich kombinezonach zajęła sąsiedni stolik. Kombinezony można było zdjąć już w hangarze, ale kursanci bardzo lubili w nich chodzić. Jeszcze nie zdążyli przyzwyczaić się do kombinezonów i do furażerek ze złotymi oznakami Służby Planetarnej.

- Jakoś się spóźniają - powtórzyła Zofia Pietrowna.

- Nie - Pawłysz zerknął na zegarek. - Przecież radziłem pani poczekać w domu.

- Nie mogłam usiedzieć w domu. Wciąż miałam wrażenie, że zaraz ktoś wejdzie i zapyta: “A dlaczego pani nie jedzie?”

Zofia Pietrowna mówiła bardzo poprawnie i wyrażała się stylem nieco książkowym, jakby nieustannie pisała w myśli różne zdania i sprawdzała je z czerwonym ołówkiem w ręku.

- Przez wszystkie te lata - ciągnęła unosząc kielich z lemoniadą i przypatrując się pęcherzykom gazu na jego ściankach - żyłam oczekiwaniem tego dnia. Może to wydać się dziwne, gdyż starałam się w najmniejszej mierze nie okazywać mej niecierpliwości. Czekałam, aż zostaną rozszyfrowane układy pamięciowe tego statku. Oczekiwałam dnia startu wyprawy ku planecie istot, które moja babcia nazywała trepangami. Czekałam na jej powrót i oto się doczekałam.

- Dziwne - powiedział Pawłysz.

- Wiem, jak bardzo był pan rozczarowany, gdy mnie po raz pierwszy zobaczył, gdy nie okazałam oczekiwanego przez pana wzruszenia. Ale jak właściwie miałam się zachować? Znałam przecież babcię jedynie z kilku amatorskich fotografii, z opowiadań mamy, no i jako kawalera czterech medali, którymi odznaczono ją, gdy była sanitariuszką na froncie. Babcia była dla mnie abstrakcją. Moja matka już nie żyje, a przecież była ostatnim człowiekiem, dla którego zbitka słów “Nadieżda Sidorowa” oznaczała nie tylko amatorskie zdjęcie, lecz także wspomnienie o rękach, oczach, słowach babci. Od dnia zniknięcia babci upłynęło już prawie sto lat. Poczułam się z nią związana dopiero gdy pan wyjechał. Nie, nie zawiniły tu gazety i czasopisma pełne artykułów o pierwszym człowieku w kosmosie. Zawinił tu pamiętnik babci. Własne postępowanie zaczęłam mierzyć jej samozaparciem, jej samotnością.

Pawłysz przytaknął skinieniem głowy.

- Wcale nie jestem taka oschła, jak się panu wydaje, młody człowieku - powiedziała nagle Zofia Pietrowna zupełnie innym tonem. - Zawsze gram złośliwe staruchy w naszym teatrze i uczniowie mnie lubią.

- Byłem tego pewien - skłamał Pawłysz.

Podniósł oczy i zobaczył uśmiech Zofii Pietrowny. Jej zapadnięte policzki zaróżowiły się. Uniosła kielich lemoniady i powiedziała.

- Wypijmy za dobre wieści.

Dag energicznie przeciskał się między stolikami w ich kierunku.

- Lecą - powiedział. - Wieża kontrolna dostała właśnie wiadomość.

Stali przy oknie i patrzyli, jak znad horyzontu opada kuter planetarny, jak mkną mu naprzeciw różnobarwne krople flajerów. Zeszli potem na płytę, bo Dag przyjaźnił się z dowódcą wyprawy, Kłapaczem, i miał nadzieję porozmawiać z nim jeszcze przed dziennikarzami.

Kłapacz pierwszy wyskoczył z flajera. Zatrzymał się i obrzucił wzrokiem witających. Mała dziewczynka z zadartym noskiem i bardzo jasnymi włosami, takimi samymi jak jego własne, podbiegła do niego, a on wziął ją na ręce. Przytulił ją, ale wciąż wypatrywał kogoś w tłumie. Kiedy podchodził do drzwi, zobaczył Daga, Pawłysza i Zofię Pietrownę. Postawił córeczkę na ziemi.

- Dzień dobry - przywitał się z Zofią Pietrowna. - Już się bałem, że pani nie przyjdzie.

Zofia Pietrowna spochmurniała. Bardzo ją krępowało, że patrzą na nią kamery telewizyjne i aparaty fotograficzne.

Przed ustami Kłapacza polatywał mikrofon podobny do trzmiela. Odsunął go niecierpliwym gestem.

- Doleciała? - zapytała Zofia Pietrowna.

- Nie - odparł Kłapacz. - Zginęła, Pawłysz miał rację.

- I nic?...

- Nie musieliśmy długo o nią wypytywać. Proszę spojrzeć.

Kłapacz odpiął kieszeń galowego munduru. Załogi statków kosmicznych zawsze przebierają się w mundury galowe już na bazach zewnętrznych. Pozostali kosmonauci stali za Kłapaczem. Panowała absolutna cisza na placyku przed dworcem kosmicznym.

Na fotografii było miasto. Krępe kopuły i podłużne budowle, przypominające spłaszczone wałki i łańcuszki kul. Na pierwszym planie posąg na niewysokim okrągłym

cokole. Szczupła, gładko uczesana kobieta w workowatym ubraniu, bardzo podobna do Zofii Pietrowny, trzyma na kolanach dziwną istotę podobną do wielkiego trepanga.

- Tatusiu - powiedziała perkatonosa dziewczynka, która zaczęła się już nudzić - pokaż mi obrazek.

- Masz - Kłapacz dał jej zdjęcie.

- Robak - powiedziała dziewczynka z rozczarowaniem w głosie.

Zofia Pietrowna opuściła głowę i krótkimi, miarowymi krokami poszła w stronę budynku dworca, nikt jej nie zatrzymywał, nie zagadywał. Tylko jakiś dziennikarz chciał ją dopędzić, ale Pawłysz złapał go za rękaw.

Fotografię od dziewczynki wziął Dag.

Popatrzył na zdjęcie i widział martwy statek zapadający się w bezmiar kosmosu.

W chwilę później placyk przed dworcem kosmicznym już huczał od głośnych okrzyków, śmiechu i całego radosnego zamieszania, które zawsze towarzyszy lądowaniu statku z kosmonautami powracającymi na Ziemię.

TYLKO LÓD - Dymitr Bilenkin

Lecieliśmy rozsadzać gwiazdę.

Romantycy i miłośnicy niezwykłych przygód niech dalej nie czytają. Nasze zajęcia nie należą do szczególnie fascynujących. Oto jak wyglądają: Droga w obie strony zajmie około czterdziestu lat. Dalszy rok lub dwa poświęcimy na realizację Projektu. Anabioza pozwoli nam przespać dziewięć dziesiątych tego czasu, więc na Ziemię wrócimy jako ludzie stosunkowo jeszcze młodzi. Jednak nauka, sztuka i samo życie pójdzie tak daleko do przodu, że nieuchronnie znajdziemy się poza nawiasem nowych wydarzeń i spraw.

No i co z tego? Nic. Będziemy cicho i spokojnie żyć u podnóża własnej sławy. Żyć bardzo długo... Jak sądzicie, dlaczego Amundsen na progu śmierci ruszył na beznadziejne poszukiwanie Nobilego, do którego nie czuł najmniejszej sympatii? Dlatego, że ten niezmiernie aktywny człowiek, syty zwycięstw i sławy, nie potrafił pogodzić się z pełną zaszczytów, ale bezczynną i nudną starością.

Może więc przynajmniej w głębokim kosmosie czekały nas podniecające przygody, niezwykłe badania, w których moglibyśmy wykazać, co naprawdę jesteśmy warci? Nic podobnego. Byliśmy technikami, a nie bohaterami. Bardzo rzetelnymi, sprawnymi monterami pozbawionymi prawa nie tylko do ryzyka, lecz także do jakiejkolwiek samodzielności. W przeciwnym razie nie moglibyśmy zrealizować Projektu.

Naturalnie wiecie, dlaczego piszę to słowo wielką literą. Wiadomo, że gwiazdoloty, chociaż zabrzmi to paradoksalnie, nie nadają się do lotów międzygwiezdnych. Przy niewielkiej prędkości rzędu dwustu tysięcy kilometrów na sekundę lot nawet do najbliższych słońc musi trwać całe dziesięciolecia. Szybkość podświetlną pozwala dotrzeć choćby do przeciwległego krańca Galaktyki, ale w tym wypadku wszystko przekreśla paradoks Einsteina: rok czasu pokładowego równa się całym ziemskim stuleciom, co takie przedsięwzięcie sprowadza do absurdu. W obu wypadkach ludzie skazani są na żałosne dreptanie w pobliżu Słońca, podczas gdy zewsząd lśnią pociągającym blaskiem całe roje fascynujących, lecz niestety nieosiągalnych świateł.

Realizacja Projektu otwierała drzwi nawet do innych galaktyk. Obliczenia wykonane na podstawie nowej teorii dowodziły, że momentalne wyzwolenie energii, porównywalnej z energią gwiazd, wytworzy tunel w czasoprzestrzeni, przez który z łatwością prześlizguje się statek kosmiczny. Bez szkody dla ludzi i bez jakichkolwiek paradoksalnych zjawisk.

Wszystko to jednak należało sprawdzić doświadczalnie. Naturalnie nie na Ziemi i nie w pobliżu Układu Słonecznego, który po takim eksperymencie rozpadłby się w pył. Względy techniczne nie pozwalały też odholować anihilatorów na bezpieczną odległość. Pozostawało jedno: rozsadzić laserami jakąś gwiazdę i zobaczyć, co z tego wyjdzie.

Nie mogła to być byle jaka gwiazda. W naszym zasięgu znajdowała się tylko jedna, odpowiadająca wszelkim warunkom. Lecieliśmy właśnie do niej.

Chętnie wierzę, że fantastyczne opisy lotów międzygwiezdnych zawarte w zeszłowiecznych książkach przyprawiają o żywsze bicie serca nie tylko dzieci i wyrostków. Nie chciałbym, aby moja relacja została potraktowana jako całkowita negacja romantyki, ale prawda jest taka, że trudno wymyślić coś nudniejszego niż lot do gwiazd.

Osądźcie sami. Jeśli nie jesteście pozbawieni daru obserwacji, to zauważyliście z pewnością, że wszelka monotonia, poruszanie się utartą koleją, zaciera różnice między poszczególnymi dniami, zamienia je w szare pasmo minut i godzin. Dobrze zapamiętujemy tylko to, co ostro odbija od przeciętności, bez względu na to, gdzie to coś się wydarzy - w domu czy na pokładzie gwiazdolotu. Tyle tylko, że w gwiazdolocie wszystko jest znacznie monotonniejsze, gdyż nieoczekiwane widoki pojawiają się w iluminatorach rzadziej niż w oknach mieszkania, a przypadkowych spotkań i nowych towarzyszy może w ogóle nie być. Dlatego miesiące spędzone na czuwaniu były dla nas bardzo uciążliwe.

Literat lub psycholog naturalnie mógłby poczynić wiele interesujących obserwacji, wykryć wiele ciekawych zjawisk. Na przykład powszechną pasję do uprawiania najrozmaitszych gier, która nie ominęła nawet Timierina, twórcy teorii Projektu, chociaż na Ziemi ten ascetyczny naukowiec zupełnie nie przejawiał podobnych skłonności. Niemal każdy z członków załogi stał się nieszkodliwym dziwakiem. Ja ku swojemu zdumieniu zacząłem z wielkim zapałem kolekcjonować monety. Stwierdziłem przy tym, że nawet myślowe zbieranie starych krążków miedzi, srebra i złota ma niewytłumaczalny urok. W bibliotece pokładowej nie było książek numizmatycznych, wiecie zatem, co robiłem? Z pewnością mi nie uwierzycie, bo sam wierzę w to z największym trudem: wyszukiwałem w powieściach i encyklopediach najmniejsze wzmianki o różnych monetach, ich cechach, wielkości, wyglądzie awersu i rewersu! Nigdy nie przypuszczałem, że słowa “tetradrachma z sową ateńską” lub “rubel cara Konstantyna” mogą brzmieć tak cudownie, tak melodyjnie...

Ale zostawmy to. Pora już przejść do naszej jedynej przygody, która na pozór z przygodą nie ma nic wspólnego, nie posiada żadnych jej atrybutów poza jednym - zaskoczeniem.

Gwiazda, do której lecieliśmy, dotychczas tak bardzo nie miała dla ludzi żadnych wartości, że określano ją po prostu kolejnym numerem katalogowym. Przed naszym startem ktoś zaproponował, aby ją ochrzcić, ale propozycja została odrzucona, choć nikt nie wysuwał żadnych kontrargumentów. Podejrzewam, że zawiniły tu relikty starych przesądów. Obojętna nazwa nie miała większego sensu, a znów jakaś Nadzieja... Nie, lepiej niczego nie zmieniać.

Wszystko jednak rozwija się wedle własnych praw, skoro więc żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie będzie po dziesięć razy dziennie powtarzał tasiemcowych liczb, gwiazda jakoś sama przez się stała się Bezimienną.

W jej układzie czekało na nas wiele pracy. Mieliśmy na orbitę heliocentryczną wprowadzić generatory laserowe, uruchomić i wyregulować aparaturę pomiarową, zebrać mnóstwo rozmaitych danych i wreszcie - ale to już w ostatnim momencie - wystrzelić automatyczną sondę, która prześlizgnie się przez tunel czasoprzestrzenny. Mieliśmy też do zrobienia setki rozmaitych drobiazgów.

Do tych ostatnich należało między innymi zbadanie planet Bezimiennej. Było ich cztery. Dwa olbrzymy gazowe typu Jowisza nie wzbudzały szczególnych emocji, gdyż nie można było na nich wylądować. Najbliżej gwiazdy krążyła malutka, naga planetka przypominająca bryłę żużla. Ostatnia była jeszcze gorsza - po prostu kawał lodu, kupka zamarzniętych gazów, żałosna kra przyklejona do krawędzi układu gwiezdnego.

Zresztą nawet to dawało jakieś odprężenie, pozwalało zobaczyć coś innego niż roje kłujących gwiazd i znajomych do znudzenia pomieszczeń gwiazdolotu. Wszyscy chcieli zająć się drugorzędną robotą przy badaniu planet skazanych na zagładę, więc urządziliśmy losowanie. Miałem szczęście - znalazłem się w grupie zwiadowczej.

Wystartowaliśmy, wylądowaliśmy i wtedy poczuliśmy się tak, jakby ktoś rąbnął nas obuchem w głowę.

Dookoła roztaczał się surowy białobłękitny świat. Wszędzie piętrzyły się skały uwieńczone lustrzanymi, srebrzystomatowymi, kryształowymi wieżami, przyporami, portalami, ostrołukowymi stropami, ażurowymi rotundami, galeriami i kolumnami. Było tam wszystko, gotyk i rokoko, Tadż-Mahal i Kiży, wszystko, co stworzył geniusz budowniczych i wszystko, co dopiero stworzy.

Lód nawet w warunkach ziemskich odznacza się ogromnym bogactwem kształtów, a tu w dodatku była niższa grawitacja i różnorodny skład materiałów. Wydawało się, że strzeliste łuki lecą, gdyż po prostu nie można ich było sobie wyobrazić w bezruchu, bowiem chwila spokoju powinna wszystko zrujnować i zburzyć. Tytaniczne stropy wspierały się na szklanych źdźbełkach kolumn, a pod przewieszonymi gzymsami z łatwością zmieściłaby się

katedra NotreDame. Gzymsy przypominały rozłożone do lotu skrzydła motyli. Ich mroźny ornament mgliście rozpływał się w cieniutkiej tafli półprzeźroczystego lodu.

Nie to zresztą decydowało o wyjątkowości pejzażu. Niebo planety było zazwyczaj przesłonięte warstwą chmur, ale niekiedy obłoki topniały i wówczas - do dziś nie wiemy dlaczego - tarcza gwiazdy przybierała dziwaczne kształty.

Jej blask zaczynał się rozbryzgiwać, niczym przyciśnięty palcem strumień wody. Promienie światła padały w dół, krzesząc całe lawiny tęcz. Ze szczelin, krawędzi i gładkich ścian leciały iskry; stokrotnie przełamany odblask wypełniał całą przestrzeń ulotnym, rozdygotanym światłem. Nasze oczy nie wytrzymywały tej orgii ostrych barw.

Lód zaczynał jakby płynąć w tym świetle. Powstawały w nim i rozpadały się całe łańcuchy zdumiewających budowli. Widmowe miasta, które lśniły, rosły, potężniały, bladły, zmieniały się, znów ożywały - od razu we wszystkich tęczach! To była sztuka jakiegoś czwartego, piątego, czarodziejskiego, szalonego wymiaru.

Przez wiele godzin nie dokonaliśmy ani jednego pomiaru, nie zrobiliśmy ani jednej notatki. Po prostu nie mogliśmy. Byliśmy we władzy uczucia znacznie głębszego i subtelniejszego niż zachwyt lub zwykła radość. Na statku oczywiście wszystko widzieli i słyszeli, ale ani słowem - chyba po raz pierwszy w historii wypraw gwiezdnych - nie przypomnieli nam, co w pierwszym rzędzie powinniśmy zrobić.

Potem, kiedy wróciliśmy, wszystko potoczyło się tak, jakby w ogóle nic się nie wydarzyło, jakby niczego nie było.

Czasami zazdroszczę ludziom, którzy żyli w dawnych wiekach. Ci ludzie mogli zachowywać się tak szczerze, tak spontanicznie. “Krew uderzyła mu do głowy, obnażył więc szpadę...” Oczywiście i w tamtych czasach nie wszystko było takie proste, ale najważniejsze decyzje dotyczyły zazwyczaj kawałka chleba, obrony własnego spokoju i dobrobytu, a ponadto istniał wypróbowany, przekazywany z pokolenia na pokolenie zestaw reakcji na różne sytuacje życiowe. Było to możliwe, gdyż samo życie niewiele się zmieniło. Potem zaczęło się komplikować, a wraz z nim komplikowały się reakcje. Człowiek musiał tłumić w sobie spontaniczne odruchy, które w nowych, zawikłanych warunkach jedynie pogarszały sytuację.

Na lodowej planecie doznaliśmy wstrząsu i stanęliśmy wobec konieczności dokonania niezmiernie trudnego wyboru. Cóż by nam dało okazywanie gwałtownych uczuć? Taka reakcja doprowadziłaby najpewniej do konfliktu, a kłótnia na statku jest gorsza niż pożar. Trzeba było wszystko przemyśleć - spokojnie, samotnie, z zimną krwią, uwzględniając wszelkie możliwe konsekwencje. Mieliśmy na to mnóstwo czasu. Tak zresztą nas uczyli i

tylko tak należało postępować w trakcie wypraw gwiezdnych, gdzie od jednego człowieka zależy bezpieczeństwo całej załogi. Pod pewnymi względami byliśmy wielkim, jednakowo myślącym mózgiem. Dlatego nie będę opisywał nastrojów poszczególnych ludzi - jedni milczeli, inni byli ponurzy, inni wreszcie próbowali się uśmiechać. To wszystko nie miało większego znaczenia wobec stojącej przed nami paskudnej alternatywy.

Rozsadzając gwiazdę niszczyliśmy planetę. Własnymi rękami niweczyliśmy wspaniałe, nieporównywalne z niczym arcydzieła natury.

Znaczyło to mniej więcej tyle, co rezygnacja z barw wieczornej zorzy. Mieliśmy ograbić ludzkość, która nawet nie podejrzewała, co może stracić.

Czy Projekt wart był tego?

W każdym z nas toczyła się wyczerpująca umysły zawzięta walka emocji z rozumem.

Projekt dawał nam klucze do przestrzeni. Niszcząc jedną cudowną planetę, otrzymywaliśmy w zamian miliony nowych. Precz zwątpienie!

Tak, ale natura jest niepowtarzalna i zniweczonego piękna już nigdzie nie znajdziemy.

Z drugiej zaś strony zastanówmy się, cóż w tej planecie jest takiego nadzwyczajnego? Jest piękna, to fakt, patrzenie na nią jest niebywałą rozkoszą. Ale to zaledwie bryła lodu, to tylko lód, podczas gdy korzyść z Projektu jest realna i wymierna. Milcz, serce!

Bez względu jednak na to, czy podbijemy Galaktykę, czy też pozostaniemy “w domu”, niczego to w sensie naszych interesów materialnych nie zmieni. A więc Projekt zaspokaja jedynie ludzką żądzę wiedzy? Tylko to? Czy w takim razie musimy zamieniać jedno na drugie? Dobre na równie dobre?

A może się mylimy? Gdyby na początku wieku XXI ludzkość nie zagospodarowała bliskiego kosmosu, przemysł nadal dusiłby się na Ziemi, powodując wreszcie jej katastrofalne przegrzanie. W latach pierwszych startów nikt o tym nie myślał, co jednak nie zmienia postaci rzeczy: wyjście w kosmos było koniecznością życiową. I choć trudno nam to sobie uświadomić, taka sama konieczność powoduje nami teraz.

Wszystko niby jest logiczne... Ale gdybyśmy musieli wybierać między stacjami księżycowymi a księżycowymi nocami, z czego łatwiej byłoby zrezygnować?

Tak rozmyślałem bezsenną nocą.

Komu jednak potrzebna jest czarodziejska planeta piękna jak nieziszczony sen, skoro na podróż do niej trzeba stracić całe życie?

Nareszcie znalazłem decydujący argument! Decydujący? Po zrealizowaniu Projektu takie odległości w ogóle przestaną się liczyć. I wówczas - właśnie wówczas! - na pierwszy plan wysunie się pytanie: za jaką cenę to osiągnięto?

Łatwo sobie wyobrazić, co ludzie wówczas pomyślą... Dlaczego ja, Timierin, i cała reszta nie wróciliśmy, aby donieść o nowej sytuacji? Naukowcy z pewnością znaleźliby inny sposób realizacji Projektu, wyszliby w Galaktykę o sto lat później, ale jednak by wyszli! I nie za taką cenę.

Ta myśl była najgorsza i choć ją odpędzałem, stale wracała. Kto jest najbardziej zainteresowany urzeczywistnieniem Projektu? My! Bo poświęciliśmy mu całe swoje życie. Czy więc przypadkiem nie ten motyw właśnie przeważył?

Ludzie tak nie powiedzą, ale z pewnością pomyślą. I będą mieli rację.

Rozpatrzmy teraz całą rzecz obiektywnie. Piękność, uroda świata nie ma ceny i teoretycznie nie można jej poświęcać w imię innych wartości. Praktycznie ludzie robili to stale. Robili to w zamierzchłej przeszłości, ale ich potomkowie zapłacili za wyrąbane lasy, zatrute rzeki, zrujnowane krajobrazy. Natura udzieliła nam okrutnej lekcji, więc przysięgliśmy sobie: nigdy więcej, pod żadnym pozorem!

Nigdy? Bez względu na sytuację? Krańcowość jest zawsze błędem. Galaktyka z jej miliardami gwiazd i planet, to jednak Galaktyka, a nie ziemski zaścianek. To pole do popisu dla ludzkiej energii, ratunek przed marazmem, niepowstrzymany rozwój. Tam, w nowej przestrzeni, znajdziemy wszystko to, o czym nawet nie marzyliśmy. Zdumiewające światy, zaskakujące przejawy życia, mądrość innych cywilizacji. Czy mamy więc odwrócić się na pięcie i odejść, żeby to wszystko nastąpiło w sto lat później?

Cóż to jest jeden wiek...

Właśnie. Gdyby ktoś o stulecie odroczył budowę maszyny parowej, jacy bylibyśmy teraz?

Nie było rozwiązania, które mogłoby zadowolić wszystkich.

Tak dobrze się rozumieliśmy, że w pewnej chwili stało się jasne, iż wszystko zostało przemyślane i nikt nie znalazł wyjścia. Stało się też jasne, że trzeba podjąć decyzję, bo inaczej oszalejemy.

W “dobrych starych czasach” ludziom zawsze pozostawała furtka: przywódca mówił “tak” lub “nie”, reszta przyłączała się do niego z czystym sumieniem, bo przywódca “widział lepiej”. My zaś nie mogliśmy nikogo obarczyć własną odpowiedzialnością, gdyż takie są normy moralne naszych czasów.

Rozmowę zaczął psycholog. Ni z tego ni z owego zaproponował nam, abyśmy raz jeszcze obejrzeli filmy przestrzenne pejzażu planety.

Nikt nie zaoponował, a niektórzy pomyśleli z nadzieją, że psycholog znalazł jakieś rozwiązanie...

Siedzieliśmy przy stołach nakrytych do śniadania, ale nikt nawet nie tknął posiłku. Wszyscy patrzyli na powstające i niknące na naszych oczach zjawiskowe miasta, zachwycali się korowodem barw - nieskończonym, wstrząsającym, przenikającym radością i bólem. Zapis nie oddawał wielu szczegółów, ale jednak... W napięte nerwy uderzył boleśnie brzęk upuszczonej przez kogoś łyżeczki.

Zgasł ostatni kadr filmu i przez dłuższą chwilę nie mogliśmy pojąć, co jest bardziej realne - obszerna kabina, stoły zastawione do posiłku, czy też to coś wielkiego i cudownego, co przed chwilą oglądaliśmy.

Do rzeczywistości przywołał nas głos psychologa:

- Muszę was rozczarować. Moja propozycja nie jest wprawdzie rozwiązaniem, ale... Wystarczy na cisnąć guzik, żeby te zapisy zniknęły bez śladu. Tak samo dokładnie potrafię zatrzeć u wszystkich pamięć o tej planecie. A gdzie nie ma pamięci, nie ma też bólu i wątpliwości, prawda? Zrealizujemy Projekt, ludzie nigdy się nie dowiedzą, co stracili, poczucie winy nikomu nie będzie doskwierać! Zetrzeć?

Długie milczenie, a potem...

- Nie trzeba! Wszyscy będziemy pamiętać!! Nie waż się!!!

Po raz pierwszy zobaczyłem twarze swych przyjaciół powykrzywiane grymasem wściekłości. Niby jesteśmy kulturalni i cywilizowani, ale w podobnych sytuacjach atawizmy dają znać o sobie. Krzyki jednak po chwili ucichły, psycholog z zażenowaniem rozłożył ręce, a my znów staliśmy się sobą...

Wówczas pozornie zimno i spokojnie podjęliśmy decyzję. Znacie ją.

OPOWIEŚCI MARSJAŃSKIE - Walerij Cyganow

...Popatrzył na Marsjanina i ujrzał przez niego niebo.

- Gwiazdy! - krzyknął.

- Gwiazdy - powtórzył Marsjanin spoglądając na Tomasa.

Gwiazdy prześwitywały biało i ostro przez Marsjanina; odcinały się w jego ciele jak połknięte świetliki od cienkiej, fosforyzującej błonki żelatynowej ryby głębinowej. W brzuchu Marsjanina widać było gwiazdy mrugające jak fioletowe oczy, tkwiące niby klejnoty w jego piersi i przegubach dłoni.

- Widzę przez ciebie! - powiedział Tomas.

- A ja przez ciebie! - odparł Marsjanin cofając się Tomas czuł swe ciało, czuł jego ciepło przy do tknięciu i to mu dawało poczucie pewności. Ja jestem rzeczywisty - pomyślał.

Marsjanin dotknął swego nosa i warg.

- Mam ciało - oświadczył półgłosem. - Żyję.

Ray Bradbury: "Nocne spotkanie",

przekład Adama Kaski. Warszawa 1971

- Wcale nie uważam człowieka za króla stworzenia - powiedział Pietrowski.

- To interesujące - mruknął Parker.

Uniósł głowę i popatrzył na Pietrowskiego nieruchomym wzrokiem. Miał taki nieprzyjemny zwyczaj.

- Proszę mnie dobrze zrozumieć - ciągnął Pietrowski - chciałem tylko powiedzieć, że głupotą jest uważać się za pępek świata. Należy sądzić, że nawet w naszej Galaktyce nie jesteśmy jedynymi przedstawicielami rozumu, nie mówiąc już o dalszych okolicach.

OSTATNI MARSJANIN

Był bardzo stary, tak stary, że nawet nie pamiętał własnego imienia. Ciało zachowało sprawność, słuch i wzrok - ostrość i tylko pamięć... pamięć czasami zawodziła.

Minęła już cała wieczność od chwili, kiedy pozostał sam. To bardzo dziwne uczucie, gdy jest się jedynym rozumnym stworzeniem na całej planecie. Samotność bardzo mu doskwierała, a jednocześnie była źródłem niezrozumiałej, dojmującej dumy. Był przecież jedynym właścicielem globu. Przyzwyczaił się z czasem do samotności i przestał ją

zauważać, a duma pozostała, rozrosła się do nieprawdopodobnych wymiarów i wyparła pozostałe uczucia. Niczego nie pragnął, niczego nie oczekiwał i w nic nie wierzył, tylko bez końca obchodził całe swoje królestwo, a jego oczy płonęły przy tym szaleńczym blaskiem.

Potem na Marsie zjawili się ludzie. Nie starał się z nimi spotykać i tylko śmiał się w duchu, gdyż był przekonany, że nie zdołają tu wyżyć, że po pewnym czasie sami dojdą do tego wniosku i odlecą do domu. Ale ludzie zostali, zbudowali na pustyni pierwsze miasto i wkrótce na Marsa ruszyła lawina przesiedleńców.

Zanim to nastąpiło, był zupełnie spokojny, bo ludzie nie odważali się oddalać od miasta. I nagle, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, zniknęły wszystkie powstrzymujące ich niebezpieczeństwa, nagle coraz to nowe wyprawy zaczęły oddalać się na wiele kilometrów od miasta, docierać w głąb planety. Pojawiły się nowe osiedla, rodziły się pierwsze dzieci. Jednak nie to go przerażało. Przerażające było co innego - ludzie nie zauważali lub nie potrafili odcyfrować śladów wielkiej cywilizacji. Wspaniałe miasta, cuda marsjańskiej architektury, były dla nich jedynie zwietrzałymi skałami podziurawionymi zawikłanym labiryntem wilgotnych, mrocznych jaskiń; doskonałe drogi - lotnymi piaskami, a resztki gigantycznych kanałów - jedynie starymi rowami tektonicznymi. Ludzie dziwili się, skąd tu aż tyle suchych liści, wszak na Marsie nie ma drzew. Palili więc ogniska, ciesząc się z rzadkiej możliwości ogrzania się przy żywym płomieniu. Zdzierali ze ścian to, co wydawało się im szarą pleśnią, i wielkimi białymi literami wypisywali na nich własne imiona. Ziemskie dzieci bawiły się ogromnymi kłębkami srebrnej pajęczyny, które rodzice przywozili im z jaskiń i tylko on słyszał urywki melodii, gdy dzieciarnia rwała pajęczynę na kawałki, a wiatr unosił strzępy na pustynię, gdzie na zawsze niknęły w morzu piasków.

Po raz pierwszy od - tysiącleci zapragnął umrzeć, ale zapomniał, jak to się robi.

Już nie wędrował z miasta do miasta. Zatrzymał się w pradawnej marsjańskiej stolicy i bezradnie obserwował, jak ludzie przebijają drogi dla swych topornych, hałaśliwych maszyn.

Zamieszkał na skraju miasta w budynku największego teatru planety. Nadszedł jednak dzień, kiedy ludzie podciągnęli drogę tuż pod jego dom. Stwierdził to wczesnym rankiem zaraz po przebudzeniu się i rozpacz skłoniła go do szaleńczego kroku - pobiegł do ludzi i krzyknął co sił: “Stójcie! Zatrzymajcie się!” Ludzie patrzyli wprost na niego, ale nie widzieli go i nie słyszeli jego rozpaczliwych okrzyków.

Człowiek w granatowym kombinezonie nacisnął guzik i nastąpił wybuch. A kiedy odłamki skały opadły na ziemię i dym się rozproszył, zwrócił się do swojego sąsiada:

- Wszystko w porządku, Malcew! Możecie iść dalej.

- To są jałowe spekulacje - powiedział Parker.

- Naturalnie, nie jesteśmy samotni. Ale na razie człowiek zna tylko jedną istotę rozumną - siebie. Po co więc pozbawiać go, chociażby do chwili spotkania z podobnymi sobie, przyjemnej świadomości, iż jest istotą doskonałą? Uważam, że nie ma w tym nic złego.

- A ja wcale nie jestem tego pewien - odparł Pietrowski. - Po pierwsze obawiam się, aby ludzkość nie musiała później rumienić się ze wstydu za swoją pychę, a po wtóre - najwyższa pora przyzwyczaić się do myśli, że świat można mierzyć nie tylko ludzką miarą, bo w przeciwnym razie możemy po prostu nie dostrzec, nie pojąć braci w rozumie.

CZERWONY KWIATUSZEK

- Popatrz tylko, jaki piękny kwiatek! - powiedział Hogan.

Dammer spojrzał. Kwiatek istotnie był bardzo ładny. Nie sądził nawet, że takie kwiatki w ogóle bywają. Malutki purpurowy dzwoneczek. Niby nic wielkiego, a jednak cóż za subtelność, płynność linii i nasycenie barw! Kwiatek zdawał się być utkany z powietrza podświetlonego pierwszymi promieniami porannej zorzy.

Hogan już wdrapywał się po kamienistym zboczu.

- Co ty wyprawiasz! - powiedział Dammer. - Nie dotykaj go!

- Zawiozę go narzeczonej. Ucieszy się z takiego podarunku.

- Zwiędnie ci. Lepiej zerwij go tuż przed startem.

- Chyba masz rację - Hogan zatrzymał się. - Ale czy nie przekwitnie do tego czasu, jak sądzisz?

Dammer wzruszył ramionami.

- Na statku spróbuję go zakonserwować - postanowił Hogan.

- Myślę, że jest ich tu więcej.

- Dobra - powiedział Hogan - zaryzykuję.

Pochylił się i ostrożnie dotknął kwiatka dłonią w grubej rękawiczce. Kwiatek drgnął, skurczył się i zniknął. Między palcami pozostał mu tylko kłębuszek błękitnego dymu. Hogan odskoczył jak oparzony.

- Widziałeś!? - wrzasnął.

Dammer skinął głową. Zobaczył nawet coś więcej: na gołej skale za Hoganem pojawił się nagle taki sam kwiatek.

- Masz jeszcze jeden - powiedział, chociaż był pewien, że to ten sam kwiatek.

Hogan podbiegł i trącił palcem purpurowy dzwoneczek. Znów trysnął niebieski dymek i kwiatek zniknął, żeby pojawić się o parę metrów dalej.

- Co jest u diabła... - wymamrotał Hogan.

- Zostaw go - ostrzegł Dammer - on nie chce, żebyś go zrywał.

- Głupstwa gadasz! - burknął lekceważąco Hogan. - Kwiatek nie może chcieć. Tu chodzi o coś innego...

Potrącił dzwoneczek czubkiem buta i kiedy kwiatek przeniósł się parę metrów dalej, ruszył za nim.

Dammer odniósł wrażenie, że kwiatek przemieszcza się wedle jakiegoś systemu. Za każdym razem przesuwał się w tym samym kierunku, jakby wskazywał drogę.

- Hogan, daj spokój - powiedział jeszcze raz.

- O nie, muszę się dowiedzieć, o co tu chodzi!

Kwiatek wspinał się wciąż wyżej i wyżej, a Hogan uparcie gramolił się za nim, przeskakując z kamienia na kamień. Nagle ogromny złom skalny zakołysał mu się pod nogami. Hogan rozłożył ręce starając się utrzymać równowagę.

- Skacz! - krzyknął Dammer, lecz spóźnił się, bo wielki głaz przewrócił się niczym pokrywka tytanicznego garnka i Hogan znikł pod nim.

- Hogan!! - ryknął Dammer. - Hogan, słyszysz mnie?!

Milczenie.

Dammer drgnął. Poczuł na plecach czyjś wzrok i odwrócił się błyskawicznie. Nie było nikogo. Tylko czerwony kwiatuszek rósł w tym samym miejscu, gdzie zauważyli go po raz pierwszy. Dammer z całej siły zacisnął zęby, ale nie zdołał opanować drżenia. Odwrócił się na pięcie i zaczął uciekać.

- Coś podobnego! - oburzył się Parker. - Jeśli chodzi o mnie, to nie mam najmniejszej wątpliwości, że dwie istoty rozumne zawsze się porozumieją. A ta uwaga o ludzkiej mierze jest już zupełnie niepoważna! Człowiek nie może oceniać świata z jakiegokolwiek innego niż ludzki punktu widzenia. Pan najlepiej powinien o tym wiedzieć.

OGNISKO

Malcew wysiadł z samochodu i zatrzasnął drzwiczki. Po raz pierwszy od dwóch miesięcy udało mu się wykroić wolny dzień. Teraz, w okresie gwałtownej kolonizacji Marsa, jak nigdy dotąd potrzebne były drogi, mnóstwo prawdziwych, bezpiecznych dróg. Dopiero wczoraj jego grupa zakończyła budowę autostrady między centralnym Kosmoportem i Portem Dickson, a już jutro znów trzeba brać się do roboty. Jednak dzisiejszy dzień należy całkowicie do niego, więc zamierza go wykorzystać jak naj lepiej. Mieszka na Marsie już

prawie od roku, ale do tej pory właściwie go nie widział. Podobno na planecie jest wiele cudownych okolic. Kiedyś, przy okazji, obejrzy je sobie wszystkie, ale dziś zupełnie mu wystarczy ten niewielki masyw skalny. Do najbliższego osiedla jest dobra setka kilometrów i można mieć nadzieję, że nikt tu jeszcze nie był.

Malcew otworzył bagażnik, wyładował z niego namiot, skrzynkę z żywnością i kanister z wodą, po czym przeniósł to wszystko pod pobliską skałę. W jej cieniu było jeszcze zimno i przezroczysty nalot szronu skrzył się na piasku. Podeszwy butów zostawiały na nim wyraźne ślady. Malcew obejrzał się - na granicy światła i cienia ziemia pociemniała od wilgoci i leciutko parowała.

Za skalnym występem znajdowała się pieczara, bardzo wąska i wilgotna, jak wszystkie jaskinie na Marsie. Malcew zapalił latarkę i wszedł do środka. Od razu zrobiło mu się zimno, tak zimno, że musiał włączyć ogrzewanie kurtki. Ściany jaskini pokrywał gruby kożuch szronu, który pod wpływem jego kroków opadał drobniutkimi łuskami i tajał na twarzy. Pod nogami chrzęścił żwir. Pieczara zakręciła w prawo. Szronu już tam nie było, a zamiast niego na ścianach lśniły wilgotne plamy różnokolorowej pleśni. “Skąd tu tyle jaskiń? - pomyślał Malcew. - I dlaczego są tak do siebie podobne? Można pomyśleć, że ktoś zbudował je według tego samego planu... Wszędzie na ścianach jest pleśń, pod nogami leży żwir i czasami strzępy dziwnej pajęczyny.”

Coś zaszeleściło. Liście, ogromna sterta liści. “Mam dużo szczęścia - pomyślał Malcew. - Tutejsi weterani utrzymują, że podobne znaleziska należą do rzadkości.” Prawdę mówiąc, nie były to liście, gdyż na Marsie nie rosną drzewa, tylko po prostu jedyny miejscowy materiał palny. A więc będzie mógł rozpalić ognisko. Pochylił się, zagarnął kilka suchych, łamliwych płatków, roztarł między palcami i zdmuchnął kurz z dłoni.

U zarania cywilizacji została stworzona marsjańska “Iliada”. Całe pokolenia historyków literatury usiłowały ustalić jej autora, ale nie zdołali tego dokonać. Dziesiątki miast aspirowały do miana ojczyzny wielkiego poety... Tysiące pisarzy marsjańskich uczyły się z poematu sztuki narracji, klarowności strof, piękna przenośni, lecz tylko niewielu z nich dorównało staremu mistrzowi...

Już o zmierzchu Malcew zapakował do samochodu swój dobytek i dopiero wtedy wysypał z worka zebrane liście. Zapłonęły jaskrawym płomieniem, gdy tylko zbliżył do nich zapalniczkę. Języki ognia przeskakiwały z płatka na płatek, skręcając je w czarne rureczki. W ciągu jednej chwili rozlały się po całej stercie, zaszeleściły, trysnęły ku ciemnemu niebu i wystrzeliły tysiącami iskier. Malcew zmrużył oczy, czując jak miłe ciepło przenika przez ubranie i delikatnymi falami rozlewa się po ciele. “Człowiek jest jednak dziwnym

stworzeniem - pomyślał. - Ciekawe, czy w całym wszechświecie jest jeszcze jakaś inna istota, która tak samo lubi ogień?”

Ognisko buchnęło wysokim płomieniem i zgasło, pozostawiając kupkę ciemnego popiołu z migocącymi w jego głębi drobniutkimi iskierkami. “No i po wszystkim - pomyślał Malcew - skończył się mój urlop.”

Wsiadł do samochodu i nie zobaczył już, jak gwałtowny poryw wiatru znad pustyni uniósł popiół i rozsypał go wśród piasków.

- Ma pan niewątpliwie rację - zgodził się Pietrowski - ale bez większego trudu można sobie wyobrazić świat, w którym ze względu na specyficzne warunki rozwój rozumu potoczy się zupełnie innymi drogami niż na Ziemi. Naturalnie nie potrafimy sobie wyobrazić wszystkich szczegółów, ale można i należy opracować teorię opisującą podstawowe zależności ewolucji rozumu od jego środowiska. Można i należy, gdyż w przeciwnym razie nie dostrzeżemy obcego rozumu, ponieważ z naszego punktu widzenia jego przejawy nie będą życiem.

ZABAWKA

- Podaj mi rękę - powiedział Scott, ale Dreiden tylko pokręcił głową i nadal ostrożnie wycofywał się znad jamy. Wreszcie zatrzymał się.

- Nie, Richardzie - powiedział. - Jesteś skończony. Nie mogę ci pomóc, bo nikt ci pomóc nie może. Sam to doskonale wiesz.

Scott zaklął. Ręce już mu zaczynały sinieć, a paznokcie wprost świeciły jaskrawym lazurem.

- Odejdź - powiedział ochrypłym szeptem. - Zostaw mnie samego.

Dreiden skinął głową, nie odrywając oczu od jego rąk.

- Wynoś się! - wybuchnął Scott. - To przynajmniej możesz dla mnie zrobić?!

Dreiden zebrał porozrzucany sprzęt, ale jeszcze nie odchodził.

- Nie chcesz niczego przekazać? - zapytał półgłosem.

- Niczego! Wynoś się!

- Żegnaj! - powiedział Dreiden i pośpiesznie ruszył między diuny.

Scott nie odpowiedział, ale w jego oczach tliła się nienawiść. Poczekał, aż Dreiden skryje się za wydmą, zdrętwiałą dłonią wyjął blaster z kabury i położył go przed sobą na krawędzi jamy. Dreiden miał rację: kiedy człowiek dostanie się w łapy “lazurowej śmierci”, nie może już na nic liczyć. Pozostaje mu tylko zebrać całą odwagę i umrzeć z godnością, o ile

w ogóle to jest możliwe w takich warunkach. Doskonale o tym wiedział, jednak nie zdołał się pohamować i sklął Dreidena bez najmniejszego powodu. Któż zresztą potrafiłby się opanować? Dreiden poczuł się winny, chociaż w niczym nie zawinił. Po prostu miał szczęście, że nie on wpadł do pułapki, tylko Scott. Mogło być na odwrót. Wtedy Scott by odszedł, nie podając ręki skazanemu na śmierć towarzyszowi.

Spróbował poruszyć nogami i stwierdził, że ich nie czuje. Całkiem możliwe, że już ich nie było, bo zamieniły się w błękitną galaretę. Chyba zresztą jeszcze nie, gdyż krawędź jamy nadal znajdowała się na poziomie jego oczu. Zupełnie nie czuł bólu. Ciało zdrętwiało i niemal zupełnie go nie słuchało. “Czy warto czekać - pomyślał - czy nie lepiej skończyć z tym od razu?” Wielu tak w jego sytuacji robiło. Ale jakaś szaleńcza, bezsensowna nadzieja nie pozwalała mu zdecydować się na ten krok. Uśmiechnął się krzywo i położył dłoń na rękojeści blastera, ale cofnął ją jak oparzony, bo lękał się, że ulegnie pokusie.

Zaczął wspominać Ziemię, poczciwą Ziemię, gdzie wszędzie można chodzić bez obawy, że człowiek wpadnie do cuchnącego gniazda lazurytki, gdzie jest ciepłe słońce i gęste powietrze, które można pić. Prawdę mówiąc wiedział, czym ryzykuje, kiedy tu leciał. Właśnie niebezpieczeństwa go pociągały. Na Marsie ludzie giną znacznie częściej niż w innych zakątkach Układu Słonecznego, giną z różnych powodów, a “lazurowa śmierć” jest tylko najstraszliwszym jej rodzajem. Niechaj przynajmniej to będzie jakimś pocieszeniem.

Jako pierwszy zginął Łazariew, - dowódca bazy rosyjskiej. Było to około dwudziestu lat temu. Razem z nim umarło trzech innych, którzy usiłowali pomóc swemu towarzyszowi. Ludzie wówczas jeszcze nie wiedzieli, że wystarczy dotknąć nieszczęśnika, aby wraz z nim odejść w zaświaty. Od tej pory zginęło około piętnastu ludzi, a lekarstwa na straszliwą chorobę wciąż nie było. Nikt nie potrafił nawet lokalizować gniazd lazurytki idealnie ukrytych pod cienką warstwą piasku. Gniazdo ujawniało się pochłaniając ludzi.

Krawędzie jamy drgnęły i zaczęły się szybko wypiętrzać do góry. “Zaczęło się” - pomyślał Scott. Nadal nie czuł bólu. Blaster zostawił w spokoju. Bał się, ale zdołał pomyśleć, że zginie jednak honorową śmiercią.

Błękitna, migotliwa galareta zamknęła się nad jego głową. Powierzchnia masy uniosła się wolno i zmieniła zabarwienie. Rozdygotany bąbel rósł, rozwarstwiał się na płatki i opalizował wszystkimi barwami tęczy. Przypominał teraz gigantyczny kwiat na nieproporcjonalnie długiej łodyżce i fascynował złowieszczym pięknem.

Kwiat okazał się nietrwały, bo już po minucie skurczył się, zniebieszczał i znikł. Galareta opadła równo z krawędziami jamy i zeszkliła się. Wiatr dopełnił dzieła. Po chwili naniósł warstwę piasku i ukrył ostatni ślad najstraszliwszej pułapki Marsa.

Marsjanie, podobnie jak ludzie, bardzo kochali swoje dzieci. A ich dzieci, podobnie jak ziemskie, ponad wszystko na świecie lubiły gry i zabawy. Naturalnie mowa tu o dzieciach starszych, bo najmłodsze marsjanięta najchętniej bawiły się w piasku, podobnie jak ich rówieśnicy na Ziemi. Miały też swoje piaskownice, chociaż różniące się nieco od ziemskich. Wystarczyło wrzucić do niej garstkę piasku, aby wyłoniła na moment piękny, wielobarwny kwiat. Kwiat tak piękny, że nawet dorośli czasami nie mogli oprzeć się pokusie uczestniczenia w zabawie swoich pociech.

Piaskownice pozostawione samym sobie stopniowo ulegały degeneracji. Teraz zwabiały zwierzęta i pożerały je. Na planecie nie pozostała ani jedna żywa istota. Piaskownice i tym razem przystosowały się do zmienionych warunków - zapadły w śpiączkę.

A potem przyszli ludzie...

Parker roześmiał się.

- Drogi kolego - powiedział. - Nie sądziłem, że tyle jeszcze w panu dziecięcej fantazji. Przypuśćmy, że ma pan rację. Przypuśćmy, że stworzyliśmy model innego świata. Cóż przez to osiągniemy? Gdzie mamy gwarancję, że napotkamy właśnie taki świat i że będziemy mogli spożytkować pańską teorię?

SAMOTNY WIATR

Zapadł na chwilę wśród wydm, przytulił się do ich obłych zboczy, odpoczął i poleciał dalej. Krążył nad planetą za dnia w zimnych promieniach słońca, krążył też nocą w słabym świetle księżyców. Przemykał nad biegunami, wzbijając tumany śnieżnego pyłu, po czym wracał nad równik i smutnie pogwizdywał między pustymi domami, jakby kogoś szukał.

Nie wiedział, że już nigdy nie zapłacze się w gęstych włosach młodych Marsjanek, nigdy nie poigra fałdami ich pięknych szat. Był zaledwie wiatrem i ludzie, którzy przybyli na planetę, nie różnili się dla niego niczym od jej poprzednich mieszkańców. Wydawało mu się, że wszystko pozostało po staremu.

A dla ludzi był zbyt suchy i przejmujący, dlatego ukrywali się przed nim w swoich metalowych domach i opuszczali je tylko w skafandrach. Marsjanie nigdy tego nie robili. Wdychali go pełną piersią, łowili rękami i radośnie się śmieli, gdy gładził ich twarze. Ludzie byli zupełnie inni i czasami, kiedy przybierał na sile, lękali się go.

Ale on był tylko wiatrem i nie miał im tego za złe. Dla niego nic się w tym świecie nie zmieniło. Krążył nad biegunami, wracał nad równik, zamaszyście pędził pustymi ulicami miast i na nic nie zwracał uwagi.

Nie wiedział nawet, jak bardzo jest samotny.

- Mam na myśli uniwersalne zasady - powiedział Pietrowski.

- A cóż to za różnica!

- Jest, i to duża - odparł Pietrowski. - Niektóre z nich są już dla mnie w tej chwili oczywiste. Najważniejsza z nich, to daleko posunięta ostrożność i szacunek dla obcych, nawet pozornie martwych planet. A poza tym trzeba spróbować wyobrazić sobie, jakie życie mogło powstać w danych warunkach, życie najpewniej zupełnie odmienne od kwitnącego na Ziemi.

GŁOS

Gruby piasek chrzęścił pod nogami niczym zmarznięty śnieg. Vogel zamknął oczy i wyobraził sobie, że idzie przez rozległą polanę, mruży oczy, chroniąc je przed oślepiającym blaskiem słońca, a sosny na skraju ośnieżonej przestrzeni chwieją się i rozpływają tęczowymi plamami, że pachnie mrozem i śniegiem. Westchnął i otworzył oczy. Zdążyły się już przyzwyczaić do ciemności, więc teraz rozróżniał przed sobą łagodne zbocza diun ledwie widocznych na tle niemal zupełnie czarnego nieba. Nie było gwiazd. Coś podobnego na Marsie zdarza się niezmiernie rzadko, tylko po silnych burzach piaskowych, kiedy tysiące ton mikroskopijnego pyłu przez parę dni unoszą się w atmosferze i nawet w południe jest mroczno. Vogel obejrzał się, ale porzuconego wozu terenowego już nie zobaczył.

Do Fortu Równikowego miał jeszcze osiem kilometrów, musiał więc iść przez całą resztę nocy. To była cudowna, niezwykła przygoda i Vogel ani przez chwilę nie żałował, że przed wyjazdem nie sprawdził zbiornika z paliwem. Inna rzecz, że jutro będzie musiał wrócić po wóz i wysłuchiwać burczenia Ponomarenki, ale to będzie dopiero jutro.

Vogel był wielkim amatorem ostrych doznań i choć nie przyznawał się do tego nawet przed sobą, ta pasja niewątpliwie zaważyła na jego decyzji przylotu na Marsa.

Badanie Marsa było nieporównywalnie trudniejsze niż poznawanie nielicznych już białych plam na Ziemi, ale owe trudności nawet nie pachniały romantyzmem. Każdy krok naprzód był pieczołowicie przewidziany w perspektywicznym planie zagospodarowania planety. Romantyki plan nie uwzględniał i dlatego Vogel potraktował nieoczekiwaną przygodę jak dar niebios, jak zadośćuczynienie niespełnionym nadziejom.

Wspominał niezliczone legendy o planecie i z dreszczykiem emocji czekał, aby choć jedna z nich się spełniła. Powtarzał sobie wciąż, że trzeba tylko uwierzyć, uwierzyć

całkowicie i do końca, aby to jego marzenie wreszcie się spełniło. Niedawno Malcew opowiadał mu o Głosie Wiatru. Wiatr na Marsie jest niemal zupełnie bezdźwięczny, ale niekiedy, podczas najdłuższych i najciemniejszych nocy, zaczyna przemawiać niezrozumiałym językiem. Przeciągłe, jękliwe słowa zdają się padać gdzieś z góry, a wtedy mimo woli słuchacze zaczynają dygotać ze strachu. Głos słyszało jedynie kilku ludzi i wszyscy zgodnie twierdzili, że to coś więcej niż zwykła igraszka natury. Ktoś usiłował nagrać go na taśmę, ale nagranie nie wyszło, co posłużyło za pretekst do wydania oficjalnego komunikatu, że Głos jest zjawiskiem natury psychicznej spowodowanym przemęczeniem nerwowym. W to wyjaśnienie nikt poza niepoprawnymi pedantami nie uwierzył i legenda została, od czasu do czasu wzbogacając się o nowe szczegóły.

Vogel wdrapał się na grzbiet wydmy i zatrzymał się tam, aby chwilę odpocząć. Iść po sypkim piasku było bardzo trudno. Nogi zrobiły się ociężałe i zdrętwiały. Vogel położył się na grzbiecie i rozluźnił mięśnie. Czarne niebo wydawało się tak bliskie, że wystarczyłoby unieść rękę, by go dotknąć. Vogel tak właśnie zrobił: wyciągnął do góry otwartą dłoń, ale nie poczuł niczego poza słabym powiewem. “Piasek przecieka przez palce wiatru...” wypłynął z pamięci fragment na pół zapomnianego wiersza. Zdaje się że wypowiedział go na głos? Nadstawił ucha.

- Piasek przecieka przez palce wiatru - powtórzył wolno i niemal nie usłyszał własnego głosu. Słowa gasły u warg ledwie zdołały się narodzić.

- Trzeba iść - powiedział Vogel i znów słowa rozpłynęły się, jakby wpadły do głębokiej studni lub zaplątały się w wacie.

Vogel zaczął powoli schodzić po zboczu wydmy, ale zaraz mimo woli przyśpieszył kroku. Sypki piasek rozpełzał się pod nogami, tak że z trudem zachowywał równowagę. “Przestraszyłem się czy co? - pomyślał. - Niby czego! To po prostu efekt rozrzedzonego powietrza.”

- Hop, hop, hop! - krzyknął, ale krzyku nie było. Z krtani wydobyło się tylko niewyraźne mamrotanie. “Co to może być?...” - pomyślał i zaczął biec, zapadając się w piasku i wymachując rękami.

Zatrzymał go głośny dźwięk podobny do grzmotu. “Co to?” - wyszeptał i usłyszał Głos. Niezrozumiałe słowa miarowo i ciężko, niczym krople rtęci, padały z góry i zwielokrotnione echem rozlewały się po pustyni, po czym wracały jak odbite fale, i głośnym dudnieniem odzywały się w uszach.

- Co to?! - krzyknął bezdźwięcznie Vogel i zwalił się na piasek, ściskając głowę rękami, ale Głos nadal rozbrzmiewał w jego mózgu. Opowiadał o czymś beznamiętnym

tonem i choć Vogel nie rozumiał ani słowa, nie mógł tego słuchać. Uklęknął i z nienawiścią popatrzył w górę. “Dość! Dość! - pomyślał. - Nie wytrzymam dłużej, zwariuję...”

Nagły poryw wiatru rzucił mu w twarz garść piasku. Głos umilkł. Cisza ogłuszyła Vogla, który z trudem wstał i pobiegł przed siebie.

Po dwóch godzinach zza horyzontu wyłoniły się migotliwe gwiazdki - światła sygnalizacyjne na kopułach Fortu. Vogel krzyknął cicho i upadł na piasek. Oczy piekły, w ustach miał sucho, piasek skrzypiał w zębach.

Zbliżał się świt.

- Pańskie słowa przypominają mi jedną z opowieści barona Münchhausena - powiedział z uśmiechem Parker. - Tę mianowicie, w której wydobywa się z bagna, chwytając za swoje włosy. Moim zdaniem wszystkie próby, usiłowania człowieka, aby wyjść poza zespół własnych wyobrażeń, muszą doprowadzić do podobnego paradoksu.

- Nie chodzi wcale o przebudowę systemu ludzkiego myślenia - powiedział Pietrowski - bo to jest niemożliwe i chyba niepotrzebne. Zresztą wówczas człowiek przestałby być człowiekiem. Wydaje mi się jednak, że wszystkie typy intelektu muszą mieć przynajmniej jeden punkt styczny, który umożliwi wzajemne zrozumienie i który musimy odnaleźć.

Parker znów się uśmiechnął.

- Nie kłóćmy się - powiedział i upił łyk z trzymanej w ręku szklanki. - Zapomnijmy na moment o sporach naukowych i porozmawiajmy o czysto ludzkich sprawach.

Pietrowski nie odpowiedział.

- Proszę się na mnie nie obrażać - dodał Parker. - Już niedługo wyjaśni się, który z nas miał rację. Może nawet dożyjemy tego dnia. Wypijmy za przyszłość. Za piękną przyszłość - uniósł szklankę i mrugnął porozumiewawczo - za przyszłość, która nas rozsądzi.

POMNIK MARSJANINA

Minęły lata i na Marsie zjawili się poeci. Surowi, mężni pionierzy zawsze ustępują miejsca poetom, którzy przychodzą, aby opiewać ich prawdziwe bohaterstwo i tworzyć legendy o czynach, jakich nigdy nie dokonali. Tak było na Ziemi, to samo powtórzyło się na Marsie.

Poeci widzą świat nieco inaczej niż zwyczajni ludzie, dlatego dostrzegli to, czego nikt przedtem nie zauważał. Kiedy więc pewien młody pisarz stworzył poemat fantastyczny, w którym zaludnił Marsa dziwnymi istotami rozumnymi, wszyscy przyjęli go z największym aplauzem. Świetny utwór przekonał czytelników, że wymyślony świat mógł rzeczywiście

istnieć i w tym tkwiła przyczyna sukcesu. Książka napisana z talentem potrafi skłonić do uwierzenia we wszystko.

To był pierwszy wielki poemat młodego autora. Potem przyszły następne. Minęło jeszcze wiele lat i gdy poeta umarł, został uznany za jednego z największych geniuszy ludzkości. Na wszystkich skolonizowanych planetach wzniesiono mu pomniki, a na Marsie zbudowano Muzeum jego imienia, bo tam spędził większość swojego życia i napisał najwybitniejsze utwory.

Wzniesiono również pomnik Marsjanina, bohatera jego pierwszej książki. Umieszczono go w centralnym punkcie nowej marsjańskiej stolicy - na skale, której dziwnym trafem nie wysadzono w trakcie budowy miasta.

Wysoki posąg z nierdzewnej stali przedstawiał masywną, nieruchawą istotę z ogromną głową, wielkimi oczami i haczykowatym nosem. Marsjanin stał na mocnych krótkich nogach i patrzył na rozpościerające się w dole miasto. Niektórzy uważali, że jego twarz wyraża jakąś dziwną niepewność i zmieszanie i to im się nie podobało, gdyż Marsjanie z poematu byli istotami zimnymi, pozbawionymi wszelkich uczuć. Mimo to pomnik został wkrótce uznany przez turystów za największą ozdobę stolicy. Nic dziwnego, stworzył go najwybitniejszy rzeźbiarz Marsa, który też polecił, aby u stóp statui umieszczono silne reflektory oświetlające pomnik w nocy.

Marsjanin patrzył na miasto i w jego okrągłych oczach istotnie można było wyczytać niepewność i zmieszanie. Miasto, nad którym się wznosił, było mu obce. Nie poznawał ojczystej planety przeobrażonej ludzkimi rękami, a co najważniejsze - nie poznawał siebie...